

22262

D

22262

D



Z PRZESZŁOŚCI

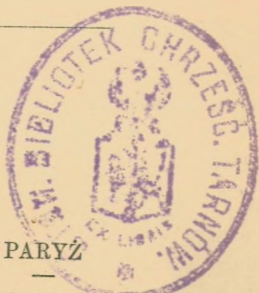
2000 — 1887 r.

22262

przez

EDWARDA BELAMY

D



PARYŻ

Nakładem i czcionkami drukarni Aleksandra Okęckiego

27—34, rue de la Proce

1891

325645



122131

Z PRZESZŁOŚCI

2000 r. — 1887 r.

przez

EDWARDA BELLAMY

(Przeróbka z angielskiego.)

Przedmowa

Collegium Shawmut, Sekcja historyczna. Boston,
28 grudnia, 2000 r.

W ostatnim roku, dwudziestego stulecia, korzystając ze wszystkich dobrodziejstw tego ustroju społecznego tak prostego i logicznego, iż zdaje się on być jakby tryumfem zdrowego sensu, trudnem jest, bezwątpienia, dla tych, którzy nie studyjowali wyczerpująco historyi, wystawić sobie, że dzisiejszy ustrój społeczny w całej swej pełni, ma zeledwo stuletnie istnienie. Największym jednak pewnikiem, jest ten fakt historyczny, że prawie do końca dziewiętnastego wieku ogólnie wierzone, iż przestarzały system ekonomiczny ze wszystkimi swemi rażąciami konsekwencyjami społecznymi, przetrwa, być może trochę podreperowany, wieczne czasy.

Jakże dziwnym i prawie nie do uwierzenia wyda się, że taki olbrzymi przewrót moralny i materyjalny, jak ten, który miał miejsce, odbył się w tak krótkim przeciągu czasu! Trudno znaleźć lepszy dowód na to, jak dalece łatwo jest człowiekowi przyzwyczać się do tego wszystkiego, co może być jego polepszyć, choćby to polepszenie aż do chwili jego urzeczywistnienia przedstawiało mu się jako niepozostawiające nic więcej do życzenia. Taka uwaga najlepiej uśmierzy zapał reformatorów, liczących na głęboką wdzięczność przyszłych wieków!

Celem tej książki jest pomódz osobom, chcącym mieć dokładniejsze pojęcie o kontrastach społecznych, zachodzących pomiędzy dziewiętnastym a dwudziestym stuleciem i które przestrasza zbytnia suchość dzieł historycznych, traktujących o tym przedmiocie. Pedagogiczne doświadczenie przekonało autora, że forma naukowa jest, bądź co bądź, zawsze ciężką i dlatego postarał się on do wartości naukowej dodać urok opowiadania romantycznego, które, cieszy się on nadzieją, i samo przez się nie będzie pozbawione wszelkiego żywszego zajęcia.

Czytelnik, któremu dobrze są znane dzisiejsze instytucje społeczne oraz ich podstawowe zasady, znajdzie — być może — czasami objaśnienia dra Leet'a zbyt oklepanemi, — ale nie trzeba zapominać, że dla gości dra Leet'a były to rzeczy nowe i że ta książka jest napisaną w tym celu, by i czytelnik przeniósł się myślą w inne czasy.

Jeszcze jedno. Ogólnym prawie tematem pisarzy i mówców, którzy wysławiali tę dwutysięczną epokę, była raczej przyszłość aniżeli przeszłość; mówiono nie o osiągniętych już nabytkach, ale o postępkach do zrobienia, zawsze naprzód, aż ludzkość spełni swe piękne

przeznaczenie. To bardzo piękne, ale — zdaniem mojem — najlepszym punktem oparcia dla śmiałych przewidywań co do rozwoju ludzkiego na przyszłe tysiąc lat — jest rzucić okiem w przeszłość, na postęp ostatniego stulecia.

A teraz autor oddaje słowo Julijanowi West, w nadziei, że ta książka znajdzie czytelników, którzy pociągnęci treścią, będą pobłażliwi na usterki w wykonaniu.



Rozdział I

Pierwszy raz ujrzałem światło dzienne w Bostonie, roku 1857...

— Co on mówi... — powiecie — ośmset pięćdziesiąt siódmego?.. Toż dopiero dziwaczna pomyłka... On chciał zapewne powiedzieć tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt siódmego roku...

Przepraszam nie ma tu żadnej pomyłki. Było już około czwartej po południu, 26 grudnia, nazajutrz po Bożem Narodzeniu, roku 1857, a nie 1957, gdy po raz pierwszy odetchnąłem wschodnim wiatrem Bostonu. Mogę zapewnić czytelnika, że i w owym czasie wiatr ten odznaczał się tą samą własnością przenikania na wskroś człowieka, którą się odznacza i dziś, w roku pańskim 2000.

Takie twierdzenie wyda się tem bardziej dziwaczne, gdy dodam, że młody człowiek, wyglądający na lat trzydzieści. I wcale się nie zdziwię, gdy czytelnik rzuci gniewnie tę książkę, która się zapowiada jako zbyt już bezczelnie rachująca na jego łatwowierność. A jednak bardzo poważnie zaręczam czytelnikowi, że

wcale nie mam zamiaru blagować i postaram się przekonać go o tem na następnych stronicach. Jeśli więc mogę, tymczasowo, twierdzić — z warunkiem, że udowodnię to twierdzenie — iż lepiej wiem od czytelnika, kiedy się urodziłem, to wolno mi będzie dalej ciągnąć me opowiadanie. Każdy uczeń wie dzisiaj, że w ostatniej części XIX-go wieku ani cywilizacja dzisiejsza, ani też nie, co by z nią miało pewne podobieństwo, nie istniało, chociaż elementy, z których ta cywilizacja miała się wyłonić, już zaczynały fermentować. Jednakże nic w owym czasie nie zaszło takiego, co by mogło zmienić istniejący wówczas podział społeczeństwa na cztery klasy czyli narody, jakby stosownie nazwać je można było, — ponieważ rozdział pomiędzy klasami był bez porównania znaczniejszy, aniżeli dziś pomiędzy narodami; — mamy na myśli podział na bogatych i biednych, uczonych i nieuków. Co do mnie, byłem bogatym, a także wykształconym; posiadałem zatem wszystkie warunki do szczęścia, do którego wybrani tylko rościć mieli prawo w owym czasie. Żyjąc w zbytku, za jedyne zajęcie mając tylko używanie rozrywek i wyrafinowanych rozkoszy, środki do tego czerpałem z pracy innych, żadnych natomiast nie oddając usług społeczeństwu. Moi rodzice oraz ich przodkowie żyli tak samo i ja przewidywałem nawet wtedy, że i moi potomkowie, jeśli będę miał takowych, przeżyją również łatwo i wesoło na świecie..

Ale jakże mogłem żyć, nie oddając żadnych usług społeczeństwu?.. — zapytacie. Jakim sposobem ludzie zgadzali się karmić i utrzymywać człowieka, który, mogąc pracować, żył w bezczynności zupełnej? Odpowiedź na to jest następująca: Mój przodek zebrał był pewną sumę pieniędzy i odtąd jego potomkowie z niej żyli. Wywnioskujcie z tego, że suma ta musiała być nie-

zmiernie wielką, żeby się nie wyczerpać, utrzymując tyle pokoleń w lenistwie. Ale co do tego, to mylicie się. Początkowo suma ta wcale była nie wielką. Po przekarmieniu w lenistwie kilku pokoleń, suma znacznie wzrosła. Tajemnica wydawania bez wyczerpywania, ogrzewania bez spalania się, zdaje się dziś bajeczka, a jednak było to po prostu dowcipnem zastosowaniem sztuki, dziś — na szczęście zatraconej, ale ongiś do wielkiej doprowadzonej doskonałości przez naszych przodków, a mianowicie sztuki zrzucania ciężarów z barków jednych na barki drugich. Człowiek, który tego dokazał, a był to cel, do którego wszyscy dążyli, żył — jak mówiono — z dochodów swego kapitału.

Objasnić tu, jak dawny system przemysłu na to zezwalał, zajęłoby nam obecnie za wiele czasu. Powiem tylko, że procent od kapitału był to rodzaj podatku wiekuistego, nałożonego na wytwory ludzi, zajętych przemysłem przez ludzi, którzy posiadali lub odziedziczyli pieniądze. Nie trzeba jednak przypuszczać, że podobny ustrój, który nam, dzisiaj, wydaje się nienaturalnym i bezsensownym, nie był nigdy krytykowanym przez naszych przodków. Prawodawcy i prorocy od najdawniejszych wieków usiłowali znieść procenty, a co najmniej zniżyć je do najskromniejszej normy. Lecz ich usiłowania spełzły na niczem, co było zresztą do przewidzenia tak długo, jak trwał dawny ustrój społeczny. W czasie, o którym piszę, t. j. w drugiej połowie XIX wieku, prawie wszędzie rządy dały za wygraną i nie próbowały więcej uregulować tej kwestyi.

Usiłując dać czytelnikowi jasny obraz sposobu życia ludzi w owym czasie, a przede wszystkim stosunków biednych do bogatych, może najlepiej zrobię, gdy porównam ówczesne społeczeństwo do olbrzymiego wozu,

do którego wprzężonemi zostały masy ludzkości, ciężko ciągnąć ten wóz po górzystej i piaszczystej drodze. Woźnicą był głód, który nigdy nie dozwalał ani chwili spoczynku, chociaż wóz z natury rzeczy toczył się bardzo powoli. Pomimo trudności ciągnięcia samego wozu wzdłuż tak ciężkiej drogi, wóz ten był w dodatku przepelniony podróżnikami, którzy nigdy zeń nie schodzili, nawet gdy wjeżdżano na najbardziej strome góry. Siedzenia na wozie były urządzone wygodnie i z przepychem. Siedząc sobie wygodnie, wysoko wzniesieni ponad pyłem wielkiej drogi, podróżni mogli cieszyć się pięknymi widokami lub dyskutować o względnej wartości zaprzęgu. Wielki był popyt, naturalnie, na miejsca na wozie i walka o nie toczyła się bardzo zażarta, każdy bowiem uważał za główny cel w życiu zdobycie sobie takiego miejsca i zapewnienia go swoim dzieciom. Podług praw, przyjętych na wozie, każdy mógł zostawić swe miejsce komu chciał, ale często się zdarzało, że takie miejsca bywały na zawsze stracone. Bo choć one były bardzo wygodne, ale zarazem i nader niepewne, i przy każdym nagłym wstrząśnieniu wozu niektórzy bywali wyrzuceni ze swych miejsc i spadali na ziemię, gdzie natychmiast byli zmuszeni zaciągnąć się do jarzma i pchać ten wóz, na którym niedawno tak wesoło podróżowali. Oczywiście, iż strata miejsca na wozie była uważaną za straszne nieszczęście i obawa takiej straty dla siebie i dla swych przyjaciół wisiąca, jak groźny miecz lub jak ciężka chmura nad każdym, rzucając w ten sposób jedyny cień na szczęście podróżujących.

Ale czyż oni tylko sobą byli zajęci?.. — zapytacie. Czyż nawet zbytek, który ich otaczał, nie był im wstrętnym, gdy porównywali swój los z losem swych braci i sióstr, wprzężonych w jarzmo i gdy pojmowali, że

swym własnym ciężarem dodają im jeszcze trudu! Czyż nie mieli oni litości nad kłiznami, od których różnił ich tylko majątek?

Owszem, współczucie często było wypowiedane przez tych, którzy jeździli, dla tych, którzy wóz ciągnęli, szczególnie w chwilach, gdy droga bardzo złą się stawała, co zdarzało się prawie ciągle, lub gdy wjeżdżano na stromą górę. W takich razach rozpaczliwe szarpanie dyszla, jęki upadających i zrywających się pod bezlitośnymi razami głodu, chrapliwe konanie tych, którym sił do dalszego wiezienia zabrakło, po ciele których wóz przejeżdżał, miesząc z błotem ich zmiażdżone członki, wszystko to wywoływało szczere bezwątowania objawy litości u tych, co się znajdowali na wozie. Wtedy podróżni rzucali z góry słowa zachęty dla tych, co byli w zaprzęgu, doradzali im cierpliwość, budzili w nich nadzieję wynagrodzenia doznanych krzywd, obiecywali im szczęście w przyszłym życiu; niektórzy kupowali nawet maście i bandaże dla chorych i skaleczonych. Wszyscy się zgadzali na to, iż wielka jest szkoda, że wóz jest tak ciężki, a gdy wyjechano z ciężkich bagien na gładką drogę, wszystkim było weselej. Ta wesołość nie była co prawda spowodowaną jedynie troskliwością o zaprzęg, ale po części i świadomością o minionem niebezpieczeństwie, gdyż zbyt zła droga groziła wywróceniem woza, przyczem wszyscyby potracili swe miejsca.

Trzeba dodać jeszcze, że widok nędzy tych, co byli wprzęgnięci w jarzmo, powiększał u podróżnych świadomość o wartości miejsc na wozie i skłaniał ich do trzymania się takowych — jak to mówią — rękami i nogami.

Gdyby podróżni byli pewni, że ani oni, ani ich przyjaciele nigdy z woza nie spadną, prawdopodobnie, oprócz

zakupna maści i bandażów, małoby się oni zajmowali losem tych, co wóz ich ciągnęli.

Wiem, że to się wyda ludziom dwudziestego wieku okrucieństwem, trudnem do uwierzenia, ale po części znajdziemy usprawiedliwienie tego zjawiska w dwóch następujących faktach: Najprzód wierzone głęboko i szczerze w to, że nie ma innej drogi dla społeczeństwa jak tylko ta, po której masa ludu wóz ciągnąć musiała, podczas gdy mniejszość siedziała na wozie; w dodatku nie wierzone nawet w możliwość radykalnej zmiany ani w ulepszenia zaprzęgu, ani w poprawienie drogi, ani w równiejszy podział pracy. Zawsze tak było, jak jest i zawsze tak będzie — mówiono sobie. Smutne to, bez wątpienia, ale zaradzić temu nie podobna, a filozofja nakazuje nie tracić daremnie współczucia na to, czemu zaradzić nie można.

Powtóre, co jeszcze ciekawsze, to dziwne złudzenie, któremu ulegali prawie wszyscy ci, którzy jeździli na wozie. Myśleli oni, że nie są podobni do swych braci i sióstr, wprzężonych w jarzmo, ale że są z lepszej gliny, że należą do jakiegoś wyższego gatunku istot, zasługujących na to, by je wieziono. Dziś to się wydaje nieprawdopodobnem, ale przyznaję się szczerze, że i ja kiedyś na tym wozie jeździłem i podzielałem ogólne złudzenie, więc możecie mi wierzyć.

Co najdziwniejsze, to to, że ludzie, którym zaledwo przed chwilą udało się wyjść z tłumy na dole i wleść na wóz, którym nie zagoiły się jeszcze odciski, pozostawione przez jarzmo, że nawet ci, zaledwo znaleźli się na górze, a już zaczęli podzielać ogólne złudzenie. Co się zaś tyczy tych, których ojcowie i praojcowie mieli szczęście urodzić się na wozie, przekonanie o wyższości ich rasy, było dla nich artykułem wiary. Ze takiego rodzaju przesąd mocno wpływa na zniż-

szanie współczucia dla cierpień tłumu, to rzecz jasna. Na ten wzgląd się powołuję, jako na jedyną okoliczność, łagodzącą winy mej obojętności ówczesnej na cierpienia mych bliźnich.

W roku 1887 kończyłem lat 30. Choć jeszcze nie żonaty, byłem już zaręczony z Edytą Bartlett. Ona także zajmowała miejsce na wozie. Innemi słowy, by już dłużej nie uciekać się do porównania, którego użyłem jedynie dla wyjaśnienia czytelnikowi naszych ówczesnych stosunków, rodzice jej byli to ludzie zamożni. W owym czasie, kiedy pieniądze dawały wszystko to, co może być przyjemnem i wyrafinowanem w życiu, dość było kobiecie mieć posag, by się ubiegano o jej rękę. Edyta Bartlett była jednak w dodatku piękną i pełną wdzięku.

Słyszę już, jak moje czytelniczki protestują przeciwko takiemu twierdzeniu:

— Piękną być mogła, ale zkądby wzięła wdzięk, ustrojona podług ówczesnej mody, gdy na głowie piętrzyły się kapelusze niemal na łokieć wysokie, a suknie odstawały z tyłu na sztucznej tiurniurze, która kaziała formy i kształty więcej, niż wszelkie inne uprzednie dziwaczne mody?.. Czyż można mówić o wdzięku, przy podobnym stroju?..

Zarzut może się zdawać słusznym i jedno tylko nań mogę odpowiedzieć: jeśli strój kobiet dwudziestego stulecia jest jawnym dowodem, jak dalece umiejętnie udrapowane materyje przyczyniają się do uwydatnienia wdzięków kobiecych, to jednak, wspominając ich prababki, mogę zaręczyć, że żaden strój nie zdoła całkiem ukryć niewieścich wdzięków.

Połączeniu się naszemu nic nie stało na przeszkodzie; czekaliśmy tylko ze ślubem na skończenie domu, który budowałem w jednej z najbardziej poszukiwanych czę-

ści miasta, a więc w miejscu, głównie zamieszkałem przez ludzi bogatych. Bo miejsca, gdzie mieszkania były najbardziej poszukiwane w owym czasie, były te właśnie, gdzie obrali sobie siedlisko ludzie bogaci. Każda klasa w danym społeczeństwie żyła oddzielnie i zamieszkiwała swoje specjalne dzielnice. Bogaty, zamieszkujący wśród ludzi biednych, człowiek wykształcony wśród nieuków, był jakby pustelnik, otoczony zawistnymi i wrogimi hordami.

Gdy zacząłem dom budować, obiecywano mi, że będzie gotów na zimę 1886 r. A jednak wiosna następnego roku zastała go jeszcze nieskończonym, a z nim i małżeństwo moje odłożonym zostało. Powodem takiego spóźnienia, które doprowadzało do rozpaczki młodzieńca tak zakochanego, jak ja nim byłem, były ciągle bezrobocia, czyli znowy ze strony murarzy, stolarzy, malarzy, dekarzy i robotników innych rzemiosł, potrzebnych dla wybudowania mego domu. Jakie powody wywołały owe znowy, nie pamiętam. W owym czasie znowy były tak częste, iż przestano się interesować chwilową przyczyną, która je wywoływała. Od wielkiego kryzysu, który miał miejsce w 1873 roku, te znowy prawie nie ustawały to w tej, to w owej gałęzi przemysłu. Doszło do tego, iż rzadko widziano robotników, pracujących stale w ciągu lat kilku w tej samej gałęzi przemysłu bez strejkowania.

Jeśli czytelnik zwróci uwagę na lata, w których miały miejsce zdarzenia, tu opowiadane, to odrazu zrozumie, że te bezrobocia i nieporządki w gałęziach przemysłu były pierwszym aktem tego wielkiego dramatu, dzięki któremu zaprowadzonym został dzisiejszy system przemysłowy, ze wszystkimi jego następstwami społecznymi. Dziś, gdy o tem wspominamy, wszystko się nam wydaje tak prostem, że każde dziecko to zrozumie, ale nie będąc prorokami, ludzie ówczesni nie mieli

jasnego pojęcia o tem, co się działo. Rozumieliśmy wówczas tylko jedno, a mianowicie, że pod względem przemysłowym kraj nasz szedł po jakichś manowcach. Stosunek pomiędzy robotnikiem a pracodawcą, pomiędzy pracą a kapitałem, zdawał się — nie wiadomo dla czego — jakby porwanym.

Klasy pracujące okazały się raptem jakby zarżone głębokiem niezadowoleniem ze swego położenia i przyniknione wiarą w możność polepszenia go, byleby wiedziały, jak się do tego wziąć.

Zewsząd, zgodnie, wyrażały one żądania podwyższenia płacy, skrócenia dnia roboczego, zdrowszych mieszkań, lepszych szkół i udziału w wygodach życia oraz zbytku. Takim żądaniom nie podobna było zadość uczynić, bo robotnicy, chociaż zaczęli rozumieć, czego im brak, z początku nie wiedzieli jednak, jak temu, zaradzić, to też tłumnie cisnęli się do tych, o których słyszeli, że mogą im wyświecić kwestyję i dać dobrą radę; ztąd raptowne słowa niektórych „działaczy“ i zapal, który wśród tłumu wzbudzali. Jakkolwiek nierówną wydawała się walka, którą robotnicy prowadzili: energija, którą wykazywali oni, podtrzymując się wzajemnie w czasie bezrobocia,—ich głównego czoła—oraz poświęcenie, które wykazywali na każdym kroku, świadczą o głębokiej ich wierze w lepszą przyszłość.

Jakim będzie ostateczny wynik tych „zaburzeń“ w klasie robotniczej, jak się wówczas wyrażano, o tem ludzie klasy, do której należałem, rozmaicie się wyrażali. Temperamenty krwiste dowodziły, że nowe nadzieje robotników nigdy nie mogą być urzeczywistnione, bo nie ma zkad wziąć pieniędzy na zaspokojenie ich żądań. Jedynie dla tego, że masy tak ciężko pracują, zadawalniając się małym, cała rasa ludzka nie wymiera z głodu, i żadne polepszenie bytu pracujących nie jest możliwe, póki się nie powiększą zasoby i bo-

gactwo dzisiejszego społeczeństwa. W istocie rzeczy nie z kapitalistami walczą robotnicy; kapitaliści strzegą tylko interesów całej ludzkości, a jeśli robotnicy tego nie rozumieją, to jedynie dlatego, że mają za twarde na to głowy. Z czasem, gdy zmądrzeją, poznają swój błąd i cierpliwie znosić będą to, na co wcale nie masz lekarstwa.

Temperamenty mniej krwiste zgadzały się także z tą argumentacją.

— Prawa przyrodzone — mawiały one — stały na przeszkodzie zaspokojeniu żądań robotników, ale zanim się oni o tem przekonają, mogą wiele nabruździć, a nawet świat do góry nogami przewrócić. Zdobyli już oni prawo powszechnego głosowania, czuli za sobą siłę a wodzowie ich gadali im o konieczności przewrotu...

Niektórzy z tych wodzów, bawiąc się w proroctwa, wróżyli nawet bliską a krwawą rewolucyję.

— Ludzkość doprowadziła już obecnie do ostatnich konsekwencyj dany ustrój społeczny; pora z tego szczytu rzucić się chociażby w chwilowy zamęt, ażeby z niego wypłynąć na szerokie i spokojne wody nowego ustroju...

Rozumie się, że były to krańcowe zdania, ale pamiętam, że spotykałem ludzi uczonych i poważanych, którzy toż samo twierdzili. Myśliciele owego czasu, prawie wszyscy dowodzili, że świat się zbliża do chwili krytycznej, której rezultatem będą wielkie zmiany w stosunkach społecznych. Zaburzenia robotnicze, ich powody, przebieg i środki zaradcze na nie, zajmowały wszystkie pisma i były przedmiotem poważnych rozmów.

Mała garstka ludzi, socjalistami lub anarchistami zwanych, groziła, że kamień na kamienniu nie zostawi w Ameryce; tymczasem nawoływali robotników do

organizowania kadrów bojowych najprzód, a potem zastępu uzdolnionych robotników, którzyby mogli po zwycięstwie zabrać władzę w swoje ręce i zorganizować pracę podług nowych zasad.

Należąc do klasy bogatych, rozumie się, że obawiałem się zmiany stosunków społecznych, a w dodatku byłem zainteresowany w tem, by dom mój jak najprędzej wykończono, bo od tego ślub mój zależał; nienawidziłem więc głęboko wszystkich tych nowatorów, a nawet całą klasę robotniczą, której budząca się świadomość ujawniała się w bezrobociach i tem oddalała chwilę mego małżeńskiego szczęścia.

Rozdział II

Trzynasty maja 1887 r. wypadł w poniedziałek. Było to święto narodowe w Stanach Zjednoczonych. W tym dniu czczono pamięć żołnierzy, którzy padli w walce o wyzwolenie i jedność tych Stanów.

Tłumy niosły wieńce na groby poległych. Ponieważ pomiędzy poległymi znajdowali się i członkowie rodziny Bartlett, więc i Edyta z rodziną udała się na cmentarz.

Prosiłem o pozwolenie towarzyszenia im, a po powrocie do miasta zostałem na obiedzie u rodziców mej narzeczonej. W salonie, do którego udaliśmy się, wstawszy od stołu, wziąłem do ręki wieczorną gazetę i w niej wyczytałem o nowem bezrobociu w rzemiosłach budowlanych które znowu odraczało wykończenie mego nieszczęśliwego domu.

Przypominam sobie moje oburzenie i wymyślania na

robotników wogóle i na bezrobocia w szczególności na tyle, na ile obecność dam na to pozwalała. Wypowiedziane przeze mnie słowa znajdowały sympatyję u słuchaczy, a rozmowa, którą następnie prowadziliśmy, potępiając agitatorów socjalistycznych, musiała nieraz czkawkę u tych panów wywołać.

Wszyscyśmy się zgadzali na jedno, a mianowicie, że sprawy publiczne idą coraz gorzej i że trudno przewidzieć, czem się to wszystko skończy. Pani Bertlett, o ile pamiętam, wygłosiła następujące zdanie:

— W Europie rzeczy idą jeszcze gorzej, niż u nas; zdawałoby się, że cała klasa robotnicza powoli rozum traci. Zapytywałam niedawno męża, dokąd się udamy, jeśli te wszystkie okropności, o których mówią socjaliści, spełnią się. Na to mi mąż odpowiedział, że wszystkie niemal kraje są zarażone; przysłoby się udać do Grenlandyi, Patagonii lub Chin.

— Ci chińczycy dobrze wiedzieli, co robią, gdy się murem odgradzili od zachodniej cywilizacji. Wiedzieli oni lepiej, niż my, że to wszystko doprowadzi nas niechybnie do bomb i dynamitu... — zauważył ktoś z towarzystwa.

Następnie przypominam sobie, że wziąłem na stronę Edytę i usiłowałem wyperswadować jej, że nie ma co czekać ze ślubem na skończenie domu, ale po prostu podróżować po ślubie, aż dom nasz zostanie wreszcie wykonany.

Sliczną była Edyta tego wieczora. Czarna sukienka, którą wdziała tego dnia na pamiątkę poległych, wydawała jej wdzięki i delikatność jej rysów. Dotąd, gdy zamrużę oczy, widzę ją przed sobą taką, jaką była w owej chwili. Gdy się z nią pożegnałem, wyszła za mną do przedpokoju i tam ją pocałowałem na dobranoc, jak zwykle. Nic nie różniło tego pożegnania od innych, gdyśmy się rozstawali, by się znowu spotkać

nazajutrz. Żadnego przeczucia ani u mnie, ani u niej nie było, że rozstajemy się tym razem na dłużej.

Nieszczęśliwi!

Godzina, w której pożegnałem moją narzeczoną, była jeszcze dość wczesną, jak na zakochanego, ale, niestety, jakkolwiek w zdrowiu zupełnem, pod innymi względami cierpiałem jednak na nieuleczoną bezsenność i właśnie przez dwie uprzednie noce oka nie zmrużyłem i czułem się w owej chwili strasznie zużonym. Edyta wiedziała o tem i nalegała, bym poszedł do domu o 9-ej wieczór, rozkazując mi natychmiast położyć się spać.

Dom, w którym mieszkałem, należał już przez trzy pokolenia do rodziny, której byłem ostatnim żyjącym członkiem... Był to gmach drewniany i elegancki, jakkolwiek staroświecko urządzone, ale dzielnica, w której się znajdował, oddawna była przepełniona zajezdnymi domami i fabryka i, a zatem nie stosowna dla ludzi z mojem stanowiskiem. Ani myśleć było o wprowadzeniu tam żony choćby znacznie mniej wybrednej i arystokratycznej, jak Edyta Bartlett. Dom więc ten wystawiłem na sprzedaż, tymczasem używając go tylko dla noclegu, bo nawet obiad jadałem w klubie. Jeden tylko sługa, murzyn, nazwiskiem Sawyer, mieszkał w mym domu i usługiwał mi. O jednej wszakże rzeczy w tym domu myślałem, że będę jej żałował, a mianowicie mej sypialni, którą kazałem sobie urządzić w podziemiach. Nie mógłbym nigdy zmrużyć oka w mieście, gdybym był zmuszonym mieszkać na piętrze wpośród hałasu miejskiego i nocnego gwaru. W mej podziemnej sypialni natominst nigdy żaden dźwięk świata zewnętrznego nie dochodził. Gdym wchodził do niej i drzwi zasuwiał, otaczała mnie grobowa cisza. By się nie zakradła wilgoć w tem podziemiu,

ściany były grube i wycementowane; toż samo podłoga. By się zabezpieczyć od ognia i rozboju, kazałem wymurować sklepienie i zrobić grube drzwi żelazne. W suficie tylko wentylator odnawiał powietrze w pokoju.

Zdawałoby się, że przy takich warunkach można liczyć na sen spokojny, a jednak rzadko spałem dobrze dwie noce z rzędu. Tak byłem przyzwyczajony do czuwania, że nie robiłem sobie nic z jednej nocy bezsennej. Gdy jednak i drugą noc z rzędu spędzałem na czytaniu, czułem się znużonym i nie pozwalałem więc sobie czuwać przez trzecią z kolei noc z obawy nerwowego rozstroju. Czytelnik wywnioskuje, że rozporządzałem jakimś sztucznym środkiem, sprowadzającym sen; tak było w istocie. Skoro tylko po dwóch z kolei bezsennych nocach obawiałem się o dalszy brak snu, przywoływałem na pomoc dra Pillsburg.

Tytułowano go doktorem z grzeczności tylko; w istocie był to samouczek, nie posiadający żadnych dyplomów. Sam siebie tytułował on „profesorem magnetyzmu zwierzęcego.” Spotkałem go niegdyś podczas mych poszukiwań amatorskich w dziedzinie tegoż magnetyzmu zwierzęcego. Nie przypuszczam, by ten człowiek miał jakiegokolwiek wiadomości z dziedziny nauk lekarskich, ale był to znakomity mesmerzysta.

Gdy groziła mi trzecia noc bezsenna, posłałem po niego, by mię uspił za pomocą magnetyzmu. Bez względu na stopień mego rozdrażnienia nerwowego. Dr Pillsburg w przeciągu kilku minut umiał mnie pogrążyć w sen głęboki. By mnie obudzić, potrzeba było także odwrotnych magnetycznych środków, ale te ostatnie łatwiejsze mi były, więc prosiłem dra Pillsburg, by nauczył, jak ma mnie budzić, służącego mego.

Nikt oprócz mego wiernego sługi nie wiedział o wi

zytach dra Pillsburg, a tembardziej nie znał powodu tych wizyt. Rozumie się, że po ożenieniu odkryłbym Edycie moją tajemnicę. Jeśli dotąd tego nie uczyniłem, to jedynie dlatego, że sen hypnotyczny był cokolwiek niebezpiecznym i wiedziałem, że nabawiłby ją strachu. Niebezpieczeństwo zależało na zbyt głębokiem zahypnotyzowaniu. Powtórzone wielokrotnie doświadczenie przekonało mnie, że podobne obawy były płonne, jeśli tylko zachować należyte środki ostrożności. O tem miałem nadzieję przekonać z czasem Edytę. Po rozstaniu się z nią poszedłem wprost do siebie i posłałem swego wiernego sługę po dra Pillsburg. W oczekiwaniu magnetyzera, udałem się do mej sypialni podziemnej, zamieniłem swój kostium na wygodny szlafrok i zasiadłem w fotelu, by odczytać nadeszłe listy, które Sawyer położył na mem biurku.

Pisał mi właśnie architekta, budujący mój nowy dom i potwierdził wiadomości w wieczornych dziennikach wyczytane. Dodawał on że nowe bezrobocia odraczały na czas nieokreślony wykończenie mego domu, bo ani robotnicy, ani pracodawcy nie ustąpią, jak tylko po długiej walce. Niegdyś Kaligula wyraził żądanie, by cały lud rzymski miał tylko jedną szyję, a to by tem łatwiej ściąć ją; bodaj czy w owej chwili i ja nie wyraziłem podobnego żądania względem klasy robotniczej w Ameryce. Pojawienie się Sawyera w towarzystwie doktora przerwało to ponure rozmyślanie.

Doktor oświadczył mi, że to ostatnia jego wizyta przed wyjazdem, dostał on bowiem katedrę przy uniwersytecie jednego z większych miast południowej Ameryki i zamierzał nazajutrz rano udać się na swe nowe siedlisko. Gdy mu wyraziłem obawę, że nie znajdę zastępcy, któryby potrafił mnie uspić, dr Pillsburg wska-

zał mi kilku lekarzy równie biegłych, jak on w sztuce hypnotyzmu.

Uspokojony tem zapewnieniem, poleciłem Sawyerowi, by mnie obudził nazajutrz o 9-tej rano, położyłem się do łóżka i poddałem się manipulacyjom hypnotysty. Z powodu, być może, większego rozdrażnienia nerwów, niż zwykle, trudniej mi było stracić odrazu świadomość, ale nakoniec rozkoszny spokój mnie owionął i sen głęboki skleił mi powieki.

Rozdział III.

— Otwiera oczy... Niech lepiej widzi nas po kolei, a nie wszystkich razem...

— Dobrze, ale obiecaj mi, że mu nie powiesz...

Pierwszy głos był głosem mężczyzny, drugi kobiety, oboje zaś mówili szeptem.

— To będzie zależało od stanu jego zdrowia... — odpowiedział mężczyzna.

— Nie, nie, przyrzecz mi to w każdym razie... — nastawała kobieta.

— Zrób już wedle jej woli... — szepnął głos trzeci, także kobiety.

— Dobrze, dobrze, przyrzekam... — odrzekł mężczyzna. — Tylko wychodźcie ztąd co prędzej, bo już wraca do przytomności...

Usłyszałem szmer sukien i otworzyłem oczy. Mężczyzna przyjemnej powierzchowności, jakkolwiek mogący mieć lat do sześćdziesięciu, schylał się nade mną. Rysy jego wyrażały wiele dobroci obok niezmiernej ciekawości, z którą się mnie przypatrywał. Był on

dla mnie całkiem nieznanym. Podniósłszy się, oparłem się na łokciu i spojrzałem dokoła. Pokój był pusty. Nigdy uprzednio nie byłem w tym pokoju, ani w żadnym innym podobnie umeblowanym. Spojrzałem na mego towarzysza. On się uśmiechał.

— Jak się pan czujesz?.. — zapytał.

— Gdzie jestem?.. — zagadnąłem.

— W moim domu... — brzmiała odpowiedź.

-- Jakim sposobem tu się dostałem?..

— Pomówimy o tem, jak pan będziesz silniejszym. Tymczasem, błagam, nie troszcz się pan o nic. Jesteś pan w dobrem ręku, pomiędzy przyjaciółmi... Jak się pan czujesz?..

— Jestem trochę nieswój... — odrzekłem — ale sądzę, że zdrow... Powiedz mi pan, proszę, jakim zbiegiem okoliczności korzystam z pańskiej gościnności?.. Co się ze mną stało?.. Jak się tu znalazłem?.. Wszak we własnym domu położyłem się spać...

— Będzie czas na wyjaśnienie... — uśmiechając się uspakajająco, odrzekł mi mój gospodarz. — Lepiej unikać wzruszających rozmów, aż wrócisz pan całkiem do normalnego stanu... Bądź pan łaskaw, wypij trochę tej mikstury, to panu ulży... Jestem lekarzem...

Wziąłem do rąk szklanke i usiadłem na łóżku, jakkolwiek nie bez wysiłku, bo głowa moja zdawała mi się dziwnie lekka.

— Obstawiam przy tem, by wiedzieć natychmiast, gdzie jestem i co pan ze mną robiłeś?.. — zapytałem.

— Mój drogi panie... — odrzekł mój towarzysz — błagam pana, nie irytuj się tylko... Wolałbym, abyś pan tak wcześnie na tłumaczenia nie nastawał... Lecz jeśli pan tego żądaś koniecznie, spróbuję zadość uczynić jego woli, z warunkiem jednak, że pan wypijesz

wprzódę trochę tego płynu, który powinien pana wzmo-
cnić...

Wypiłem to, co żądał. Wtedy on zaczął.

— Nie tak to łatwo, jak panu może się zdawać, opowiedzieć, jakim sposobem pan tu się znalazłeś. O tem możesz mi pan tyleż powiedzieć, co i ja panu. W tej chwili zostałeś pan obudzony z głębokiego snu, a raczej letargu... Tyle mogę panu powiedzieć... Pan mówisz, że byłeś we własnym domu, kiedy się położyłeś spać... Czy mogę zapytać, kiedy to było?..

— Kiedy to było?.. — odrzekłem — kiedy?.. Ależ oczywiście, że wczoraj wieczorem około dziesiątej. Kazałem swemu lokajowi Sawyerowi, by mnie obudził około 9-tej rano. Gdzie się podział Sawyer?..

— Na to nie mogę panu odpowiedzieć... — odrzekł mój towarzysz, przypatrując mi się z ciekawością. — Wiem tylko, że można go mieć za wytłomaczonego, jeśli się tu nie znajduje w obecnej chwili... A teraz może pan zechcesz bliżej określić chwilę, w której pan zasnąłeś... Jaka była wówczas data?..

— Cóż, przeszłej nocy, rozumie się, jakem to mówił przed chwilą, nieprawdaż?.. Chyba żem przespał całą dobę. Boże mój, czyż to być może... a jednak mam jakby wrażenie, żem spał długo. Był to dzień świąteczny, święto narodowe, gdym się spać położył...

— Święto narodowe?..

— Tak jest, w poniedziałek, 30-go...

— Przepraszam, 30-go jakiego miesiąca?..

— Rozumie się, że bieżącego... Chyba że spałem do czerwca, ale to niemożliwe...

— Teraz mamy wrzesień...

— Co pan mówisz?... Czyżbym spał od maja?... Wielki boże, to nie do uwierzenia...

— Da się to wiedzieć... — odrzekł mój towarzysz.—
Utrzymujesz pan, żeś zasnął 30-go maja?..

— Tak jest...

— Jakiego roku?..

Spojrzałem nań z takim osłupieniem, żeś stracił mowę na chwil kilka.

— Jakiego roku?.. — powtórzyłem nareszcie słabym głosem.

— Tak jest... Jakiego roku?.. proszę... Gdy mi pan to powiesz, będę w stanie określić, jak długo pan spałeś...

— Roku 1887-go... — odrzekłem.

Mój towarzysz znowu mi kazał łyknąć kilka razy lekarstwa i wziął mię za puls.

— Kochany panie... — rzekł nareszcie. — Zachowanie się pańskie zdradza wyższe wykształcenie, co, jestem przekonany, nie było rzeczą tak zwykłą i powszechną w owe czasy, jak jest obecnie. Otóż pan nieraz musiałeś zauważyć, że o niczem na świecie nie można rzetelnie powiedzieć, iż jest bardziej od czego innego zadziwiającem. Przyczyny wszelkich zjawisk są zawsze też same i zawsze jednakie wywołują skutki... Że się pan zdziwisz tem, co mu powiem, można się tego spodziewać; ale mam nadzieję, że nie pozwolisz pan, by ta wiadomość zbyt wstrząsnęła pańskim organizmem i naruszyła jego równowagę... Wyglądasz pan na młodzieńca zaledwo trzydziestoletniego i stan zdrowia pańskiego jest podobny do stanu człowieka, który się obudził ze zbyt długiego i głębokiego snu, a jednak dziś mamy 10-ty września 2000 r. i spałeś pan równo sto trzystaście lat 3 miesiące i 11 dni...

Czując, żeś jakby obuchem rażony, wypilem, na prośbę towarzysza, filizankę jakiegoś bulijonu, poczem

uczulem się drzemiącym i znowu wpadłem w sen głęboki.

Gdym się obudził, dzień biały oświecał pokój, który przedtem był sztucznie oświetlonym. Mój tajemniczy gospodarz siedział przy mnie. Nie patrzył on w moją stronę, gdym oczy otworzył; mogłem więc przyjrzeć mu się dowoli i zastanowić się nad mojem szczególnem położeniem, zanim on spostrzegł, że się obudził. Pozbyłem się wszelkiego zawrotu głowy i umysł mój był całkiem jasny. Opowiadanie, wedle którego miałem spać 113 lat i które wskutek osłabienia i zamętu w głowie przyjąłem był bez protestu, przypomniało mi się teraz tylko po to, by je odrzucić, jako bezczelną próbę oszukaństwa, celu którego nie mogłem się domyśleć.

Bez wątpienia, musiało coś zająć nadzwyczajnego, kiedy się obudziłem w tym oryginalnym domu, w towarzystwie tego nieznanego; wyobraźnia rysowała mi najdziwaczniejsze domysły, by ten fakt wytłomaczyć. Być może, padłem ofiarą jakiejś konspiracji?.. Na to zakrawało, niezawodnie; a jednak jeśli rysy człowieka mają być rzetelnem odbiciem jego duszy, to twarz tego, którego miałem przed sobą, odzwierciadlała tyle rozumu i wyrafinowanej delikatności, iż trudno było dopuścić, by ten człowiek był zdolnym do jakiegokolwiek występku lub nawet wyrządzenia komuś jakiej krzywdy.

Wtem przyszło mi na myśl, że może moi przyjaciele, dowiedziawszy się przypadkiem o tajemnicy mego podziemnego pokoju, splełali mi tego figla, by mię przekonać o niebezpieczeństwie mesmerycznych doświadczeń. Ale takie objaśnienie napotykało na wielkie trudności; Sawyer nigdyby mnie nie zdradził, a w dodatku nie miałem pomiędzy mymi przyjaciółmi nikogo

zdolnego do takich żartów; jednakże przypuszczenie, że jestem ofiarą figla, było, bądź co bądź, jedynie możliwe.

Licząc prawie na to, że uda mi się spostrzedz jakąś twarz znajomą, uśmiechającą się i zaczajoną za jakimś krzesłem lub firanką, uważnie powiodłem oczyma wokoło pokoju. Gdy wzrok mój padł powtórnie na mego towarzysza, on patrzył na mnie.

— Miałeś pan piękną drzemkę dwunastogodzinną... — powiedział raptem. — Widzę, że to panu pomogło... Wyglądasz pan znacznie lepiej... Cere masz zdrową i oczy błyszczące... Jak się pan czujesz?...

— Nigdy nie czułem się zdrowszym... — rzekłem, siadając na łóżku.

— Przypominasz pan sobie, zapewne, swe pierwsze obudzenie... — ciągnął on dalej — i swe zdziwienie, gdy pan powiedział, jak długo spałeś?..

— Mówiłeś pan, zdaje mi się, że spałem sto trzydzieści lat...

— Tak jest...

— Przyznasz pan... — odrzekłem z ironicznym uśmiechem — że podobna bajeczka jest wysoce nieprawdopodobną...

— Nadzwyczajna to rzecz, zgadzam się z tem... — odpowiedział — ale, jeśli warunki potrzebne istnieją, to to, co wiemy dziś o letargu, nie pozwala nam uważać zjawiska podobnego za niemożliwe... Jeśli stan letargiczny jest całkowitym, jak to miało miejsce w pańskim wypadku, funkcje życiowe są w zupełnym zawieszeniu, a zatem i tkanki się nie zużywają. Trudno określić granicę, do której może trwać letarg, jeśli tylko zewnętrzne warunki chronią ciało od fizycznego uszkodzenia. Letarg pański trwał, co prawda, dłużej, niż te, o których mieliśmy dotąd pozytywne dane, ale

nie widzę powodu, dla którego, gdybyśmy pana nie znaleźli i gdyby pokój pański zostawał dalej nietknięty, nie miałbyś pan pozostawać w stanie zupełnego bezczucia aż do czasu, gdy po długich wiekach stopniowe ochłodzenie ziemi zniszczyłoby powoli tkanki ciała pańskiego i spowodowało jego rozkład...

Musiałem przyznać w duchu, że jeśli byłem istotnie ofiarą wolnego żartu, jego autorowie znakomicie wybrali tego, co miał ów figiel do końca doprowadzić. Talent i wymowa tego człowieka mogły nadać powagę nawet twierdzeniu, że księżyc jest zrobiony z sera holenderskiego. Uśmiech, z którym patrzyłem na niego, podczas gdy mi wykladał swą hipotezę o letargu, zdawał się nie dekoncertować go wcale.

— Może też pan zechcesz mi udzielić kilku szczegółów co do okoliczności, przy których odkryłeś pan ten pokój, o którym wspominasz i co w nim znalazłeś. Z przyjemnością słucham dowcipnych bajeczek...

— W tym wypadku... — była poważna odpowiedź — żadna bajka tak dziwną być nie może, jak sama prawda. Trzeba panu wiedzieć, że od kilku lat nosiłem się z myślą wybudowania laboratorium w dużym ogrodzie, przytykającym do tego domu; laboratorium to miało mi służyć do chemicznych doświadczeń, które mię bardzo zajmują. Przeszłego czwartku przystąpiono wreszcie do kopania potrzebnych dołów i wymurowania lochu, co zostało ukończone do wieczora. W piątek rano cieśle przyjść mieli; lecz w nocy z czwartku na piątek deszcz ulewny lunął; zalał mi on i zasypał doły a mury lochu rozwalił. Nazajutrz poszedłem oglądać szkody, przez burzę mi uczynione. Córnka moja, która mi towarzyszyła, zwróciła moją uwagę na kamień okitowany, który walące się cegły podmurowania obnażyły. Odgarnąłem trochę ziemi naokoło i spostrze-

głem, że ten kamień należy do jakiejś podziemnej budowy. Postanowiłem to bliżej zbadać. Robotnicy, których w tym celu sprowadziłem, odkopali podłużne sklepienie, znajdujące się o jakie osm stóp pod powierzchnią ziemi i oparte widocznie o podwaliny jakiegoś domu. Pokład węgla i popiołu, który przykrywał sklepienie, świadczył o tem, że dom musiał być zniszczony przez pożar. Sklepienie samo było nietknięte, cement tak wyborny, jak gdyby tylko co położony. Znaleźliśmy drzwi, ale nie mogliśmy ich wywalić; więc musieliśmy oderwać jeden z kamieni sklepienia. Wionęło na nas powietrzem suchem, czystem i niechłodnem. Wziąwszy ze sobą latarnię, wcisnąłem się przez otwór i znalazłem się w pokoju, umeblowanym, jak sypialnia, w stylu XIX-go stulecia. Na łóżku leżał młodzieniec, że ten młodzieniec musiał być martwym i to martwym od lat stu z górą, zdawało się nam nie ulegać żadnej wątpliwości: lecz ciało było tak świetnie zakonserwowane, że byliśmy tem zdumieni, ja i moi koledzy, inni doktorowie, których przywołałem. Takiej umiejętności balsamowania ciała nie przypuszczaliśmy, lecz oto mieliśmy przed oczami dowód, że nasi najbliżsi przodkowie ją posiadali. Moi koledzy, mocno zaciekawieni, chcieli zacząć natychmiast szereg doświadczeń, by odkryć sposób, którego użyto, ale ja ich od tego powstrzymałem. Powodem tego było, że sobie przypomniałem, iż czytałem coś o tem, jak dalece pańscy współczesni wiele zajmowali się zwierzęcym magnetyzmem. Przebiegło mi przez myśl, że pan możesz być w letargu i że powodem zakonserwowania się pańskiego ciała po tylu latach nie jest sztuka balsamowania, lecz po prostu... życie. Myśl ta była jednak na tyle fantastyczną i nieprawdopodobną, nawet w moich oczach, że nie śmiałem jej wypowiedzieć, by nie narazić się na kpiny moich

kolegów; dałem więc inny powód dla odroczenia ich doświadczeń. Skoro jednak zostałem sam, zająłem się natychmiast całym szeregiem prób przywołania pana do życia. O rezultacie mych usiłowań pan wiesz najlepiej...

Gdyby opowiadanie było jeszcze bardziej nieprawdopodobnem, to szczegòły podane oraz ton i postawa opowiadającego zastanowiłyby słuchacza. Już zaczynałem się wahać, aż wtem, właśnie w chwili, gdy on skończył opowiadanie, ujrzałem wypadkowo swój obraz w zwierciadle, wiszącym na ścianie. Wstałem i zbliżyłem się doń. Ujrzałem twarz ani na włos nie zmienioną, ani o jeden dzień nie starszą od tej, którą miałem, gdy zawiązywałem swój krawat, idąc do Judyty w ów dzień święta narodowego. Człowiek ten chciał, bym uwierzył, że to się odbyło 113 lat temu. Ta myśl uprzytomniła mi raz jeszcze cały ogrom oszustwa i gwałtu, który usiłowano mi zadać. Oburzenie owładnęło moim umysłem, gdy zdałem sobie sprawę z tego, co sobie względem mnie pozwolono.

— Zdziwionym jesteś pan zapewne... — ciągnął dalej mój towarzysz — że choć starszym jesteś o cały wiek od chwili, jakęś się spać położył w podziemnym pokoju, to jednak wygląd pański nic się nie zmienił. Niech to jednak pana nie dziwi. Tylko dzięki temu, że się wszystkie funkcyje życiowe w organizmie pańskim zatrzymały, mógłś pan przeżyć tak długi peryjod czasu. Gdyby ciało pańskie podległo było najmniejszym zmianom podczas letargu, już dawno byłoby zgniło...

— Panie... — odrzekłem, zwracając się do niego — jakie powody skłaniają pana do opowiedzenia mi tej bajeczki z tak poważną miną, nie mogę tego odgadnąć; ale sam jesteś pan zbyt inteligentnym, by przypuścić, że może być nią wziętym na kawał ktokolwiek, prócz

ostatniego idyoty. Oszczędź mi pan dalszego słuchania tej wypracowanej blagi i powiedz mi wreszcie, czy mogę się spodziewać od pana jakiegoś zrozumiałego sprawozdania z tego, gdzie jestem i jak się tu znalazłem? Jeśli mi pan odmówisz, to postaram się sam dowiedzieć się prawdy, pomimo wszelkich przeszkód...

— Więc pan nie wierzysz, iż jesteśmy w roku 2000?..

— Czyż istotnie widzisz pan jakąś potrzebę zadawania mi podobnych pytań?..

— A więc dobrze... — odrzekł mój szczególny gospodarz. — Ponieważ nie mogę pana przekonać, to się pan sam przekonasz. Czy masz pan dość sił, by wyjść za mną na schody...

— Jestem równie silny, jak zawsze... — odpowiedziałem gniewnie. — Zresztą może mnie zmuszą wykazać tę siłę, jeśli ten żart dłużej trwać będzie...

— Upraszam pana... — brzmiała odpowiedź mego towarzysza — nie pozwalaj pan zakorzenie się w twym umyśle przekonaniu, że jesteś ofiarą jakiegoś figla, bo jak się pan przekonasz o prawdziwości moich słów, reakcja może być zbyt silną...

Wyraz współczucie, połączonego z litością, z którym przemawiał, i zupełny brak oburzenia na me gniewne słowa, dziwnie mnie zmięszał i wyszedłem za nim z pokoju w bardzo silnym nerwowym rozdrażnieniu.

Weszliśmy dwa piętra po schodach, potem jeszcze jedno piętro niższe i znaleźliśmy się w belwederze, na dachu.

— Bądź pan łaskaw, spójrz wokół siebie... — rzekł on, gdy stanęliśmy na platformie. — A teraz, powiedz mi pan, czy widzisz przed sobą Boston XIX-go stulecia?..

U nóg moich roztaczało się olbrzymie miasto. Na

wszystkie strony widać było długie i szerokie ulice, ocienione drzewami, po obu stronach których piętrzyły się piękne budynki. Budynki te nie przytykały jedne do drugich, ale rozdzielone były małymi lub większymi ogrodami. W każdej dzielnicy piękne, szerokie skwery, pełne drzew, w pośród których białeły posagi i lśniły się wodotryski w promieniach zachodzącego słońca. Gmachy publiczne, kolosalnych rozmiarów i piękności architektonicznej nieznanej za moich czasów, ze wszech stron wznosiły swe wspaniałe filary. Z pewnością, nigdy przedtem miasta tego, ani też podobnego mu, nie widziałem. Wreszcie, podnosząc oczy na horyzont, spojrzałem na zachód. Ta niebieska wstęga, płynąca w zakrętach na zachód, czyż to nie rzeka Karola?.. Spojrzałem na wschód: zatoka Bostonu rozścielała się przedemną ze swymi pagórkami; wszystkie jej zielone wysepki mogłem policzyć.

Wiedziałem już, że mi powiedziano prawdę co do tej nadzwyczajnej przygody, która mnie spotkała.

Rozdział IV.

Nie straciłem zmysłów, ale wysiłek, by zdać sobie sprawę z mego położenia, sprawił mi wszakże zawrót głowy; to też przypominam sobie, że mój towarzysz schwycił mnie za ramię i wprowadził mnie pod rękę z dachu do obszernego pokoju, który się znajdował na najwyższym piętrze domu. Tam nastawał on na to, bym wypił parę kieliszków dobrego wina i coś przekąsił.

— Mam nadzieję, że pan się będziesz czuł wkrótce

zupełnie dobrze... — mówił on głosem pocieszającym. — Nie użyłbym nigdy tak gwałtownego środka, by pana przekonać o jego położeniu, gdyby nie zachowanie się jego, bardzo zresztą w tym razie zrozumiałe... Wyznam... — dodał, śmiejąc się — iż była chwila, w której obawiałem się uleść temu, co panowie w XIX-tem stuleciu nazywaliście mordobiciem i pod tą grozą musiałem postąpić energicznie. Przypomniałem sobie, że bostończycy za czasów pańskich byli skorzy do boksovania i dlatego uważałem za lepsze nie tracić czasu. Sądzę, że teraz już mi pan nie zarzucasz chęci oszukiwania go?..

— Gdybyś mi pan powiedział teraz... — odrzekłem, zawstydzony — że upłynęło nie sto, ale całe tysiąc lat od chwili, gdym po raz ostatni spojrział na to miasto, uwierzyłbym panu...

— Wiek jeden tylko od tej chwili upłynął... — odpowiedział — ale nieraz tysiąc lat w historii upłynęło, nie przynosząc tylu zmian niesłychanych, ile te sto lat ostatnich przyniosło...

— A teraz... — dodał, wyciągając mi dłoń z wyrazem prawdziwej serdeczności — pozwól, gościu, że ci powiem: bądź pozdrowiony w Bostonie dwudziestego stulecia, bądź pozdrowiony pod tym dachem. Nazywam się Leete, tytułują mnie tu doktorem Leete...

— Ja nazywam się Julijan West... — rzekłem, ścisnąc dłoń jego.

— Szczęśliwy jestem, że mogę poznać pana, panie West... — odpowiedział. — Ponieważ ten dom jest wybudowany na miejscu, gdzie był niegdyś pański, mam nadzieję, że go pan będziesz uważał za swój własny...

Gdy się posiliłem, doktor Leete zaproponował mi kąpiel i zmianę ubrania. Przyjąłem z radością obie propozycje.

Widocznie, że te wielkie zmiany, o których mi mówił doktor Leete, nie zaszły w dziedzinie męzkiego ubrania, bo oprócz kilku drobnych szczegółów, moje nowe ubranie wcale mię nie raziło.

Fizycznie czułem się obecnie zupełnie dobrze. Ale czytelnik będzie zapewne ciekawy tego, co się działo w głębi mej duszy; jakim wrażeniom ulegał mój umysł, gdy tak nagle poczułem się przeniesiony do nowego świata? Jako odpowiedź zapytam z mej strony czytelnika, jakie byłyby jego wrażenia gdyby się uczuł w jedno mgnienie oka przeniesiony do raju lub piekła?.. Czy myśli jego, odbiegłszy od nowego otoczenia, wróciłyby do tylko co opuszczonej ziemi, czy też po pierwszej chwili zdziwienia, zapomniałby na czas jakiś swe uprzednie życie i dał się owładnąć ciekawości, wzbudzonej niezwykłym otoczeniem? Co do mnie, powiem, że uległem tej ostatniej alternatywie. Wrażenia podziwu i ciekawości wobec tego wszystkiego, co miałem przed sobą, zaabsorbowały mój umysł i wyłącznie zajęły moje myśli. Czasowo pamięć o mem uprzednim życiu była jakby stępiona.

Skoro tylko uczułem się pokrzepionym dzięki uprzejmej gościnności mego towarzysza, znowu zażądałem powrotu na dach domu, na belweder. Zasiadliśmy więc tam w krzesłach wygodnych, a wokoło nas, u nóg naszych roztaczało się miasto. Gdy doktor Leete odpowiedział na liczne pytania, zadane mu przezemnie o dawnych granicach miasta, których nie mogłem się doszukać i o nowych, które natomiast powstały, zapytał on mię czem, według mego zdania, nowe miasto najbardziej się różni od starego.

— By wzmiankować najprzód drobne rzeczy, zanim pomówimy o większych - odpowiedziałem — zdaje

mi się, że brak kominów i dymu, który z nich wychodził, jest szczegółem, który mię najpierw uderzył.

— Ach prawda!.. — rzekł mój towarzysz z wyrazem żywej ciekawości, — zapomniałem na śmierć o kominach. Ale już tak dawno zostały one zniesione. Już blisko od wieku wasz pierwotny i naiwny sposób ogrzewania się, jako środek przestarzały...

— Wogóle — zauważyłem — zadziwia mię niezmiernie w tem mieście przepych, który świadczy o dobrobycie jego mieszkańców...

— Dużo dałbym za to, by rzucić wzrokiem na Boston za czasów pańskich — rzekł doktor Leete. — Sądząc ze słów pańskich miasta owego czasu nie ciekawie musiały wyglądać.. Przypuściwszy nawet, że panowie mieliście dość gustu, by je pięknie budować, nędza ogólna, która wynikała z dziwaczного ustroju ekonomicznego, nie pozwoliłaby na to. Co więcej: niezmiernie podówczas rozwinięty indywidualizm nie pozwalał na żywsze zajmowanie się sprawami ogółu. Ta drobna ilość nagromadzonych bogactw, któreście mieli, była przeważnie obracana na zbytek prywatny. Dziś na odwrót, nie ma bardziej popularnego użytku nagromadzonych bogactw, jak zdobienie miasta, bo z tego wszyscy zarówno korzystać mogą...

Gdyśmy wrócili na dach, słońce zachodziło, a przy rozmowie aniśmy spostrzegli, jak ciemna noc ogarnęła miasto.

— Już się ściemnia — rzekł doktor Leete — zejdźmy do domu, chciałbym poznać pana z moją żoną i córką...

Te słowa przypomniały mi kobiece głosy, których szept słyszałem w chwili, gdy wracałem do świadomości życiowej. Mocno zaciekawiony tem, jak wyglądają niewiasty 2000 roku, przyjąłem z radością propozycję.

Pokój, w którym zastaliśmy żonę i córkę mego towarzysza, był oświetlony, jak zresztą i całe wnętrze domu, nader miłym światłem, rozumie się sztucznem, ale nie mogłem odkryć źródła, z którego pochodziło. Pani Leete była niezmiernie przystojna i dobrze zakonserwowana kobieta; córka ich zaś, w kwiecie wieku, najpiękniejsza dziewczyna którą mi się kiedykolwiek widzieć zdarzyło. Twarz jej czarująca, o głębokich oczach niebieskich, prawidłowych rysach i cerze śnieżnej białości z lekkim rumieńcem, ramiona okrągłe, kibić wysmukła, ruchy pełne wdzięku, to wszystko zapewniłoby jej sławę pierwszorzędną piękności w dziewiętnastym stuleciu. Wysmukłość kształtów łączyła się u tej ślicznej istoty z wyrazem zdrowia i żywości, które zbyt rzadko, niestety, spotykałem u dziewcząt XIX-go stulecia, a z temi wszak tylko ja mogłem ją porównywać.

Dziwnym zbiegiem okoliczności — choć tu tyle było rzeczy nadzwyczajnych, że i dziwić się już nie mogłem — nazywano ją Edytą.

Wieczór, który w tem towarzystwie spędziłem, był, z pewnością, jedyny w historii społecznych stosunków, lecz ktoby myślał, żeśmy prowadzili rozmowę naciągniętą i konwencyjonalną, mocnoby się mylił. Zdaje mi się, że właśnie w tak zwanych nadzwyczajnych warunkach ludzie zachowują się niezmiernie naturalnie, a to dlatego, że wobec tych warunków niknie wszelka przesada. Bądź co bądź, moje zachowanie się tego wieczora z owymi przedstawicielami innego wieku i świata było tak swobodne i otwarte, jak rzadko się zdarza nawet być z dawnymi znajomymi. Zachowanie się pełne taktu tych, z którymi się znajdowałem, wiele się do tego niezawodnie przyczyniło. Nie było, oczywista, żadnego innego przedmiotu rozmowy, jak tylko dziwny wypadek, dzięki któremu w ich gronie się znajdowałem, ale

mówili oni o tem z takim naiwnem i żywym zajęciem, że nie mogło być mowy o żadnem uczuciu osamotnienia z mojej strony. Ktośby myślał, że mieli oni zwyczaj obcować z rozbitkami innego stulecia: tyle było taktu w ich zachowaniu się.

Co do mnie, to doprawdy nie pamiętam, abym miał kiedykolwiek umysł tak bystry, tak otwarty, lub większą wrażliwość, jak owego wieczora. Nie chcę tem powiedzieć, że zapomniał choćby na chwilę o dziwnem położeniu, w którym się znajdowałem, ale właśnie świadomość o niem wprawiała mię w rodzaj gorączkowej egzaltacji, jakby mózgowego upojenia.

Edyta Lecte mało brała udziału w naszej rozmowie; ale nieraz, gdy urok jej piękności przyciągał mimowoli wzrok mój i gdy lubowałem się jej śliczną twarzyczką, spotykałem jej oczy zwrócone ku mnie z wyrazem naprężonej uwagi, prawie zachwytu. Widocznie, zainteresowałem ją do nadzwyczajnego stopnia; co zresztą nie dziw, jeśli to była dziewczyna z żywą wyobraźnią. Chociaż mogłem przypuścić, że tylko ciekawość wzbudziłem w niej, jednak czułem się rozczulonym, co z pewnością nie miałyby miejsca, gdybym miał do czynienia z mniej ładną osobą.

Doktor Lecte, także jak i panie, zdawał się być niezmiernie zainteresowany okolicznościami, wśród których położyłem się spać w podziemnym pokoju. Każdy dawał swe objaśnienie, by wytłomaczyć, jakim sposobem mogli mię tam zapomnieć; wreszcie zgodziliśmy się na jedno objaśnienie, które zdawało się nam najprawdopodobniejsze, chociaż nie wiadomo, na ile w szczególach mogło być prawdziwe.

Pokład popiołu, który — jak odkryto — przykrywał sklepienie pokoju, świadczył, że dom uległ płomieniom. Przypuściwszy, że pożar wybuchł w nocy, gdy zasną-

łem, trzeba jeszcze dopuścić, że Sawyer stracił w nim życie, a wtedy reszta łatwo daje się objaśnić. Nikt oprócz niego i doktora Pilsburg nie wiedział o istnieniu pokoju, ani o tem, że w nim być mogłem; a doktor Pilsburg, który tegoż wieczora wyjechał do Nowego Orleanu, o tym pożarze zapewne i nie słyszał. Moi przyjaciele i znajomi zdecydowali zapewne, że zginął w czasie pożaru. Grzebanie w pogorzeliisku nie mogło doprowadzić do odkrycia mego schronienia, które się znajdowało pod podwalinami domu. Gdyby na tem miejscu postawiono natychmiast nowy dom, rozumie się, że, ryjąc potrzebne na to doły, odkryłoby podziemne sklepienie; ale z jednej strony niedogodne miejsce, z drugiej czasy, w których człowiek nie był pewnym o jutro, nie sprzyjały temu. Sądząc ze wzrostu drzew, które się znajdowały na miejscu spalonego domu, doktor Leete zawyrokował, że to miejsce było niezabudowane przynajmniej jakie pół wieku.

Rozdział V-ty.

Przy końcu wieczora, gdy panie odeszły do siebie i pozostaliśmy sami z doktorem Leete, ten ostatni zapytał mię, czy chcę już udać się na spoczynek, bo w takim razie łóżko moje już posłane; jeśli zaś wolę czuwać, to bardzoby mu było przyjemnie dotrzymać mi towarzystwa.

— Jestem nocnym ptakiem... — dodał — lubię czuwać do późnej nocy, a prawdę powiedziawszy i nie schlebiając panu, powiem, że trudno sobie wystawić

bardziej zajmującego towarzysza, jak pan. Nie często człowiekowi się zdarza gawędzić z ludźmi dziewiętnastego stulecia...

W ciągu wieczora myślałem z pawnym strachem o chwili, w której przyjdzie mi zostać sam ze swemi myślami. W towarzystwie tych ludzi obcych, lecz tak przyjacielsko do mnie usposobionych, podtrzymany i ożywiony ich żywym zajęciem się mną, mogłem utrzymać swą umysłową równowagę, choć i to, w chwilach, gdy rozmowa się urywała, wrażenie błyskawiczne o świadomości straszego mego położenia, gdy sam zostanę ze swemi myślami, wywoływało we mnie dreszcz chwilowy. Wiedziałem, że tej nocy oka nie zmruję; a leżąc z otwartą żrenicą, pogrążony w myślach, wyznaję, że tego okropnie się bałem. Wyznałem to otwarcie doktorowi, który mi powiedział, że wcale się nie dziwi memu wrażeniu, lecz co się tyczy bezsenności, to mogę być spokojnym; gdy zechcę pojsć spać, da mi on lekarstwo, które mi zapewni zdrowy sen do jutrzejszego rana.

— A jutro obudzisz się pan z pewnością z wrażeniem pełnoprawnego obywatela teraźniejszego wieku...

— Nim do tego dojdzie... — odrzekłem — chciałbym wiedzieć coś więcej o tym Bostonie, w którym się dziś znajdują. Mówiłeś mi pan, gdyśmy byli na górze, że chociaż wiek tylko upłynął od chwili, kiedym zasnął, więcej zmian zaszło podczas tych stu lat w położeniu ludzkości, niż w innych lat tysiąc. Patrząc na zmiany zaszłe w mieście, łatwo mi uwierzyć temu; chciałbym jednak coś bliżej o tem wiedzieć. By zrobić początek, zacznę od najważniejszego pytania: jak panowie rozwiążaliście kwestyję robotniczą? Była to prawdziwa zagadka sfinksa i sfinksów w chwili, gdym zasypiał, zagrażała społeczeństwu zagładą; jeśli tej zagadki nie

rozwiąże. Warto było doprawdy zasnąć na sto lat, by się dowiedzieć o rzetelnem rozwiązaniu zagadki, jeśliście, panowie, na prawdę ją rozwiązali...

— Ponieważ obecnie kwestyja robotnicza nie istnieje — odparł doktor Leete — i nie widzę możliwości, aby się zjawiała, możemy więc pochlebić sobie, żeśmy ją rozwiązali. Społeczeństwo zasłużyłoby doprawdy na to, aby być poźartem, gdyby nie potrafiło rozwiązać tak prostej zagadki. Prawdę powiedziawszy, nie było tu wcale żadnej zagadki. Rozwój przemysłu przygotował rozwiązanie, którego przewrót dokonał. Społeczeństwo poddało się chętnie nowej zmianie, która była w interesie wszystkich...

— Jedno zauważę... — odrzekłem — a mianowicie, że, gdym zasypiał, nie przewidywano podobnego przewrotu...

— Zasnąłeś pan w roku 1887, czy tak?..

— Tak jest: 30-go maja 1887 roku...

Mój towarzysz przypatrywał mi się przez jakiś czas ze zdziwieniem. Wreszcie zauważył:

— Więc pan utrzymujesz, że za jego czasów nie przeczuwano kryzysu, do którego społeczeństwo wielkimi podążało kroki? Wierzę zupełnie. oczywista, słowom pana. Szczególne zaślepienie współczesnych panu ludzi, przeoczenie wszelkich zatrwających symptomatów, jest zjawiskiem, o którym wiele mówią nasi historycy. Lecz mało jest faktów w historyi, w które trudniejby nam było uwierzyć, jak w to zaślepienie; bo rzucając okiem wstecz, znajdujemy, za czasów pańskich, tyle symptomatów niemylnych, tyle wiernych wskazówek, które panowie na każdym kroku spotykaliście, a które zwiastowały rychły przewrót. Gdybyś pan zechciał naszkicować mi poglądy pańskie i współczesnych panu ludzi na jednym szczeblu rozwoju stojących, na

stan społeczeństwa, oraz na cele, do których ono dążyć miało w 1887 r., mocnoby to mnie zajęło. Musieliscie jednak, panowie, uznawać, że ciągle nieporządki w przemyśle, ciągle powtarzające się bunty miejscowe, niezadowolenie w społeczeństwie z powodu nierówności klasowej i nędza większej części ludzkości zwiastowały zbliżającą się burzę...

— Uznawaliśmy to w istocie — odrzekłem. — Czuliśmy, że społeczeństwo napróżno chce się oprzeć unoszącemu je potokowi; nie wiedzieliśmy tylko, czy rozbicie blizkie, lecz baliśmy się skał...

— A jednak nie tak trudno było określić kierunek potoku — zauważył doktor Leete. — Gdybyście, panowie, chcieli tylko poważnie mu się przypatrzeć, to zauważylibyście, że nie na skały niósł on społeczeństwo, lecz na głębsze i bardziej rozległe wody...

— O tem nie powiedzieć nie mogę... — odrzekłem. — Wiem tylko jedno: zanim popadłem w ów głęboki sen, widoki na przyszłość były takie, że gdybyś mi pan pokazał dziś z belwederu, zamiast owego pięknego miasta, stos ruin i pogorzelsko, wcalebyś mnie pan nie zadziwił...

Doktor Leete słuchał mnie z nateżoną uwagą i kiwał głową w zamyśleniu, a gdy skończyłem mówić, odezwał się w te słowa:

— To, co pan mówisz, będzie niezmiernie ważnym argumentem dla naszego historyka Storjota, któremu zarzucają przesadę, gdy opisuje ponurość waszej ery i straszny zamęt pojęć ówczesnych. Że peryjod przechodowy, jak ten, który przebywaliście, mógł wywołać rozdrażnienie, a nawet pewien niepokój, to rzecz naturalna; ale gdy się zważy, jak proste i logiczne były działające siły, to prędzej się przypuści, że u ludzi na

ich widok budziła się nadzieja i wiara w przyszłość, aniżeli rozpacz i strach, o których pan mówisz...

— Z tem wszystkiem, nie opowiedziałeś mi pan dotąd, jaką drogą rozwiązano zagadkę... — zapytałem — a ciekaw jestem, jakim sposobem z tak okropnych mętów, w których grzęźliśmy wówczas, przeszliście panowie do peryjodu takiego spokoju i takiej pomyślności, jakich zdajecie się dziś używać?..

— Przepraszam, że przerwę... — rzekł mój towarzysz. — Czy palisz pan?..

Dopiero gdyśmy zapalili cygara, ciągnął on dalej:

— Ponieważ jesteś pan bardziej usposobiony do rozmowy, niż do snu i ja tak samo, więc może najlepiej zrobię, gdy spróbuję nasz obecny system przemysłowy naszkicować panu tak, byś mógł jasno się w nim rozejrzeć. Za czasów pańskich, bostończycy słynęli ze swej manii do zadawania pytań, i ja pójdę za ich przykładem i dam panu jedno pytanie: czem głównie odznaczał się ruch robotniczy za czasów pana?..

— Rozumie się, że wielką ilością bezrobóć... — odpowiedziałem.

— Ale co czyniło te bezrobocia tak wytrwałemi?..

— Pomoc, którą im niesły stowarzyszenia robotnicze...

— Jakiż był cel tych stowarzyszeń?..

— Robotnicy utrzymywali, że potrzebują się organizować, by bronić swych praw wobec wielkich kompanij... — brzmiała moja odpowiedź.

— Tak jest... — mówił dalej doktor Leete — organizacja robotników i bezrobocia były tylko skutkiem tej niestęchanej koncentracji kapitału, o której przed tem nie miano nawet pojęcia. Dawniej, handel i przemysł był prowadzony na małą skalę, przez drobnych przedsiębiorców, a wtedy robotnik był stosunkowo bar-

dziej niezależny od swego pracodawcy. Co więcej: póki drobny kapitalik lub nowy pomysł wystarczały, by człowieka postawić na nogi, nieraz robotnik stawał się pracodawcą i przedział pomiędzy temi dwiema klasami nie bywał tak wyraźny i nieprzebyty. Związki robotnicze były na ówczas zbyteczne, a o bezrobociach i mowy nie było. Lecz gdy nastąpiła era wielkich nagromadzeń kapitałów, wszystko się zmieniło. Pojedynczy robotnik, którego stosunkowo wysoce cenił drobny pracodawca, stał się bezsilnym i stracił swe znaczenie w oczach wielkich kompanij, a jednocześnie możność wzniesienia się do roli pracodawcy, znikła mu z oczu na zawsze. Potrzeba samoobrony pchnęła go na drogę stowarzyszania się ze swymi towarzyszami niedoli... Sprawozdania z owego czasu świadczą, że oburzenie przeciw koncentrującemu się kapitałowi rosło z dniem każdym. Wierzano, że kapitalizm groził społeczeństwu niewolą gorszą niż wszystkie znane dotychczas. Utrzymywano, że wielkie kompanije przygotowują dla robotników jarzmo bardziej poniżające, niż wszelkie jarzma, które dotąd przygniatały ludzi; a mianowicie niewolę wobec bezdusznej maszyny, nieznającej litości. Spoglądając w przeszłość, nie dziwimy się tej ich rozpacz, gdyż, w istocie, trudno sobie wystawić straszniejszy los, jak ten, któryby spotkał niższą klasę, gdyby pozwolono się rozwielić tak dalece wielkim kompanijom i gdyby nastąpiła w swej pełni era tego absolutnego panowania wielkiego kapitału... Tymczasem, nie zwracając wcale uwagi na oburzenie i skargi, które wywoływał, kapitał coraz bardziej się monopolizował, coraz więcej rozszerzał swą sferę działania. W Stanach Zjednoczonych, gdzie koncentracja kapitałów zjawiała się później, niż w Europie, w końcu XIX-go wieku, żadne przedsiębiorstwo przemysłowe nie mogło

się udać jednostkom, chyba że miały w swem posiadaniu olbrzymie kapitały. Drobnny przemysł, który się jeszcze niekiedy dawał spotykać, był tylko pozostałością minionej epoki i dogorywał powoli, nie przyciągając wcale kapitałów. Żył on jeszcze, ale krył się po norach, jak szczury i myszy, zawdzięczając swe życie jedynie temu, że przeszedł niespostrzeżony. Koleje żelazne były w ręku paru bogaczy, stojących na czele akcyjnych kompanij; toż samo miało miejsce z każdą gałęzią rękodzielnictwa i przemysłu. Te kompanije trzymały w ręku wszystko, zniżały płacę robotniczą, a nikt im się oprzeć nie zdołał — chyba, że wybuchło jakie bezrobocie, potężne swą siłą liczebną i energiją strejkujących robotników. Wtedy wrzała walka, częstokroć kończąca się przegraną robotników, a wtedy tyranija kapitalistów jeszcze bardziej się wzmagala. W miastach wielkie magazyny pożerały wszystkich swych drobnych rywalów, małych kupców, którzy częstokroć nie mieli innego wyjścia, jak służyć komisantami właśnie u tych, którzy byli przyczyną ich zguby. Kto posiadał drobny kapitalik, nie mogąc go użyć na żadne samodzielne przedsięwzięcie, wkładał swój wdowi grosz najczęściej w akcyje takiego wielkiego domu handlowego, w którym dla siebie szukał zajęcia i tym sposobem podwójnie się uzależniał... Pomimo rozpaczliwej opozycyi ludu, kapitał coraz bardziej się monopolizował w kilku rękach, co dowodzi, że musiały wchodzić w grę jakieś bardzo silne ekonomiczne przyczyny. Istotnie, jeśli zginęli mali kapitaliści ze swymi niezliczonymi, drobnymi interesikami, jeśli ustąpili miejsca wielkim, skoncentrowanym kapitałom, to dlatego, że należeli oni do czasów minionych, w których wszystko się robiło na małą skalę i nie mogli wcale zadość uczynić wymaganiom wieku pary, telegrafów i olbrzy-

mich przedsięwzięć. Powrócić do dawnych czasów było niepodobna, a w dodatku powrót do dawnych niewygód nie uśmiechał się wcale nawet ofiarom wielkiego kapitału, które musiały przyznać, że jakkolwiek skoncentrowany kapitał gnębił je do najwyższego stopnia, z drugiej strony jednak ogromnie się przyczynił do rozwoju narodowego przemysłu, zaprowadził oszczędność pracy przez skoncentrowaną jej organizację i powiększył bogactwo krajowe do niesłychanego stopnia. Zapewne, że to wzbogacenie kraju wzbogacało głównie bogatych, czyniąc głębszą przepaść, która ich oddzielała od biednych; lecz, bądź co bądź, faktem było, że jako środek wytwarzania bogactw, kapitał tem więcej ich wytwarzał, im bardziej był skoncentrowany. Powrót do dawnego systemu z drobnym podziałem kapitału mógłby, co prawda powrócić większą równość w stanowiących społecznych, a z nią i więcej godności osobistej oraz swobody, ale byłoby to kosztem ogólnego zubożenia i wstrzymania postępu materalnego. Czyż więc nie było sposobu korzystania z usług, które oddawał ludzkości potężny, wytwarzający bogactwa, skoncentrowany kapitał, bez uginania czoła przed bezczelną plutokracją?.. Skoro ludzie poczęli zadawać sobie podobne pytania, natychmiast znaleźli na nie gotową odpowiedź. Dążność do prowadzenia interesów przez coraz większe, skoncentrowane kapitały, — dążność do monopolów, z którą tak rozpaczliwie choć tak napróżno walczano, okazała się wkońcu w swem właściwem świetle, to jest jako forma nowa, którą potrzeba było użyć stosownie, by otworzyć złotą przyszłość dla ludzkości. Na początku ostatniego stulecia rewolucja uświęciła nowy ustrój, konfiskując cały kapitał, jako własność narodową. Przemysł i handel kraju przestał już być narzędziem niewoli w rękach kompanij i syndykatów,

a nawet jednostek nieodpowiedzialnych przed nikim, kierujących się jedynie swą fantazyją i żądzą zysku, natomiast powierzony on został jednemu tylko stowarzyszeniu, odpowiedzialnemu przed całym ludem, działającemu w interesie ogółu i na korzyść wszystkich. Cały zaś naród zorganizowany został jako jedno wielkie stowarzyszenie wytwórcze, w którym wszystkie oddzielne stowarzyszenia się zlewały. Tym sposobem naród cały został jedynym, olbrzymim kapitalistą, który pochłoniął wszystkie oddzielne kapitały, — jedynym pracodawcą, posiadającym w swem ręku jedyny monopol, w którym się skoncentrowały i utonęły wszystkie uprzednie, drobne monopole, — monopol, z którego korzystają zarówno wszyscy obywatele kraju. Jednem słowem, obywatele stanów Zjednoczonych wzięli nareszcie w swe ręce kierownictwo swych interesów, organizując się dla zdobycia i utrzymania władzy ekonomicznej w podobny sposób, jak ongiś organizowali się dla zdobycia władzy politycznej. Spostrzeżono wreszcie (dziwna, że tak późno), iż sprawa najbliższej obchodząca ogół jest to handel i przemysł, bo na nich opiera się dobrobyt całego ludu, że zatem szaleństwem jest oddawać kierownictwo nimi ludziom prywatnym, wyyskującym je na własną korzyść, tak samo, jak niegdyś szaleństwem było powierzać królom i szlachcie rządy polityczne.

— Zmiana tak olbrzymia, jak ta, którą pan opisujesz, nie przeszła zapewne bez okropnych wstrząśnień i wielkiego krwi rozlewu?.. — zapytałem.

— Kłamałbym, gdybym temu chciał zaprzeczyć... — odrzekł doktor Leete — nie obeszło się bez gwałtownej walki. Nie była ona jednak tak bezlitośną, jakby się panom wydawać mogło w dziewiętnastym stuleciu, kiedy najmniejsze częstokroć bezrobocie bywało powo-

dem do krwi rozlewu. Wówczas rozwielniona burżuazyja wierzyła jeszcze w możliwość zatopienia we krwi myśli socjalistycznej. Lecz powoli wzmagająca się solidarność międzynarodowa robotników, coraz to silniejsze i bardziej sprężyste organizacje robotnicze, wreszcie zlanie się wszystkich organizacyj socjalistycznych w jeden związek międzynarodowy przekonały burżazyję, iż nie tylko marzyć nie podobna o zaniknieniu kierunku socjalistycznego, ale nawet opierać mu się i walczyć z nim jest rzeczą bezowocną. Gdy wybiła wreszcie godzina walki, większość burżuazyi straciła była wiarę w możliwość zwycięstwa. Wystąpiła do boju tylko owa mniejszość, wierząca jeszcze „w swą broń i w swe pancerze“; większość zaś, czując swą słabość, wołała kapitulować w nadziei utargowania sobie lepszych warunków. Nowy zaś ustrój, powołując do siebie tych wszystkich, którzy mogli i chcieli oddawać usługi społeczeństwu, zabezpieczając chorych i niezdolnych do pracy, jednym słowem rozpościerając opiekę nad każdym członkiem społeczeństwa rychło pogodził ze sobą dawnych swych wrogów.

Rozdział VI-ty

Doktor Leete przestał mówić; ja także zamilkłem, usiłując sformułować sobie i objąć całość tych zmian w ustroju społecznym, które wypłynęły z okropnej rewolucyi przed chwilą mi opisaney.

Nakoniec rzekłem :

— Takie niesłychane rozszerzenie władzy rządowej wywiera, co najmniej, wrażenie przygniatające...

— Rozszerzenie władzy rządowej?.. — wykrzyknął doktor Lecte. — Gdzież widzisz pan to rozszerzenie władzy?..

— Za moich czasów... — odrzekłem — obowiązki rządu ograniczały się, ściśle mówiąc, do utrzymywania porządku wewnątrz kraju i do obrony tegoż kraju od zewnętrznych napaści, innymi słowy, do utrzymywania wojska i policji...

— Ależ, na miły bóg, kto może nam grozić zewnętrzną napaścią?.. — zawołał doktor Lecte. — Czy Francja, Anglija, Niemcy?.. A wewnątrz kraju, któż może zakłócić porządek : czy ci, co są głodni, zmarznięci i nędzy ? Za waszych czasów rządy miały zwyczaj, skoro zjawiało się najmniejsze nieporozumienie międzynarodowe, chwycić przemocą obywateli i posyłać ich setkami i tysiącami na śmierć lub kalectwo, wydając tymczasem ich fundusze z największą lekkomyślnością. To wszystko działo się bez najmniejszej troski o korzyść kraju, nawet w razie wygranej. Dziś my już wojen nie mamy i rząd nasz żadnych praw nie ma do wypowiedzenia lub prowadzenia takowych ; natomiast, by ochronić każdego obywatela od głodu, chłodu, i nędzy, oraz zaspokoić wszystkie jego materyjalne i umysłowe potrzeby, rząd ma polecenie kierowania przemysłem w ciągu lat kilku. Nie, panie West, jestem przekonany że, jak się pan zastanowisz, to spostrzeżesz, że to właśnie za czasów pana, nie zaś obecnie, władza rządowa była ogromna. Dla najlepszych czynności nawet nie zgodzonoby się się dziś udzielić rządowi tyle władzy, ile on wówczas używał dla najszkodliwszych celów..

— Nie wdając się w żadne porównania... — rzekłem — przedajność i korupcyja naszych działaczy politycznych była tak wielką, iż to jedno uniemożliwiłoby projekt oddania rządowi kierownictwo przemysłem. Zdawało się nam,

iz trudno o gorszy pomysł, jak oddanie naszym politykom kontroli nad bogactwem i produkcją krajową. I bez tego, materalne interesy kraju były lekceważone w walkach partyjnych i często na szwank wystawione...

— Bez wątpienia, panowie mieliście słuszność — odrzekł doktor Leete — ale dziś wszystko się zmieniło. Nie mamy już ani partyj politycznych ani wielkich polityków, a co do sprzedajności i korupcyi, te słowa mają dziś dla nas tylko historyczne znaczenie...

— Chyba, że natura ludzka tak bardzo się zmieniła...
— zauważyłem.

— Wcale nie — brzniała odpowiedź doktora Leete — tylko warunki życia ludzkiego się zmieniły, a z nimi i pobudki postępów ludzkich. Ustrój społeczny dzisiejszy nie sprzyja łajdakom. Zresztą zrozumiesz to pan dopiero, gdy bliżej nas poznasz...

— Lecz nie opowiedziałeś mi pan jeszcze, jakim sposobem załatwioną została kwestyja robotnicza. Dyskutowaliśmy dotąd nad kwestyją kapitału... — rzekłem.

— Po skonfiskowaniu przez naród młynów, maszyn, żelaznych kolei, ferm, kopalń, jednym słowem całego kapitału, zostawała wciąż kwestyja pracy do załatwienia. Biorąc na siebie kierownictwo produkcją i odpowiedzialność za nią, naród ulegał zarazem wszystkim wadom i trudnościom systematu kapitalistycznego...

— Skoro tylko naród wziął na się odpowiedzialność za kierownictwo produkcją, te wszystkie trudności znikły... — odrzekł doktor Leete. — Narodowa organizacyja pracy pod jednolitym kierunkiem była właśnie owem rozwiązaniem zadania, które za pańskich czasów i przy ówczesnym systemie produkcyi, słusznie uważano za niemożliwe do rozwiązania. Skoro naród został jedynym pracodawcą, wszyscy obywatele jego zostali tem samem, mocą swego obywatelstwa, pracownikami,

otrzymującymi zajęcie stosownie do potrzeb przemysłu i wytwarzania...

— Innemi słowy, panowie zastosowaliście po prostu zasadę powszechnej służby wojskowej, jak ją za naszych czasów pojmano, do kwestyi robotniczej...

— Tak... — odrzekł doktor Leete. — Nastąpiło to jako prosty wynik tego faktu, że naród został jedynym kapitalistą. Już i przed tem, ludzie byli przyzwyczajeni do myśli, iż obowiązkiem każdego obywatela, bez różnicy stanowiska, było odbywać służbę wojskową dla obrony kraju (tylko ludzie upośledzeni fizycznie temu prawu nie ulegali). Że również obowiązkiem każdego obywatela jest przynosić swą dolę usług materialnych i umysłowych krajowi, jest rzeczą jasną; lecz stało się to możliwem dopiero wtedy, gdy naród został jedynym pracodawcą, wtedy bowiem, dopiero, obywatele byli w stanie oddawać swą pracę, mając pewność słusznego podziału jej owoców pomiędzy wszystkich członków społeczeństwa. Nie podobną było myśleć o żadnej organizacyi pracy wtedy, gdy władza prawodawcza była podzielona pomiędzy setkami i tysiącami jednostek i stowarzyszeń, pomiędzy którymi zgoda nie była ani pożądaną, ani nawet możebną. Wówczas zjawiskiem codziennem niemal, była z jednej strony wielka ilość ludzi chcących pracować, a nie znajdujących zajęcia, z drugiej spora ilość próżniaków, którym najłatwiej było uniknąć wszelkiej pracy i nie uiszczać się wcale ze swego długu względem społeczeństwa...

— Praca jest dziś zapewne przymusową dla wszystkich... — zauważyłem.

— Jest ona raczej logicznym wy wpływem obecnych warunków i nikomu do głowy nawet nie przyjdzie myśl o jakimkolwiek przymusie. Ten, którego trzebaby

było zmuszać do pracy, stałby się przedmiotem ogólnej pogardy. Zresztą co tu mówić o przymusie! Nasz ustrój społeczny tak całkowicie wypływa z pracy i opiera się na niej, że gdyby można było przypuścić, iż ktokolwiek od tej pracy się uchylił, to nie miałby on żadnego środka utrzymania. Wykluczony z ogółu, odłączywszy się od swoich bliźnich, spełniłby on na sobie rodzaj samobójstwa...

— Czy służba w tej armii przemysłowej trwa całe życie?..

— Bynajmniej; zaczyna się ona nawet później i kończy wcześniej, niż średni peryjod pracy za waszych czasów. Wasze fabryki były pełne dzieci i starców; my zaś uważamy wiek dziecienny, jako jedynie przeznaczony kształceniu się, wiek starości zaś, gdy siły zaczynają słabnąć, powinien być, wedle nas, oddany przyjemnemu odpoczynkowi i przepędzony w dobrobycie. Peryjod zaś pracy społecznej jest dwudziesto-czteroletni; zaczyna się on po skończeniu nauk w dwudziestym pierwszym pierwszym roku i kończy się, gdy jednostka dochozi do lat czterdziestu pięciu. Po 45 latach, choć już wolny od pracy, każdy obywatel jest jednak zobowiązany do stawienia się w specjalnych razach, gdy jakieś wypadki powiększą popyt na pracę. Ten obowiązek: być zawsze w pogotowiu na usługi ogółu — trwa do 55 lat, ale wezwania takie bardzo rzadko mają miejsce; można nawet powiedzieć, że prawie nigdy się nie zdarzają. Każdego roku dzień 15 października jest przeznaczonym dla zaciągnięcia młodych ludzi, dwudziesto-jednoletnich, do szeregów pracujących; tegoż dnia ci, którzy doszli do czterdziestu pięciu lat, t. j. ci, którzy pracowali przez lat 24, są z tych szeregów wykreśleni z wyrazem należnego uznania. Jest to dla

nas najsolenniejszy dzień w roku; od niego datujemy wszystkie inne zachodzące wypadki...

Rozdział VII-my

— Dopiero po uformowaniu tej armii przemysłowej i wprowadzeniu jej w ruch, zaczynają się, jak sądze, główne trudności... — zauważyłem — bo tu się kończy jej podobieństwo do wojska. Żołnierze, bowiem, mają zawsze jedno i toż samo zajęcie, a mianowicie: musztry, marsze i odbywanie straży. Tym czasem armija przemysłowa musi uczyć się i wykonywać kilkaset rozmaitych czynności, jako handel, rzemiosła i t. d. Jakaż głowa administracyjna może podołać zadaniu trafnego nakreślenia każdej jednostce zajęcia dla niej najodpowiedniejszego?..

— Określenie to nie należy wcale do administracyi.

— Któż więc tem się zajmuje?.. — zapytałem.

— Każdy wybiera dla siebie, stosownie do swego gustu i skłonności. Wszelkich dołożono starań, by ułatwić każdemu to odkrycie w sobie zdolności i talentów. Zasada, na której się opiera organizacyja naszej armii wytwórczej, polega właśnie na tem, że wrodzone zdolności człowieka najlepiej określają rodzaj pracy, którą może on przynieść największą korzyść społeczeństwu, a przyjemność sobie samemu. Podczas gdy obowiązek służenia społeczeństwu w jakiegokolwiek formie jest nieunikniony, wybór rodzaju służby, choć podlegający pewnemu uregulowaniu, jest zostawiony każdej jednostce. Ponieważ przyjemność osobista każdego osobnika podczas odbywania przezeń służby zależy od tego, czy jego zajęcie odpowiada upodobaniu, rodzice i

nauczyciele bacznie śledzą za rozwojem dzieci, by odkryć w nich jak najwcześniej wrodzone talenty i zdolności. Wprawa fizyczna w wykonywaniu rozmaitych rzemiosł nie należy do systemu naszego wychowania; jest ono raczej skierowane do ogólnego umysłowego i moralnego rozwoju dziecka, które głównie pobiera lekcje rozmaitych nauk. Jednak teoretyczne wiadomości o sposobach używanych w rozmaitych rzemiosłach, są wykładane; dzieci oprowadzają po fabrykach i warsztatach, by je oswoić z poszczególnymi rzemiosłami. Zwykle długo przed postąpieniem na służbę społeczną młody człowiek, gdy ma jakie specjalne powołanie, odkrył je już w sobie i nabył sporo potrzebnych doń wiadomości. Jeśli jednak nie ma on specjalnych skłonności do jakiego zajęcia i nie zrobi wyboru zawczasu, to gdy czas nadszedł, zaliczają go do robotników, których rodzaj pracy nie wymaga żadnego uzdolnienia: idzie on tam, gdzie potrzeba rąk...

— Ależ to być nie może... — wyrzekłem — żeby ilość ochotników odpowiadała właśnie liczbie rąk potrzebnych w danej gałęzi pracy. Ilość ta rąk musi być zawsze niższą lub wyższą, niż popyt na nie...

— Ochotników przyjmują tylko tylu, ilu potrzeba, ani jednego więcej... — odrzekł dr Leete. — Jest to rzecz administracyi, by pomyłki nie było, ani też napływu ochotników. Jeśli takowy napływ ma miejsce, wyprowadza się ztąd wnioski, że dane rzemiosło ma więcej uroku, niż inne. Odwrotnie, jeśli liczba ochotników jest niższą, niż potrzeba, wnioskuje, że dane zajęcie jest cięższem. Do administracyi należy uregulować pracę tak, by każde zajęcie było równie przyjemnem. Dzieje się to za pomocą godzin pracy, których jest więcej lub mniej, stosownie do tego, czy dane zajęcie jest zaliczone do mniej lub więcej ciężkich. Przy-

jenniejsze zajęcia mają więcej obowiązkowych godzin pracy; przykrzejsze zaś i cięższe mają bardzo krótki dzień roboczy. Praca w kopalniach jest zaliczona do najcięższych i dlatego dzień roboczy górnika jest najkrótszy. Określenie mniej lub więcej ciężkiej pracy odbywa się nie *a priori*, nie teoretycznie, ale wypływa prosto z cyfr, z liczby ochotników na dany rodzaj zajęcia. Zasada, leżąca u podstawy tego określenia, jest następująca: praca jednego człowieka nie powinna być dla niego cięższą od pracy drugiego człowieka; robotnicy sami sądzą w tej sprawie. Ta zasada nie dopuszcza żadnych wyjątków. Jeśli jaka praca jest tak trudną i przykrą, że dlatego, by zdobyć dla niej ochotników, potrzebaby było ograniczyć jej trwanie do dziesięciu minut, to i to zostanie zrobionem. Gdyby zaś i to nie pomogło, gdyby nawet przy takich warunkach nie znaleźli się ochotnicy, dana praca będzie zaniechana. Jednak musimy zauważyć, że każda praca, potrzebna społeczeństwu, znajduje sobie u nas ochotników, byleby norma jej dnia roboczego była stosownie uregulowaną. Gdyby jednak znalazł się jakiś rodzaj pracy tak trudny, tak połączony z niebezpieczeństwem, że niktby się nie chciał go podjąć, nawet przy najbardziej skróconym dniu roboczym, dość byłoby administracyi ogłosić, że ta praca jest wyjętą ze zwykłego spisu zajęć i uważaną za „nadzwyczaj hazardowną“, a zatem że ci, co ją wykonywują, zasługują na szczególne uznanie społeczeństwa, by zjawiły się od razu tłumy ochotników. Nasza młodzież jest żądną sławy, i nie opuściłaby podobnej sposobności odznaczenia się. Rozumie się, że dobrowolny wybór zajęcia wywołał, jak to pan zobaczysz, usunięcie wszelkich niehygienicznych warunków lub niebezpieczeństwa dla ciała i życia pracujących. Zdrowie i zupełne bezpieczeństwo

są to warunki niezbędne dziś przy każdej pracy. Naród nie kaleczy i nie zabija tysiącami swych robotników, jak to zwykli czynić, za waszych czasów, prywatni kapitaliści lub bogate kompanije...

— A jeśli jest więcej kandydatów na dane rzemiosło, niż wolnych miejsc w niem, jakże panowie wybieracie pomiędzy kandydatami?.. — zapytałem.

— Pierwszeństwo mają ci, którzy mają najlepsze świadectwa ze szkoły i służby w szeregach nieuzdolnionych robotników. Od tej służby zaczyna każdy młody pracujący. Nie ma wszakże człowieka, któryby wytrwale zadając oddać się pewnej gałęzi pracy, nie mógł prędzej czy później doprowadzić swego zamiaru do skutku. Muszę dodać, przewidując odwrotny zarzut, że jeśli zabraknie ochotników do jakiejś gałęzi pracy, administracja ma prawo w takim wypadku wezwać specjalnych ochotników lub nawet odciągnąć trochę rąk od innych zajęć. Zwykle jednak podobne luki przy pracy bywają zapełniane przez klasę zwykłych, nieuzdolnionych robotników...

— Jakże się rekrutuje ta klasa zwykłych robotników?.. — zapytałem. — Pewnie nikt do niej nie należy dobrowolnie...

— Jest to klasa, do której należą wszyscy nowi rekruci w pierwszych trzech latach po rozpoczęciu swego zawodu. Dopiero po upływie tego czasu młodemu człowiekowi wolno jest wybierać swe zajęcie. Podczas tych trzech lat rozporządzają nim jego raczelnicy i oni to wybierają czynność, którą mają mu powierzyć. Nikt nie może uniknąć tych trzech lat srogięgo rygoru...

— Dla przemysłu taki system musi być bardzo skutecznym... — zauważyłem — ale nie widzę jakim sposobem można go zastosować do tak zwanych profesyj

liberalnych, do ludzi, którzy służą krajowi mózgiem, a nie rękami. Bez tych pracowników myśli wszak nie można się obejść; a jak ich wybierać wśród rolników i mechaników?.. Trzeba na to jakiegoś szczególnego talentu odgadywania zdolności...

— Istotnie — odrzekł dr. Leete — trzeba na to jakiegoś szczególnego przeczucia, z tego powodu zostawiamy każdemu do rozstrzygnięcia samemu, czy chce pracować głową czy rękami. Po skończeniu trzech lat, podczas których każdy pracuje, jak zwykły wyrobnik, każdy wybiera podług swego gustu sztukę, zawód lub rzemiosło. Jeśli kto czuje, że może lepiej pracować mózgiem, niż mięśniami, dają mu wszelką możność wypróbowania swych zdolności, a jeśli próba się uda, możność dalszej pracy w obranym przez siebie kierunku. Szkoły technologii, medycyny, sztuk pięknych, muzyki i nauk wyższych stoją otworem dla każdego...

— Te szkoły muszą być przepełnione młodymi ludźmi, których jedynym celem jest uniknąć pracy?..

Doktór Leete uśmiechnął się nieco sarkastycznie.

— Zapewniam pana, iż nikomu nie przyjdzie do głowy wstąpić do tych szkół z zamiarem ujęcia przed pracą. Te szkoły są przeznaczone dla tych, którzy czują specjalną zdolność do danej gałęzi nauki, a kto tych zdolności nie posiada, ten wolałby podwójną ilość godzin w swem rzemiosle pracować, niż śledzić za wykładami i dokładać starań, by dorównać swym szkolnym kolegom. Oczywiście, że niektórzy szczerze się mylą na konto swych zdolności i spostrzegłszy, że nie mogą odpowiedzieć szkolnym wymaganiom, wracają do swego dawnego rzemiosła. Opinia publiczna takich prób nie potępia, bo w interesie ogółu leży, by każdy rozwijał talenty, które w sobie dostrzega, a jak się o takowych przekonać bez poprzedniego wypróbowania?..

Szkoły techniczne i naukowe za czasów pana zależały od uczniów, którzy je opłacali i tym sposobem podtrzymywali; w praktyce często się zdarzało, iż wydawano dyplomy ludziom, którzy na nie wcale nie zasłużyli i którzy następnie obierali sobie jakieś rzemiosło. Nasze zaś szkoły są to instytucje narodowe, a kto zdał w nich egzamin, ten jest z pewnością specjalnie uzdolnionym...

— Ta możność specjalnego kształcenia się... — ciągnął dalej doktor — jest dostępną każdemu do lat 35, poczem studenci nie bywają przyjmowani, bo już za mało zostawałoby czasu do uiszczenia się z długu względem społeczeństwa. Za pańskich czasów młody człowiek bardzo wcześnie wybierał swą specjalność i dlatego często zachodziły pomyłki w wyborze zawodu, który nie odpowiadał zdolnościom. Dziś ogólnie przyznano, że często wrodzone zdolności później się rozwijają u jednych, niż u drugich, dlatego też wybór zawodu nie może nastąpić wcześniej, aż młodzieniec dojdzie do lat 24. Przez jedenaście lat następnych wolno mu zmieniać projekty i przechodzić z jednej szkoły do drugiej. Toż samo ma miejsce w rzemiosłach: do lat 35 wolno zmieniać swój wybór...

Zapytanie, które już od dawna mi się nasuwało jako dotyczące się najzawilszej kwestyi za moich czasów, teraz mogło być wypowiedziane.

— To dziwna rzecz... — zauważyłem — żeś pan dotąd ani słowa o płacy nie wypowiedział. Jeśli naród jest jedynym pracodawcą, to rząd musi określić płacę, pobieraną przez każdego, zaczynając od doktorów i kończąc na rolnikach. Wiem jedno, że za moich czasów taki system nie mógłby się utrzymać. Chyba że od owego czasu natura ludzka się zmieniła, bo wówczas każdy był niezadowolony ze swej płacy. Nawet

ci, którzy znajdowali, że mają dostateczne wynagrodzenie, uważali, że ich sąsiedzi pobierają za wysoką płacę, a i to jest równie złem. Gdyby te liczne niezadowolone zamiast się rozstrzelić przez bezrobocie i znowy na rozmaitych pracodawców, skoncentrowały się na jednym, a mianowicie na rządzie, śmiało można powiedzieć, że rząd ów i dwóch dni by się nie utrzymał...

Doktor Leete roześmiał się serdecznie.

— Bardzo słusznie, bardzo słusznie... — mówił on — ogólna znowa byłaby z pewnością następstwem pierwszego dnia wypłaty, a znowa skierowana przeciw rządowi, zwie się rewolucją...

— Jakimże sposobem unikacie panowie rewolucji przy każdej wypłacie?.. — czy jaki genialny filozof wynalazł nowy system obrachowywania wartości porównawczej każdego rodzaju pracy, czy to umysłowej, czy to fizycznej?.. A może natura ludzka się zmieniła i dziś każdy więcej dba o interes drugiego, niż o swój własny?.. W każdym razie trzeba przyjąć jedną z tych dwóch ewentualności dla wytłómaczenia danego wypadku...

— A jednak żadna z nich nie daje zgodnej z faktami odpowiedzi na pańskie zapytanie... — odrzekł śmiejąc się doktor Leete.

— A teraz, panie West, pozwól mi pan przypomnieć sobie, żeś moim gościem, ale i pacjentem zarazem... Z tego powodu niech mi wolno będzie polecić panu udanie się na spoczynek, zanim poprowadzimy dalej naszą rozmowę. Już jest po trzeciej...

— Przepis pański jest doskonałym, bez wątpienia... — zauważyłem — pytanie tylko, czy będę mógł się doń zastosować...

— Postaram się o to... — rzekł doktor.

I dał mi w winie coś takiego, co mię wprawiło w sen głęboki, a i to zaledwim głowę przyłożył do poduszki.

Rozdział VIII-my.

Gdym się obudził, czułem się bardzo orzeźwionym i leżałem czas jakiś, marząc i rozkoszując się uczuciem świadomości fizycznego zdrowia. Wrażenia, przeżyte wczoraj, przebudzenie się moje w r. 2000, widok nowego Bostonu, mój doktor i jego rodzina i dziwne rzeczy, które słyszałem, wszystko to uleciało z mej pamięci.

Zdawało mi się, że jestem w domu, w mym sypialnym pokoju, a te obrazy, które wpół we śnie, wpół na jawie snuły się w mej głowie, mówiły mi o wypadkach i wrażeniach mego przeszłego życia. Widziałem we śnie wypadki święta narodowego, spacer do góry Auburn w towarzystwie Edyty i jej rodziców, wreszcie obiad mój u nich i powrót do miasta. Zachwycałem się pięknoscia Edyty i w następstwie pomyślałem o naszym ślubie. Zaledwie jednak puściłem wodze swoj wyobraźni, która na ten temat cudownie malować poczęła obrazy, gdy wspomnienie listu, otrzymanego w wigilią od architektki, w którym ten mi donosił o nowych znowach, znowu mających odroczyć wykończenie domu, oblało mnie zimną wodą.

Ból doznanego wrażenia obudził mnie na prawdę. Przypomniałem sobie, że mam naznaczone widzenie z architektką o 11-tej, by pomówić o znowie, więc

otworzyłem oczy, by spojrzeć na zegar, znajdujący się u nóg mego łóżka. Wzrok mój nie dostrzegł zegara, a co więcej, spostrzegłem, że nie jestem w swym pokoju.

Żywo się podniosłszy, powiodłem okiem wkoło tego dziwnego pokoju, w którym się znajdowałem.

Upłynęło zapewne kilka minut, zanim odzyskałem świadomość. Nie mogłem jakoś odzyskać swej samodzielności. Podanie opowiada o duszach bez ciała, które potrzebują tylko dotknąć się rzeczywistości, by w człowieka się zamienić. Dziwna rzecz, jak ten stan nieświadomości jest przykry, ale to fakt, że nieznośnie cierpiałem czując się w jakiejś bezgranicznej otchłani, nie mogąc połapać myśli, nie znajdując punktu oporu dla wspomnień. Nie chciałbym więcej doświadczyć podobnych wrażeń.

Nie wiem, jak długo trwał ten stan mój — zdało mi się, że trwał wieczność całą. Raptem, z szybkością błyskawicy, wspomnienie tego, co zaszło, olśniło mnie. Pamiętałem znowu kim jestem i jak tu się znalazłem; pamiętałem, że te sceny z życia, niby wczorajszego, były w rzeczywistości scenami odległych lat i tyczyły się pokolenia już dawno w popiół obróconego. Wyskoczyłem z łóżka, stanąłem wśród pokoju i chwyciłem za skronie, cisnąc je z całej siły z obawy, by mi głowa nie pękła. Następnie upadłem na łóżko i chowając głowę w poduszki, leżałem nieruchomie. Reakcja nieunikniona po naprężeniu nerwów, po gorączce wywołanej tak dziwnymi wrażeniami, nastąpiła teraz raptownie. Czułem, że w głowie mi się mięsza, że przytomność umysłu opuszcza mnie i że pomieszanie zmysłów do drzwi puka. Straszny kryzys wstrząsał całym moim ciałem; zacisnąłem zęby, a płuca robiły gwałtownie, chwytając powietrze, podczas gdy paznokcie wpiłem

w drzewo łożka ; jednym słowem, wszystkie siły wyprężyłem, by walczyć z obłędem.

W głowie wszystko dawne rozprzęgło się : i uczucia, i kojarzenie się myśli, i poglądy na ludzi i rzeczy ; wszystko stopniało, zmąciło się i walczyło ze sobą w strasznym chaosie. Straciłem wszelki punkt oparcia, nigdzie, w niczem nie czułem gruntu pod sobą. Pozostawała tylko jedna rzecz : wola. Ale czyż wola ludzka jest dosyć silną, by powiedzieć wzburzonemu morzu : „uspokój się !“ ?.. Nie śmiałem w to ufać. Każde usiłowanie, by zdać sobie sprawę z tego, co zaszło, by wyciągnąć zeń konieczne konsekwencyje, wprawiało tylko mózg mój w jakiś wir okropny.

Myśl, że jestem jakąś istotą dwoistą, coraz bardziej zaczęła mnie nęcić jako jedyne możliwe tłumaczenie tego, co zaszło.

Czułem, że jestem na drodze do utracenia równowagi. Jeśli dłużej zostanę w tem położeniu, leżąc i myśląc nad sobą, jestem stracony. Potrzeba mi na gwałt rozerwać się czemkolwiek, chociażby ruchem fizycznym. Skoczyłem na równe nogi, ubrałem się pośpiesznie, otworzyłem drzwi i pędem puściłem się ze schodów.

Jeszcze było bardzo wczesnie, nawet niezupełnie się rozwidniło, to też nikogo w domu na niższym piętrze nie spotkałem. W przedpokoju wisiał kapelusz, włożyłem go i otworzyłem drzwi na ulicę z łatwością, dowodzącą, że nie obawiano się złodziei w nowym Bostonie. Na ulicy poszedłem szybkim krokiem.

Przez całe dwie godziny latałem po mieście, zwiedzając po kolei wszystkie jego dzielnice na półwyspie położone. Tylko antykwaryjusz i znawca starożytności może sobie wyobrazić różnicę, zachodzącą pomiędzy Bostonem dzisiejszym a Bostonem XIX-go wieku. Na

każdym kroku spotykała mnie jakaś niespodzianka. Miasto, widziane z belwederu w wigilię, wydało mi się dziwnem, co prawda, ale tylko pod względem ogólnego swego wyglądu. Jak dalece głębokie zaszły w niem zmiany, teraz dopiero mogłem to skonstatować, chodząc po ulicach. Kilka starych murów, które odszukałem, wywołały to wrażenie różnicy; bez nich bowiem myślałbym, że jestem w obcym mieście. Człowiek, opuściwszy swe rodzinne miasto w dziedziństwie, gdy wróci po latach pięćdziesięciu, znajdzie w niem liczne zmiany. Ogarnie go może wtedy zdziwienie, ale nie przestrasz, bo zdaje on sobie sprawę z długości czasu upłynionego i ze zmian, które w nim samym zaszły. Przytem, wspomnienia lat dziecinnych po trochu się zatarły. Ze mną tymczasem była rzecz inna. Czułem, że po tych ulicach chodziłem wczoraj; nie zdawałem sobie sprawy z upłynionego czasu i wydawało mi się, że te wszystkie zmiany nastąpiły w przeciągu kilkunastu godzin. Pamięć dawnego miasta była tak silna i świeża, że nie chciała ustąpić wrażeniu teraźniejszości, walczyła z tem wrażeniem i ciągle zdawało mi się, że to jeden. to drugi obraz, obecny lub wczorajszy, należą do świata złudzeń. Wszystko, co widziałem, miało jakby podwójne zarysy, jak owe złożone fotografie, które mają po kilka konturów.

Wreszcie stanąłem znowu u drzwi domu, z którego byłem wyszedł co tylko. Instynktownie nogi moje zaniosły mnie napowrót do miejsca, gdzie była niegdyś moja siedziba; nie zeznawałem bowiem, że tam powracam. Dom, który miałem przed sobą, nic nie przedstawiał dla mnie swojskiego; był równie obcy, jak całe miasto tego dziwnego pokolenia i mieszkańcy tego domu byli także zupełnie dla mnie obcy, jak zresztą obecnie wszyscy inni ludzie całego świata. Gdyby drzwi,

przed któremi stanąłem, były zamknięte na klucz, zamek, swym oporem, przypomniałby mi, że nie mam po co tam wchodzić; zawróciłbym się w takim razie i odszedłbym; tymczasem zaledwo dotknąłem się klamki, drzwi się otwarły i wszedłem chwiejnym krokiem do przedpokoju, a następnie do jednego z przyległych apartamentów.

Padając na krzesło, zakryłem rozpalone oczy, cisnąc je dłonią z całej siły, jakby to miało odjąć im wrażenie dziwnych rzeczy, które widziały. Rozdrażnienie mózgowe, którego doznawałem, było tak silne, że wywoływało fizyczne objawy, a mianowicie nudności. Jakże opiszę okropność tej chwili, w której zdawało mi się, że mózg mi topnieje, — w której czułem zupełną niemoc. W rozpacz głośno jęczeć zacząłem. Zaczynałem odczuwać, że tracę zmysły i że wariuję.

Wtem zjawił się ratunek. Posłyszałem szelest podnoszonej franki. Otwarłem oczy. Edyta Leete stała przedemną. Piękna jej twarz wyrażała bolesne współczucie.

— Ach, cóż się stało, panie West?.. — zapytała. — Byłam tu, gdyś pan wszedł do pokoju. Widziałam wyraz rozpacz na pańskiej twarzy, a słysząc jęki, nie mogłam dłużej milczeć... Cóż się to panu wydarzyło?.. Gdzie pan byłeś?.. Czy mogę być panu czemśkolwiek pomocną?..

Być może nieświadomie, trzymała ona ręce wyciągnięte ku mnie z wyrazem głębokiego współczucia na twarzy. Chwyciłem te rączki i cisnąłem do twarzy, rozstać się z niemi nie mogłem i tuliłem je w mych dłoniach z tym gwałtownym instynktem samozachowawczym, z którym tonący chwyta za sznurek, rzucony mu w chwili, w której po raz ostatni miał się już w głąb fal zanurzyć. Gdy patrzyłem w jej słodką

twarzyczkę, w jej oczy, łąką litości zwilżone, mózg mój przestawał wirować. Czująca sympatya, która się wyrażała w lekkim ciśnieniu jej palców, była dla mnie deską zbawienia. Wrażenie to przynosiło mi spokój, jakby jakiś cudownie działający trunek.

— Niech cię bóg strzeże, pani... — rzekłem po chwilowym milczeniu. — To on cię zapewne przysłał do mnie w tej chwili. Byłem właśnie w trakcie zwaryjowania, gdyś pani nadeszła...

Słyszając to, łzy stanęły jej w oczach.

— Panie West... — zawołała — musiałeś pan myśleć, żeśmy ludzie bez serca... bo jakże mogliśmy pana tak długo samego zostawić?.. A teraz to wszystko już przeszło... Nieprawdaż?.. Już panu lepiej, co?..

— Tak jest... — odrzekłem — i zawdzięczam to pani... Jeśli pani raczysz zostać jeszcze trochę przy mnie, czuję, że wkrótce będę znowu sobą...

— Za nic w świecie nie odejdę... — rzekła i po jej twarzy przeszedł lekki dreszcz, bardziej świadczący o jej sympatyi, niż pięknych słów tysiące.

— Niech pan nie przypuszcza, żeśmy tak dalece bez serca, jakby się zdawać mogło, wobec tego, żeśmy pana tak samego sobie zostawili... Mało spałam tej nocy; tak mnie niepokoila myśl o tem, jak dziwnem dziś będzie przebudzenie się pana; ale ojciec zapewniał, że pan będziesz dziś spał do późna. Przykazywał także, abysmy nie okazywali zbyt dużo sympatyi na początek, a raczej usiłowali rozerwać myśli pańskie, dając panu czuć, że jesteś w gronie przyjaciół...

— Uczyniłaś to pani w istocie... — odrzekłem — ale proszę zauważyć, że to nie żarty przeskoczyć tak stulecie... Choć zdawało się wczoraj wieczorem, że tego nie czuję, ale dziś rano dziwne bardzo przeżyłem wrażenia...

Trzymając jej rączki w mych dłoniach i nie spuszczać oczu z jej twarzy, mogłem nawet kpić sobie z moich męczarni.

— Nikomu z nas i do głowy nie przyszło, że możesz pan tak wcześniej wyjść na miasto dziś rano... — ciągnęła dalej. — Gdzieżeś pan był, panie West?..

Opowiedziałem jej szczegółowo wszystkie moje ranne przygody, od chwili, w której przetarłem oczy, aż do chwili, kiedy podniósłszy wzrok, ujrzałem ją przed sobą. Głęboka litość wyrażała się na jej twarzy, podczas mego opowiadania. Choć wypuściłem jedną z jej rączek, nie próbowała odjąć mi drugiej; widziała zapewne, jak wielką ulgę przynosi mi ściskanie tej rączki.

— Mogę sobie po części wyobrazić, jakiego pan doznawałeś wrażenia.. — rzekła. — Musiało to być coś okropnego... I pomyśleć, że pan byłeś sam jeden, opuszczony, podczas walki z podobnymi wrażeniami!.. Ach, daruj nam pan, błagamy!..

— Ależ to wrażenie już znikło. W obecnej chwili zataraś je pani całkowicie.. — zapewniałem ją.

— Nie pozwolisz pan, by to wrażenie wróciło?.. — pytała z niepokojem.

— Zaręczyć nie mogę... — odrzekłem. — Przedwczesnym byłoby podobne zapewnienie, zważywszy, jak każda rzecz będzie mi się dziwną wydawać...

— Ale nie będziesz pan walczył z niem nadal samotnie... — nastawała Edyta. — Przrzeknij pan, że będziesz przychodził wtedy do nas i pozwolisz nam sympatyzować ze sobą i próbować, czy nie możemy w czem ulżyć panu... Może nie potrafimy zrobić wiele, ale zawsze będzie z tem panu lepiej, niż walczyć samotnie ze swojemi myślami...

— Przyjdę niezawodnie, jeśli mi pani pozwalasz...— rzekłem.

— O, tak, tak, bardzo pana proszę! — żywo zawołała. — Zrobiłabym chętnie wszystko, co mogę, by tylko panu ulżyć...

— Nic więcej mi nie potrzeba, jak tylko żebyś pani dzieliła moją boleść, jak to obecnie czynisz...— odrzekłem.

— A więc zgoda... — rzekła, śmiejąc się mokremi od łez oczami. — Pamiętaj pan, że jeśli jeszcze podobne wrażenia się powtórzą, masz pan przyjść do mnie, zamiast błądzić wśród obcych po Bostonie...

Te słowa, które kazały przypuszczać, że nie jesteśmy sobie obcy, zdawały się naturalne; tak dalece te kilka chwil smutku z mej strony, a z jej strony łez i współczucia zbliżyły nas.

— Obiecuję panu, gdy pan przyjdiesz do mnie... — dodała filuternie — że będę wyglądać tak smutną, jak pan zechcesz, ale niech pan ani na chwilę nie przypuszcza, że będę nią w istocie, że będę pana żałowała, albo że wierzę, iż pan sam będziesz długo smutny... Jestem przekonaną, tak silnie, jak o tem, że świat obecny jest niebem w porównaniu z tym, który był za czasów pańskich, — jestem przekonaną, że jedyne wrażenie, które panem owładnie po pewnym przeciągu czasu będzie radość, że życie pańskie ówczesne było tak dziwnie przerwane, bo to dało panu możność widzenia czasów obecnych...

Rozdział IX-ty.

Państwo Leete, którzy właśnie weszli do pokoju, niemało byli zdziwieni, dowiadując się, że już tego sa-

mego dnia rano sam chodziłem po całym mieście i widocznie miłą było dla nich niespodzianką skonstatowanie, że ta przechadzka tak słabe zrobiła na mnie wrażenie.

— Pańska przechadzka musiała być, bądź co bądź, niezmiernie zajmującą... — zagadnęła mnie pani Leete, gdyśmy zasiedli do stołu. — Widziałeś pan zapewne dużo nowych rzeczy?..

— Mało widziałem rzeczy nienowych... — odpowiedziałem. — Ale co mnie może najbardziej zadziwiło, to to, że na Waszyngtońskiej ulicy nie znalazłem wcale sklepów i nigdzie nie spotkałem ani jednego banku... Cóżście państwo zrobili z handlarzami i bankierami? Może wywieszaliście wszystkich co do nogi, jak tego żądali anarchiści za moich czasów?..

— Tak znowu źle nie było... — odparł śmiejąc się doktor Leete. — Skasowaliśmy po prostu te dawne instytucje... Za naszych czasów takie rzeczy są przestarzałe...

— Ktoż wam sprzedaje te przedmioty, które nabyć chcecie?..

— Nie ma dziś ani kupua, ani sprzedaży. Podział bogactw odbywa się inną drogą. Co się zaś tyczy bankierów, to, nie mając pieniędzy, nie potrzebujemy tych panów...

— Pani!.. — rzekłem, zwracając się do Edyty. — Podejrzynam, że ojciec pani kpi sobie ze mnie... Nie mam mu tego za złe, bo moja naiwność musi istotnie skłaniać do żartów. Ale moja łatwowierność ma także swoje granice, szczególnie pod względem możliwych zmian w ustroju społecznym...

— Ojciec wcale nie żartuje... — odrzekła Edyta z uspakajającym uśmiechem.

Tu rozmowa tok swój zmieniła.

Pani Leete podniosła kwestyję mód kobiecych w XIX stuleciu i dopiero po śniadaniu, na belwederze, który okazał się faworytalnym przybytkiem doktora, wrócił on do poprzedniej kwestyi.

— Zdziwiło pana moje twierdzenie, że obchodzimy się bez pieniędzy i bez handlu, ale chwilka namysłu wystarczy, by się przekonać, że jeśli handel istniał i pieniądze były potrzebne za pańskich czasów, to tylko dlatego, że wytwarzanie zostawało w rękach prywatnych; dziś i jedno i drugie jest niepotrzebnem...

— Nie dobrze rozumię pańskie wnioski... — wtrąciłem.

— Jest to rzecz bardzo prosta... — objaśnił doktor Leete. — Jeśli mnóstwo osób niezależnych i niczem ze sobą nie związanych wytwarza rozmaite przedmioty niezbędne do życia i wygody, potrzeba ciągłej zamiany pomiędzy jednostkami, ażeby każdy dostał to, czego żąda. Te zamiany stanowią właśnie handel, którego koniecznym pośrednikiem są pieniądze. Lecz skoro cały naród został jedynym producentem wszelkiego rodzaju przedmiotów, zbytecznymi stały się zamiany pomiędzy osobnikami. Wszystkiego można było dostać u jednego i tegoż samego źródła, a nigdzie więcej. System bezpośredniego podziału ze składów narodowych zastąpił handel, a do tego nie potrzeba pieniędzy...

— Jakże więc urządzono ten podział?.. — zapytałem.

— Podług planu jak najprostszego... — odrzekł doktor Leete. — W księgach społecznych otwierają co roku dla każdego obywatela kredyt odpowiedni do jego udziału w wytwarzaniu narodowem, wręczają mu zarazem ka.tę kredytową, za pomocą której może on dostać w magazynach społecznych to wszystko, czego potrzebuje i kiedy potrzebuje. Takie zaś magazyny znaj-

dują się w każdej gminie. Te urządzenia, jak pan widzisz, czynią całkiem niepotrzebnymi wszelkie transakcje pomiędzy wytwórcą a kupującym. Może ciekaw pan widzieć, jak wyglądają nasze karty kredytowe?..

— Zwracam uwagę pańską... — ciągnął dalej doktor Leete, podczas gdy oglądałem kartę mi doręczoną — że ta karta przedstawia pewną ilość dolarów. Zachowaliśmy dawne nazwanie, ale bez dawnego znaczenia. Dziś słowo dolar nie odpowiada żadnej rzeczy konkretnej, a służy tylko jako symbol algebraiczny, dla porównania wartości jednych produktów z wartością drugich. W tym celu wartość wyraża się dolarami i centami, tak samo jak to było za czasów pana. Wartość tego, co nabywam za pomocą tej karty, jest odciągniętą przez komisanta, który oznacza na tej stronie cenę tego, co wziętem...

— A gdybyś pan chciał cośkolwiek kupić u swego sąsiada, czy możesz pan w zapłatę przelać nań część swego kredytu?.. — zapytałem.

— Przedewszystkiem... — odrzekł doktor Leete — nasi sąsiedzi nie mają nic do sprzedania, a w każdym razie nasz kredyt będąc ściśle indywidualnym, nie może być przelanym... Zanimby naród mógł zezwolić na podobne przelanie kredytu jednej jednostki na drugą, musiałby on wejść we wszystkie szczegóły tej transakcyi, by zapewnić jej absolutną uczciwość... Gdyby nie było innych powodów dla skasowania pieniędzy, to wystarczyłby już ten fakt, że nie noszą one na sobie dowodu prawowitego ich posiadania. W rękę tego, co je ukradł lub zamordował kogoś, by je dostać, wyglądały one równie dobrze, jak w rękę tego, co je zapracował... Dziś ludzie zamieniają pomiędzy sobą podarki w dowód przyjaźni, ale kupowanie lub sprzedaż są uważane za całkiem niestosowne i nieodpowiadające bezin-

teresowności, która przystoi obywatelom świadomym wspólności interesów, na której się opiera nasz ustrój społeczny. Według naszych pojęć kupno i sprzedaż są wysoce nie-społecznemi we wszystkich swych dążnościach. Uczą one samclubstwa i szukania własnej korzyści kosztem innych; społeczeństwo, którego członkowie w takiej szkole się wychowali, nie może się wznieść ponad bardzo niski stopień cywilizacji...

— Co się dzieje, jeśli w ciągu roku więcej się wyda, niż to, co stoi na karcie?.. — zapytałem.

— Zapas jest tak wielki, że daleko więcej prawdopodobnie zawiera, niż to, co się wyda... — odrzekł doktor Leete. — Gdyby jednak jakieś nadzwyczajne wydatki wyczerpały ją, można otrzymać określoną zaliczkę z kredytu roku następnego. Nie zachęcają jednak do podobnego postępowania, a nawet by doń zniechęcić, nałożono wysokie dyskonto.

— Jeśli nie wszystko się wydaje, do czego się ma prawo, przypuszczam, że wtedy nagromadza się kapitały?..

— Wolno nagromadzać, ale tylko do pewnej granicy i to jeśli się przewiduje jakiś nadzwyczajny wydatek. W przeciwnym razie i jeśli obywatel ów nie uprzedził zawczasu, przypuszcza się, że nie wyczerpał on swego kredytu dlatego, że nie miał po temu sposobności, a w takim razie nadwyżka wraca do ogólnego kapitału...

— Taki system wca'le nie zachęca obywateli do oszczędności... — zauważyłem.

— Nie ma też tego na widoku... — brzmiała odpowiedź. — Naród jest bogaty i nie życzy sobie, aby obywatele jego odmawiali sobie w czemkolwiek. Za pańskich czasów ludzie byli zmuszeni do nagromadzania dóbr i pieniędzy w przewidywaniu wypadków i dla

zabezpieczenia swych dzieci. Wskutek tego oszczędność uważała się jako cnota. Ale dziś nie miałyby ona żadnego chwalebego celu, więc straciwszy swą pożyteczną stronę, przestała się zaliczać do cnót. Nikt już dziś nie dba o jutro ani dla siebie, ani dla swych dzieci, bo społeczeństwo zapewnia im pożywienie, wykształcenie oraz wygodne utrzymanie dla każdego obywatela od kolebki do grobu...

— Jest to gwarancyja zbyt daleko idąca!.. — zawołałem. — Zkąd pewność, że wydatki, zrobione przez społeczeństwo na utrzymanie jednostki, wrócą się wartością jego pracy?.. Zresztą może być, że społeczeństwo jest w stanie utrzymać wszystkich swych członków, ale, w każdym razie, niektórzy z nich wytwarzają mniej, niż potrzeba na ich utrzymanie, drudzy zaś więcej i to nas znowu sprowadza do kwestyi płacy, na którą pan dotąd nic nie odpowiedziałeś. Właśnie na tym punkcie, jeśli pan sobie przypominasz, zatrzymaliśmy się wczoraj wieczorem. Powtórzę więc to, co mówiłem wczoraj, a mianowicie, że taki narodowy system przemysłu, jak wasz, w płacy znajduje swój szkopuł. Jakim sposobem, zapytam raz jeszcze, zadawalniająco ustosunkować porównawcze płace i wynagrodzenia tej olbrzymiej ilości rzemiosł i zawodów, potrzebnych społeczeństwu, a które tak do siebie są niepodobne i tak trudne do wymierzenia?.. Za naszych czasów cena rynkowa określała cenę wszelkiego rodzaju pracy i wszelkich przedmiotów. Pracodawca płacił o ile mógł najmniej, robotnik zaś żądał o ile mógł najwięcej. Ten system może nie być pięknym pod względem moralnym, mogę to przyznać; ale w każdym razie dawał on nam brutalną lecz gotową formułę, rozwiązującą kwestyję, która musi być tysiąc razy dziennie rozwiązana, jeśli świat ma kroczyć na drodze postępu. Nam się zdawało,

że innej drogi praktycznej do rozwiązania jej nie ma...

— Tak jest... — odrzekł doktor Leete — była to istotnie jedyna droga praktyczna przy systemie, który stawiał interesy każdej jednostki w sprzeczności z interesami wszystkich innych ludzi. Smutno byłoby jednak, gdyby ludzkość nigdy na lepszy ustrój nie natrafiła; bo system ówczesny był po prostu zastosowaniem do wzajemnych stosunków ludzi tej szatańskiej zasady: Twoja potrzeba jest moją wygodą. Wynagrodzenie za usługę nie zależało od trudności, niebezpieczeństwa lub ciężkiej pracy, włożonej w nią; przeciwnie: widzimy, że wszędzie najbardziej niebezpieczne, ciężkie i wstrętne zajęcia najgorzej były płatne; wynagrodzenie zależało od popytu na daną pracę lub zajęcie...

— Zgadzam się z tem wszystkim... — rzekłem. — Ale ze wszystkimi swemi wadami system normowania płacy przez cenę rynkową był, bądź co bądź, systemem praktycznym. Nie mogę się domyśleć, czem mogliście go panowie zadawalniająco zamienić. Gdy państwo staje się jedynym możliwym pracodawcą, tem samem znika rynek pracy i płaca rynkowa. Płaca musi być wtedy samowolnie oznaczona przez rząd. Nie mogę sobie wyobrazić bardziej drażliwej i bardziej skomplikowanej czynności i któraby w dodatku wywoływała tak powszechne niezadowolenie...

— Daruj mi pan... — zauważył doktor Leete — ale zdaje mi się, że pan przesadzasz owe trudności. Wystaw pan sobie biuro, złożone z ludzi rozumnych i uczciwych, którym poruczono określić płacę za najrozmaitsze roboty przy ustroju, który, jak nasz, zapewnia zajęcie każdemu z dowolnym wyborem rodzaju pracy. Czyż nie widzisz pan, że jakkolwiek wadliwym może być pierwsze zastosowanie, omyłki same przez się wkrótceby się poprawiły? Ulubione gałęzie pracy mia-

łyby za dużo ochotników, podczas gdy zajęciom niemiłym zabrakłoby takowych, do chwili, w którejby się ta pomyłka usunęła. Ale to moje przypuszczenie nie odnosi się do rzeczy, choć podany plan byłby, jak sądzę, łatwo wykonalnym. W istocie inaczej rzeczy się dzieją w naszym ustroju...

— Jakżeż więc panowie regulujecie płacę robotniczą?.. — zapytałem raz jeszcze.

Doktór Leete odpowiedział dopiero po paru chwilach zamyślnego milczenia.

— Znam, oczywiście, na tyle dawny ustrój, by zrozumieć, co pan chcesz tem zapytaniem powiedzieć. Jednakże nowy porządek rzeczy tak zupełnie się różni w tym względzie, że jestem cokolwiek w kłopotcie, jak mam panu najlepiej odpowiedzieć. Zapytuje pan, jak my regulujemy płacę robotniczą? Jedno mogę odpowiedzieć, a mianowicie: w ekonomii społecznej tegoczesnej żadnego nie mamy pojęcia, odpowiadającego temu, co za czasów pańskich nazywano płacą robotniczą...

— Chcesz pan powiedzieć, jak sądzę, że nie macie obecnie pieniędzy, by nimi zapłacić pracę robotniczą... — rzekłem — ale kredyt otwarty robotnikom w składach państwowych odpowiada naszej płacy robotniczej. Jak się określa stopień kredytu udzielonego ludziom, zajętem przy rozmaitych gałęziach pracy? Jakim tytułem jednostka upomina się o swoją część? Jaka jest podstawa dla określenia płacy?

— Tytuł jednostki do danej części?.. — odrzekł doktor Leete. — Jest to jej cecha ludzka. Być człowiekiem wystarcza, by mieć powyższe prawa...

— Być człowiekiem wystarcza!.. — powtórzyłem niedowierzająco. — Czyżbyś pan chciał tem powiedzieć, że wszyscy dostają równą część?..

— Naturalnie!..

Czytelnicy tej książki, którzy nigdy nie widzieli innego ustroju, jak tylko obecny i może nigdy nie zastanawiali się głębiej nad opisaniem czasów, w których panował inny system, nie mogą sobie wystawić osłupienia, w które ta prosta odpowiedź doktora Leete mnie wprawiła.

— Jak widzisz pan... — rzekł on, śmiejąc się — nie tylko brak nam pieniędzy dla wypłaty najmitom, ale jeszcze nie posiadamy nic takiego, coby odpowiadało pańskim pojęciom o najmie...

— Tymczasem, ja się na tyle zebrałem z myślami, że mogę wygłosić jedną z tych krytyk, na które czło-wiek dziewiętnastego stulecia, jakim byłem, może się zdobyć, gdy usłyszy o tak dziwnym ustroju... Zatem w waszych pracowniach — zawołałem — niektórzy muszą pracować dwa razy tyle, co inni. Czyż dobry robotnik może być zadowolony z ustroju, w którym jest postawiony na równi z niezdara?..

— Nie damy żadnego powodu do skarg na niesprawiedliwość... — odrzekł doktor Leete — bo żądamy równej ilości pracy od wszystkich...

— Ciekawym, jak też panowie możecie tego doka-zać, bo przecie nie ma dwóch ludzi jednakowo uzdol-nionych...

— Nic nie ma bardziej prostego... — brzmiała od-powiedź doktora Leete. — Żądamy od każdego równo-go wysiłku, t. j. żądamy, by każdy pracował, jak mo-że najlepiej...

— Przypuściwszy nawet, że każdy robi, jak może najlepiej... — odrzekłem — zawsze jednak rezultat pra-cy jednego będzie dwa razy większy, niż rezultat pracy drugiego...

— To prawda... — zauważył doktor Leete — ale ilość wyprodukowanych przedmiotów nic nie ma wspól-

nego z daną kwestyją. Tu idzie o zasługę. Zasługa zaś należy do dziedziny kwestyj moralnych, podczas gdy ilość produkcyi jest materyjalną wielkością. Dziwnym byłby ten rodzaj logiki, któryby usiłował określić kwestyję moralną za pomocą materyjalnego szablonu. Stopień wysiłku jedynie określa wielkość zasługi. Wszyscy ludzie, pracujący jak mogą najlepiej, są równie zasłużonymi pracownikami. Zdolności człowieka, chociażby olbrzymie, określają tylko wielkość jego obowiązku. Człowiek wysoce obdarzony, nie pracujący tak, jak może najlepiej, choć robi więcej, niż człowiek mało zdolny, ale wszystkich dokładający starań w swej pracy, uważa się za mniej zasłużonego pracownika, niż ten ostatni i umiera dłużnikiem swych towarzyszy. Zadanie każdego człowieka jest stosować do jego zdolności, my zaś żądamy jednego: by swe zadanie on spełnił...

— Jest to, bez wątpienia, bardzo piękna filozofija... — rzekłem — jednakże ciężko to być musi człowiekowi, który dwa razy więcej wytwarza, niż jego kolega, choć obaj równych starań dokładają, dostawać tyleż, co ten ostatni, a nie więcej.

— Czy doprawdy tak się panu wydaje?.. — zapytał doktor Leete. — Co do mnie, wyznam szczerze, że taki pogląd zdaje mi się bardzo dziwnym. Dziś, u nas, myślą inaczej: każdy uważa, że człowiek, który może z jednakim wysiłkiem dwa razy więcej wytworzyć od drugiego, zamiast być wynagrodzonym za to, powinien być ukarany, jeśli tego nie robi. W dziewiętnastym stuleciu jeśli koń wioził większy ciężar, niż koza, zapewne panowie nagradzaliście go za to; my dziś, na odwrót, wybatożylibyśmy go, co się zowie, gdyby tego nie robił. To dziwna rzecz, jak dalece kryterjum moralne się zmienia...

Doktór, mówiąc to, tak zabawnie mrugnął oczami, że musiałem się roześmiać.

— Ja sądzę... -- rzekłem — iż prawdziwy powód, dla którego nagradzaliśmy ludzi za ich zdolności, podczas gdy od kóz i koni wymagaliśmy usługi odpowiedniej ich siłom, kryje się w tem, że zwierzęta, jako nierozumne stworzenia, pracują ze wszystkich sił, podczas gdy człowiek może być do tego zniewolonym jedynie gdy się go wynagradza stosownie do wytwarzanych przez niego przedmiotów. To mnie naprowadza na myśl, że natura ludzka musiała uleść wielkiej zmianie przez to stulecie, jeśli panowie nie jesteście zmuszeni używać podobnego bodźca...

— I owszem... — odrzekł doktór Leete. — Nie sądzę, żeby od tego czasu zaszła jaka wielka zmiana pod tym względem w naturze ludzkiej. Człowiek i dotąd potrzebuje bodźca w kształcie nagród i przywilejów do zdobycia, żeby wywołać z jego strony maksymalny wysiłek w pracy i zdolności...

— Ależ jaki może być bodziec u człowieka, by dokładał wszelkich starań w swej pracy, jeśli dochód jego, nie zmieni się, czy on pracuje wiele, czy mało?.. — zapytałem. — Wyższe charaktery mogą się kierować przy takim ustroju, troską o publiczne dobro, ale przeciętny człowiek zawsze będzie wołał leżeć na brzuchu, rozumując sobie, że nie warto się wysilać, jeśli ten wysiłek nie powiększy jego dochodów, ani też opieszałość takowych nie zmniejszy...

— Czyż pan doprawdy myślisz, że natura ludzka może być pobudzona tylko takimi motywami, jak obawa nędzy i miłość do zbytku!.. — zawołał mój towarzysz. — Więc zabezpieczenie jednakich środków do życia dla wszystkich ma pozbawić ludzi wszelkich bodźców do pracy? Ludzie współczesni panu tak nie my-

śleli, jakkolwiek zdawało im się, że mają poglądy takie, jak te, które pan obecnie wygłosił. Gdy szło o wywołanie najwyższego gatunku usiłowań t. j. o poświęceniu bez granic, używano bodźców całkiem innych. Nie o wyższej płacy, ale o honorze, o wdzięczności przyszłych pokoleń, o miłości i obowiązkach dla kraju mówiono żołnierzom, gdy szło o umieranie dla jakiej wyższej idei; i nie było takiego wieku, ani takiego kraju, w którychby podobne pobudki nie wywołały u ludzi uczuć najlepszych i najszlachetniejszych. Co więcej: gdybyś pan zechciał bliżej się przypatrzeć tej żądzy zysku, która była najbardziej rozpowszechnionym bodźcem do pracy za pańskich czasów, spostrzegłbyś pan, że obawa nędzy i żądza przepychu były tylko jednymi z wielu motywów, które pchały ludzi do pogoni za groszem; inne zaś motywy, znacznie ważniejsze dla wielu, były: żądza władzy, wybitnego stanowiska w społeczeństwie lub chęć uchodzenia za człowieka wielkich zdolności lub cieszącego się wielkiem powodzeniem w świecie. I tak, widzisz pan, że jakkolwiek znieśliśmy nędzę i strach o nią oraz bezsensowny zbytek wraz z dążeniem doń, nie dotknęliśmy nawet większej części motywów, które niegdyś zradzały miłość do grosza lub popychały do najwspanialszych czynów. Bodźce niższego gatunku, które straciły swój wpływ, zostały zastąpione wyższymi pobudkami, o których nie mieli nawet pojęcia nędzni najmici owego czasu. Dziś, kiedy cały przemysł zaprzestał być w rękach jednostek, a stał się własnością narodową, miłość dla kraju i dla ludzkości jest owym bodźcem, który popycha robotników do pracy, jak niegdyś żołnierzy do walki. Armija przemysłowa jest dziś prawdziwem wojskiem, nie tylko ze względu na swą doskonałą organizację, ale także ze względu na gorliwość i poświęcenie, które ożywiają jej człon-

ków... I także, jak wy niegdyś podniecaliście miłość dla ojczyzny, dodając do niej żądzę sławy, by powiększyć waleczność waszych żołnierzy... — ciągnął dalej doktor Leete — tak i my dziś postępujemy. Nasz system przemysłowy opiera się na wymaganiu maksymalnego wysiłku od każdego człowieka; innemi słowy chcemy, by każdy pracował jak może najlepiej. To też, zobaczy pan, jak dalece ważną odegrywa rolę u nas pobudzanie robotników do maksymalnego wysiłku. Gorliwość, wykazywana podczas służby społecznej, jest u nas jedyną i najpewniejszą drogą do sławy, odznaczenia się społecznego i oficjalnej władzy. Wartość usług, okazanych przez jednostkę społeczeństwu, określa jej stanowisko w świecie. Jeśli porównamy rezultat, osiągnięty dzięki naszym porządkom społecznym i pobudzający ludzi do gorliwości w pracy z tym nędznym i barbarzyńskim bodźcem, który skazywał ludzi na głód i ubóstwo, to musimy przyznać, że nasz środek jest o wiele wyższy i skuteczniejszy...

— Niezmiernieby to mnie zajęło, gdybym mógł się przyjrzeć niektórym z tych urządzeń społecznych... — zauważyłem.

— System naszego ustroju... — odrzekł doktor — jest niezmiernie, rozumie się, skomplikowany w swych szczegółach, gdyż obejmuje całą organizację naszej armii przemysłowej; lecz kilka słów wystarczy, by dać panu o nim ogólne pojęcie...

Tu nasza rozmowa została mile przerwana pojawieniem się Edyty Leete na wysokiej platformie, gdzie siedzieliśmy. Była ona ubrana jak do spaceru i zaszła, by zapytać ojca o zlecenie, które miał jej dać...

— Czy wiesz co, Edyto... — zawołał doktor w chwili, gdy już miała odejść — możeby pana West zajęło zwiedzenie magazynu, do którego się udajesz?.. Opowie-

działem mu trochę o naszym systemie podziału i mo-
żeby on chciał zobaczyć praktyczne zastosowanie tako-
wego... Moja córka... — dodał, zwracając się do mnie
— jest niezmordowaną amatorką chodzenia po maga-
zynach, o których więcej może panu opowiedzieć, niż ja.

Ta propozycja była mi nader przyjemną, a ponie-
waż Edyta raczyła uprzejmie się zgodzić na moje towa-
rzystwo, wyszliśmy razem z domu.



Rozdział X-ty.

— Jeżeli ja panu mam tłumaczyć nasz system robie-
nia sprawunków... — rzekła moja towarzyszka, gdyśmy
się znaleźli na ulicy — to i pan musisz mi powiedzieć
coś o swoim. Nigdy nie byłem w stanie go zrozumieć,
pomimo wszystkiego, co o nim czytałam. Tak naprzy-
kład jeśliście mieli tyle magazynów, a każdy z nich
z innym towarem, to w jaki sposób wasze panie mogły
robić swoje sprawunki. Musiały chyba obchodzić wszy-
stkie sklepy, bo inaczej wszak nie wiedziały, co mają
wybrać.

— Tak było istotnie. Była to jedyna dla nich dro-
ga dowiedzenia się, co jest w magazynach...

— Ojciec nazywa mnie niezmordowaną amatorką
sprawunków; sądzę jednak, że zmęczyłabym się prędko,
gdybym tak miała robić, jak one... — dodała z uśmie-
chem.

— Istotnie, pilniejsze z pań uskarżały się gorzko na
stratę czasu, z powodu owego chodzenia, ale co do ko-
biet klasy zamożnej, chociaż i te również narzekały,
to system ów był istotnie darem nieba, gdyż podsuwał
im środek zabijania czasu...

— Ale powiedz pan, wszak bywały w mieście tysiące, a przynajmniej setki sklepów tego samego rodzaju, w jakież więc sposób najbardziej nawet próżniacze istoty mogły obejść je wszystkie?..

— Naturalnie, wszystkich sklepów nie odwiedzały... — odrzekłem. — Te, które robiły dużo zakupów, dowiadywały się zawczasu, gdzie mogą znaleźć to, czego im potrzeba. Takie panie studyjowały specjalności rozmaitych sklepów i robiły sprawunki korzystnie, kupując zawsze najwięcej, najlepiej i najtaniej. Znajomość taka wymagała jednak wielkiego doświadczenia. Ci, co byli bardzo zajęci lub kupowali zbyt mało, by kupić dobrze, nabywali na chybił trafił i w dodatku najczęściej trafiali na towar najgorszy i najdroższy. Przypadkiem tylko zdarzało się, iż osoba, nie mająca wprawy w kupowaniu, otrzymywała w towarze wartość swoich pieniędzy.

— Ale dlaczegóż godziliście się z tak rażąco niedogodnym porządkiem, skoroście tak jasno pojmowali jego wady?

— Podobnie też działo się ze wszystkimi naszymi urządzeniami społecznymi... — odrzekłem. — Wy może nie widzicie wad ich wyraźniej od nas, ale myśmy nie znali na nie lekarstwa...

— Oto właśnie dochodzimy do składu naszej dzielnicy... — rzekła. Edyta, gdyśmy się zbliżyli do wejścia jednego z owych wspaniałych gmachów publicznych, jakie zauważyłem był podczas ранней mojej przechadzki.

Pozór jego zewnętrzny przedstawicielowi wieku XIX nie przypominał bynajmniej składu handlowego. Nie było wystawy towarów w wielkich oknach, ani też żadnego znaku, albo przynęty. Na przodzie gmachu nie dostrzegłem żadnego napisu albo godła, które wskazywałoby charakter przedsiębiorstwa. Zamiast tego wszy-

stkiego, nad bramą znajdowała się majestatyczna grupa, naturalnej wielkości, z postacią środkową, wyobrażającą obfitość i trzymającą róg w rękę. Sądząc z masy wchodzących i wychodzących osób, znalazłem, iż stosunek obu płci był prawie taki sam, jak w wieku XIX. Gdyśmy wchodzili, Edyta powiedziała mi, iż w każdej dzielnicy miasta znajduje się jeden taki skład, tak, iż żadne mieszkanie nie jest od nich odległe więcej, jak o 5 lub 10 minut drogi. Po raz to pierwszy oglądałem wewnątrz publicznego gmachu wieku XX-go. Widok ten, naturalnie, zrobił na mnie głębokie wrażenie. Znalazłem się w wielkiej sali, zalanej światłem, spływającym nietylko z okien, ale i z kopuły, która znajdowała się o jakie sto stóp nad nami. U dołu, na samym środku, wznosił się wspaniały wodotrysk, ochładzając powietrze rozkoszną świeżością swych strumieni. Ściany i sufit okryte były freskami o barwach miękkich, obliczonych na to, by łagodzić jaskrawość światła, nie pochłaniając go jednak. Dokoła fontanny stały szeregami krzesła i sofy, gdzie siedziało, gwarząc, kilka osób. Na ścianach, dokoła sali widać było napisy, które wskazywały, jakiego rodzaju towar zawierają znajdujące się pod nimi kantory. Edyta skierowała się ku jednemu z nich, gdzie wystawione były najróżnorodniejsze muśliny i poczęła je przeglądać.

— Gdzież jest subjekt?.. — spytałem, gdyż nie było nikogo za kontoarem i, jak się zdawało, nie nadchodził nikt na pomoc kupującej.

— Jeszcze nie potrzebuję subjekta... — odrzekła Edyta — nie robiłam przecie wyboru....

— Głównem zadaniem subiekta za moich czasów było dopomagać ludziom w wyborze...

— Jakto, mówić ludziom, czego oni potrzebują?!..

— Tak, albo częściej nakłaniać ich do kupowania tego, czego nie potrzebowali...

— I wasze damy nie wstydziły się tego?.. — zapytała Edyta ze zdziwieniem, — Cóż mogło obchodzić subjektów, czy ludzie kupowali lub też nie?..

— Obchodziło to ich wyłącznie... — odrzekłem. — Najmowano ich umyślnie w tym celu, aby się pozbywali towarów. Liczono przytem, że użyją w tym celu wszystkich środków, za wyjątkiem... pięści.

— Ach, tak jestem niemądra, żem zapomniała o tem. Za waszych czasów utrzymanie właściciela sklepu i jego subjektów zależało od sprzedaży towarów. Rzecz naturalna, że dziś jest całkiem inaczej. Towary dziś należą do narodu całego. W magazynach zaś są one dla wszystkich obywateli, którzy ich potrzebują. Zadaniem zaś subjektów jest czekać na publiczność i przyjmować jej obstalunki; ale ani im samym, ani narodowi nie zależy na tem, aby dać choć jeden łokieć lub funt towaru temu, który nie potrzebuje. Jakże dziwnym musiał być widok subjektów... — dodała Edyta, śmiejąc się — usiłujących skłonić ludzi do kupowania tego, czego nie potrzebowali, lub o potrzebie czego wątpili..

— Ale nawet w wieku XX-tym... — zauważyłem — subjekt mógłby być dla pani pożytecznym, dając wskazówki co do towarów, gdyby nawet nie nakłaniał do kupowania..

— Nie... — odrzekła Edyta — nie jest to sprawą subjektów. Te oto drukowane kartki, za które odpowiedzialni są władze rządowe, dostarczają nam wszelkich wskazówek, jakich możemy potrzebować...

Istotnie, ujrzałem wówczas, że do każdego wzoru przytwierdzona była karta z dokładnym i treściwym opisem fabrykacyi i gatunku towaru, wszystkich jego

własności i ceny, nie pozostawiając żadnego punktu wątpliwego...

— Subjekt więc nie ma nic do powiedzenia o towarze, który sprzedaje?..

— Nic a nic, nie ma potrzeby, żeby wiedział albo udawał, że wie o tem cośkolwiek. Grzeczność i dokładność w wykonywaniu obstalunków: oto jedyny jego obowiązek.

— Ileż kłamstwa oszczędza ten prosty porządek!..— zawołałem.

— Czy sądzisz pan, że wszyscy subjekci pańskich czasów fałszywie przedstawiali swoje towary?.. — zapytała Edyta.

— Broń boże... — odrzekłem. — Było wielu nawet takich, którzy tego nie robili i ci właśnie cieszyli się specjalnem zaufaniem, gdyż pokusa oszukiwania kupujących była nielada, skoro dobrobyt człowieka, jego żony i dzieci zależał od ilości towarów, jakich zdołał on się pozbyć. Ale ja rozmową swoją przeszkadzam pani w zajęciu...

— Bynajmniej, już zrobiłam wybór...

Przy tych słowach nacisnęła ona guzik w murze, a w tej chwili ukazał się subjekt. Zapisał on zamówienie w dwóch egzemplarzach, z których jeden jej oddał, drugi zaś włożył do małego odbiornika i opuścił do rury przesyłającej.

Subjekt wykreślił wartość sprawunku z kredytowej karty mojej towarzyszki.

Odszedłszy od kantoru, Edyta zwróciła się do mnie z następującymi słowami:

— Duplikat zamówienia daje się kupującemu na to, aby w razie potrzeby mógł łatwo wysledzić i sprostować omyłkę w wykonaniu obstalunku...

— Pani bardzo prędko załatwiła się z wyborem...

Chciałem się spytać, zkaąd pani wie, czy nie znalazłaby czegoś lepszego w innych składach; ale prawdopodobnie wymaga się od pani, abys kupowała w swojej własnej dzielnicy...

— O, nie... — odrzekła — kupujemy, gdzie się nam spodoba, chociaż, naturalnie, najczęściej w pobliżu domu. Ale nie zyskałabym nic, zwiedzając inne zakłady... Dobór jest we wszystkich ściśle jednaki i przedstawia zawsze próbki wszelkich odmian towarów, wytwarzanych w Stanach Zjednoczonych lub sprowadzanych tutaj. Oto, dlaczego można wybrać prędko, dlaczego nie potrzeba zwiedzać dwóch lub więcej składów...

— Ależ to jest tylko skład próbek... Nie widziałem, aby subjecci krajali albo zawijali towary.

— Wszystkie nasze składy są takimi składami wzorów, z wyjątkiem tylko niewielu artykułów. Towary wszystkie, za wyłączeniem owych wyjątków, znajdują się w centralnym składzie miejskim, dokąd przywozi się je wprost na okrętach od wytwórców. Zamawiamy podług wzorów i tego drukowanego opisu fabrykacyi i własności towaru. Zamówienie posyła się do składu centralnego, który rozsela towary...

— Musi to być ogromnem oszczędzeniem pracy handlowej. W naszym systemie wytwórca sprzedawał kupcowi hurtownemu; hurtownik znowu detalicznemu; ten zaś spożywcy, a za każdym razem trzeba było mieć do czynienia z towarem i oglądać go. Wy oszczędzacie sobie jednych takich oględzin i całkiem wyłączaście kupca detalicznego wraz z jego ogromnym zyskiem, oraz armiją subjektów, którzy byli obowiązani mu służyć, gdyż ten skład jest tylko oddziałem składu hurtownego i posiada też odpowiedni komplet subjektów. Przy naszym systemie oglądania towarów, namawiania ludzi, aby je kupowali, odcinania ich i pakowania,

dziesięciu subjektów nie zrobiłoby tego, co tutaj robi jeden. Oszczędność musi być olbrzymia...

— Tak sędzę... — rzekła Edyta. — My zresztą nie znaleźliśmy nigdy sposobu innego. Ale, panie West, musisz pan poprosić kiedy ojca, aby pana zaprowadził do centralnego składu, gdzie oni otrzymują zamówienia i rozsyłają sprawunki według adresów. Byłam tam z nim niedawno i nie mogłam się nadziwić. System jest niewątpliwie doskonały. Oto naprzykład w tej klatce siedzi subjekt przyjmujący depesze. Ze wszystkich oddziałów towarowych przychodzą do niego zamówienia za pomocą rur przesyłających. Pomocnicy jego segregują i kładą je do osobnych skrzynek. Subjekt ma przed sobą z jaki tuzin pneumatycznych przesyłaczy, z których każdy odpowiada jakiejś ogólnej kategorii towarów i łączy się z odpowiednim oddziałem składu centralnego. Subjekt wrzuca paczkę zamówień do rury, a po kilku chwilach spada ona na odpowiednie biurko składu centralnego, wraz z innymi tegoż rodzaju zamówieniami innych składów próbek. Odczytanie zamówień, wniesienie ich do księgi i przesłanie ich wykonawcom, odbywa się z szybkością błyskawicy. Sędzę, że właśnie wykonanie tych zamówień jest najciekawszem. Sztuki materji na wałkach nawija maszyna, krajeży zaś, również maszyną, odcina jeden obstalunek po drugim, a kiedy się zmęczy, ustępuje miejsca innemu. W podobny też sposób dzieje się w innych wydziałach. Paki towarów opuszcza się w większe rury do zarządu rozmaitych dzielnic miejskich, zkad rozseła się je po domach. Jak dalece prędko wykonywa się to wszystko, przekona się pan najlepiej, gdy mu powiem, że mój sprawunek będzie w domu wcześniej, niż ja sama byłabym go ztąd doniosła...

— Jakże się urządzacie w mniej zaludnionych okręgach wiejskich?.. — zapytałem.

— Panuje tam taki sam system... — odrzekła Edyta. — Wiejskie składy wzorów połączone są za pomocą przesyłaczy z centralnymi składami towarów prowincyj, odległych niekiedy o jakie mil dwadzieścia; przesyłanie jest tak szybkie, że czasu traci się bardzo mało. Ale dla oszczędności, w wielu prowincjach jedna grupa rur łączy kilka wiosek ze składem centralnym, a wówczas traci się czas na czekanie. Niekiedy otrzymuje się towary w dwie albo trzy godziny po zamówieniu. Tak było, gdym bawiła przeszłego lata na wsi i było mi z tem bardzo niewygodnie*).

— Składy wiejskie zapewne pod wieloma innymi względami ustępują też miejskim?.. — pytałem dalej.

— Bynajmniej... — rzekła Edyta. — Jakkolwiek odmienne, są one równie dobre. Składy wzorów w najmniejszych wioskach są podobne do tego, w którym się znajdując, można w nim znaleźć wszelkie odmiany towarów, jakie tylko naród posiada, gdyż prowincjonalny skład towarów miewa je z tego samego źródła, co i skład miejski.

Gdyśmy wracali do domu, zwróciłem jej uwagę na wielką różnaitość rozmiarów i wartości domów.

— W jaki sposób... — rzekłem — różnica ta godzi się z faktem, że wszyscy obywatele mają dochód jednaki?..

— Rzecz prosta... — tłumaczyła Edyta. — Dochód

*) Kiedy już książka ta była w druku, dowiedziałem się, iż rychło owa niedogodność okręgów wiejskich ma być usunięta, oraz, że każda wioska ma mieć własne swe rury.

jest ten sam, ale wydatki nasze zależą od upodobań osobistych. Niektórzy lubią piękne konie; inni, jak ja na przykład, lubują się w ładnych strojach; jeszcze inni szukają wykwintnego stołu. Płaca roczna, jaką naród otrzymuje za te domy, zmienia się odpowiednio do ich rozmiarów, wytworności i położenia, tak, iż każdy znajduje zazwyczaj coś odpowiedniego dla siebie. Domy większe zajmowane są zwykle przez liczniejsze rodziny, w których kilku członków składa się na komorne, rodziny zaś mniejsze, jak nasza np., uważają mniejszy lokal za rzecz bardziej dogodną dla siebie i ekonomiczną. Zależy to całkowicie od upodobania i względów wygody. Czytałam, że za czasów dawnych, ludzie częstokroć żyli wystawnie i prowadzili dom na większą skalę, niż dochody pozwalały, jedynie aby pokazać się światu i uchodzić za bardzo bogatych. Czy to prawda, panie West?..

— Niestety, najzupełniejsza... — odrzekłem.

— Dzisiaj nie mogłoby tak być, jak pan widzi, gdyż dochód każdego jest wiadomy; wiadomo też, że to, co się wydaje w jednym zakresie, musi być oszczędzone w drugim...

Rozdział XI-ty.

Gdyśmy wrócili do domu, doktora Leete jeszcze nie było, a pani Leete nie ukazywała się wcale.

— Lubisz pan muzykę, panie West... — zagadnęła Edyta.

Zapewniłem ją, że połowę życia oddałbym za nią.

— Muszę wytłomaczyć swe zapytanie... — rzekła — bo nie zadaje się go u nas dzisiaj, ale czytałam, że

za waszych czasów nawet wśród ludzi wykształconych bywali tacy, którzy nie cenili muzyki...

— Dla usprawiedliwienia nas muszę pani przypomnieć, że mieliśmy wówczas najniedorzeczniejsze rodzaje muzyki...

— Tak, wiem o tem, może i mnie nie zachwycałaby ona. Chcesz pan posłuchać dzisiejszej?

— Byłbym zachwycony, gdybym mógł usłyszeć panią...

— Mnie?.. — zawołała, śmiejąc się. — Czyż myśli pan, że będę grała albo śpiewała dla pana?..

— Tak przypuszczałem.

Widząc, że trochę zmieszany, Edyta pohamowała śmiech i rzekła:

— Naturalnie, my wszyscy śpiewamy dzisiaj dla wyćwiczenia głosu; niektórzy zaś uczą się grać na różnych instrumentach dla własnej uciechy; ale muzyka zawodowa jest o tyle piękniejsza i doskonalsza od naszej amatorskiej i słyszeć ją tak jest łatwo, iż nawet nie przyjdzie nam do głowy nazywać muzyką naszych własnych śpiewów lub naszego grania. Wszyscy istotnie uzdolnieni śpiewacy i muzycy pełnią odpowiednią służbę, my zaś najczęściej siedzimy cicho. Ale czy pan chcesz naprawdę posłuchać muzyki?..

Upewniłem ją raz jeszcze, że tego pragnę.

— Chodźmy więc do pokoju, przeznaczonego dla muzyki... — rzekła Edyta, prowadząc mnie do pięknie wykończonego apartamentu bez obić i dywanów, gdzie podłoga i ściany były z polerowanego drzewa.

Spodziewałem się, że znajdę tam jakieś nieznanne sobie narzędzie muzyczne, ale nie spostrzegłem nic takiego, coby naprowadzić mogło na myśl o muzyce. Zdziwienie moje bardzo bawiło Edytę.

— Proszę zobaczyć, jaki jest program dnia... — rze-

kła, podając mi kartę — i powiedzieć mi, co pan woli? Niech pan nie zapomina, że jest teraz piąta.

Karta nosiła datę 12 września 2,000 r. i zawierała program muzyczny bogatszy, niż kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Był on zarówno długi, jak i urozmaicony; przedstawiał niezwykle szereg instrumentalnych i wokalnych wystąpień solowych, duetów, kwartetów, oraz rozmaitych kombinacyj orkiestrowych. Byłbym pozostał w zdumieniu nad cudowną tą listą, gdyby różowy paluszek Edyty nie wskazał mi jednego z jego działów z napisem: „godzia 5 wieczorem“; wówczas spostrzegłem, że ten olbrzymi program był programem całej doby, podzielonym na 24 części, odpowiednio do liczby godzin. Niewiele sztuk przypadało na godzinę piątą, ja zaś wybrałem utwór na organy.

— Jakże się cieszę, że pan lubisz organy; sądzę, że żaden instrument nie odpowiada równie często memu usposobieniu.

Kazała mi usiąść wygodnie, przeszła przez pokój i, o ile mogłem dojrzeć, nacisnęła jeden lub dwa guziczki w ścianie, a natychmiast pokój napełnił się dźwiękami wspaniałej muzyki organów; mówię, że się napełnił, nie utonął w dźwiękach, gdyż jakimś dziwnym sposobem fala ich zastosowana była do rozmiarów pokoju. Słuchałem, zatrzymując w sobie oddech. Nie sądziłem, że kiedykolwiek posłyszę muzykę podobnie wykończoną

— Wspaniałe... — zawołałem, gdy ostatnia fala dźwięków spłynęła i roztopiła się w ciszy... — Chyba sam Bach był tutaj wykonawcą. Ale gdzież są organy?

— Poczekaj pan chwilę... — rzekła Edyta — zanim pomówimy, chciałabym, abys pan posłuchał jednego walca.

Gdy mówiła jeszcze, dźwięki skrzypiec poczęły na-

pełniać rolę czarem „Nocy letniej.“ Kiedy i to się skończyło, Edyta rzekła:

— W muzyce tej nie ma nic a nic tajemniczego, jakbyś pan mógł sobie wyobrażać; sprawcami jej nie są ani wróżki, ani genjusze, ale dobre, sumienne i niezmiernie biegle ręce ludzkie. Oto, poprostu, tak samo do naszej służby muzycznej, jak i do innych zakresów, zastosowaliśmy zasadę oszczędności pracy przez kooperację. W mieście istnieje pewna liczba sal koncertowych, doskonale przystosowanych pod względem akustycznym do rozmaitych rodzajów muzyki. Sale te, za pomocą telefonów, łączą się ze wszystkimi domami miasta, których mieszkańcy chcą płacić małą daninę, a możesz pan być pewnym, że nie ma takich, coby tego nie chcieli. Oddziały muzyków w każdej sali są tak liczne, że jakkolwiek każdy wykonawca lub grupy wykonawców biorą nieznaczny tylko udział, program dnia rozciąga się na 24 godziny. Na karcie dzisiejszej spostrzeżesz pan, przyjrawszy się jej bliżej, odrębne programy czterech z pomiędzy takich koncertów, z tych zaś każdy składa się z innego rodzaju muzyki i odbywa się jednocześnie z innymi; każdej z czterech sztuk, granych w tej chwili, możesz pan słuchać, nacisnąwszy tylko guzik drutu, łączącego dom z salą, w której sztuka jest wykonywana. Programy tak są ułożone, iż sztuki, grane jednocześnie i w rozmaitych salach, różnią się nie tylko pod względem instrumentalno-wokalnym, ale i pod względem rodzaju instrumentów, oraz pod względem motywów, melodyj; mamy tu rzeczy poważne i wesołe, tak, iż wszelkim upodobaniom i uposobieniom można uczynić zadość...

— Zdaje mi się, panno Leete... — rzekłem — że gdybyśmy mogli wynaleść sposób dostarczania każdemu w jego domu muzyki doskonałej pod względem jakości,

nieograniczonej co do ilości, zastosowanej do wszelkich usposobień, odzywającej się i milknącej stosownie do woli, pomyślelibyśmy, żeśmy już dosięgli kresów ludzkiej szczęśliwości i przestalibyśmy się starać o rozwój dalszy.

— Nigdy, to pewna, nie mogłam zrozumieć, w jaki sposób ludzie, którzy za waszych czasów byli lubownikami muzyki, godzili się z owym starym systemem korzystania z niej... — odrzekła Edyta. — Muzyka, istotnie godna tej nazwy, była, jak sądzę, całkiem niedostępną dla mas; najszczęśliwsi zaś miewali ją przypadkiem z wielkimi kłopotami i ze znacznym wydatkiem i to przez czas krótki, dowolnie przez kogoś obrany. Naprzykład wasze koncerty i opery! Jak rozpaczliwem musiało być dla was siedzieć i słuchać całemi godzinami tego, czegoście słuchać nie chcieli dla doczekania się w końcu jednej lub dwóch sztuk ulubionych! Przy obiedzie każdy może pomijać potrawy, których nie lubi. Najbardziej głodny nie obiadowałby nigdy, gdyby mu kazano jeść wszystko, cokolwiek podanem będzie na stół. Słuch zaś z pewnością nie jest mniej wrażliwym od smaku. Przypuszczam, że właśnie niemożność słyszenia dobrej muzyki, nakłaniała do grywania w domu tak wiele osób, które nie miały po temu prawie żadnych zdolności.

— Tak.. — odrzekłem — dla większości z nas była to muzyka jedynie dostępna.

-- Chyba!.. To też nic dziwnego, że za dni waszych ludzie nie lubili tak powszechnie muzyki. Ja sama może nienawidziłabym jej wówczas..

— Jeslim panią dobrze zrozumiał.. — wtrąciłem — to ten program muzyczny wypełnia całą dobę.. Tak jest przynajmniej na karcie, ale któż będzie słuchał muzyki od północy do rana?..

— O, bardzo wielu; u nas ludzie śpią i czuwają kiedy im się podoba. Gdyby jednak z tej muzyki nie korzystał kto inny, to korzystaliby z niej ludzie cierpiący na bezsenność, chorzy i umierający. We wszystkich naszych sypialniach są nad łózkami guziki telefonów i każdy, komu nie udaje się zasnąć, może mieć na zawołanie muzykę, odpowiadającą jego usposobieniu.

— Czy jest taki przyrząd w sypialni, przeznaczony dla mnie...

— Naturalnie! Jakżem niemądra, o, jakżem ja niemądra, żem nie powiedziała panu o tem wczoraj wieczorem. Ale ojciec pokaże panu cały przyrząd, zanim pan pójdzie spać dzisiaj, a przy jego pomocy będzie pan mógł odpędzić wszelkie niezdrowe myśli, gdyby znowu dziś pana napastowały.

Wieczorem doktor Leete rozpytywał się o naszą wycieczkę do składu towarów, a w ciągu wesołego porównywania rozmaitych urządzeń wieku XIX i XX, jakaś okoliczność nasunęła mi myśl o prawach dziedziczenia.

— Przypuszczam... — rzekłem — iż dziedziczenie własności nie jest dozwolone dzisiaj.

— Przeciwnie... — odparł doktor Leete — nikt nas w tem nie krępuje. Faktycznie, panie West, znajdziesz pan, gdy pan nas poznasz, iż mamy dzisiaj o wiele mniej skrupowań wolności osobistej, aniżeli te, do jakich wyście byli przyzwyczajeni. Wymagamy istotnie, aby każdy przez pewien okres czasu służył narodowi, i nie pozostawiamy mu natomiast wolności wyboru pomiędzy pracą, kradzieżą lub śmiercią głodową, jakieście to wy czynili. Ale, z wyjątkiem tego prawa zasadniczego, które jest tylko zastosowaniem prawa przyrody, z wyjątkiem tym, który zarówno ciąży na wszystkich naszych współbliźnich, system nasz nie jest już

zależny od żadnego szczególnego prawodawstwa i przedstawia się, jako całkiem dowolny i logiczny wynik działania ludzkiej przyrody w warunkach racjonalnych. Kwestyja spadkowa jest właśnie tego żywym przykładem. Ten fakt, że naród jest jedynym kapitalistą i posiadaczem ziemskim, ogranicza, naturalnie, własność jednostki litylko do jej rocznego kredytu, oraz do przedmiotów osobistego użytku, jakie może sobie zdobyć. Kredyt jej, tak jak dożywocie za dni waszych, ustaje wraz z jej śmiercią, przyczem wyznacza się jeszcze pewną sumę na pogrzeb. Resztę zaś pozostawia, komu się jej podoba...

— Cóż po pewnym czasie zapobiedz może u was takiemu nagromadzeniu się rzeczy wartościowych i klejnotów w rękach jednostek, jakie groziłoby poważnie równości obywateli?... — zapytałem.

— Urządza się to samo przez się. Przy obecnej organizacyi społecznej, takie nagromadzenie własności osobistej staje się tylko ciężarem z chwilą, gdy przekroczy granicę nabytków, służących ku wygodzie osobistej. Za dni waszych człowiek, któryby nappełnił cały swój dom srebrnem i złotem naczyniem, wyszukaną porcelaną chińską, kosztownymi sprzętami i. t. p., uważany byłby za bogacza, gdyż wszystkie te przedmioty przedstawiałyby pieniądz i mogłyby nań być zmienione w każdym razie. Dzisiaj człowiek, któregoby jednoczesna śmierć wielu krewnych postawiła w takim położeniu, uważany byłby za bardzo nieszczęśliwego. Ponieważ te przedmioty nie mogą być sprzedane; posiadałyby one dla niego wartość o tyle tylko, o ile służyłyby do jego użytku albo ozdoby. Z drugiej strony, ponieważ dochód jego pozostałby jednakim, więc nie chciałby on obarczać swego rocznego kredytu, wynajmując dom na przechowanie tych zasobów, albo też

placąc służbie, któraby ich pilnowało. Możesz być pewny, że obdarzony w jednej chwili rozdarowałby rujnujący go spadek pomiędzy przyjaciół, że z tych ostatnich nikt nie wziąłby więcej nad to, coby zdołał wygodnie pomieścić w swym domu. Widzisz więc pan, że zakaz dziedziczenia własności osobistej w celach zapobiegających jej nagromadzeniu się, byłby ostrożnością zbyteczną ze strony narodu. Można ufać, iż każdy obywatel będzie czuwał nad tem, aby brzemię jego nie było zbyt wielkie. Tak dalece troskliwym on bywa pod tym względem, iż krewni najczęściej zrzekają się prawa do większości rzeczy, pozostałych po nieboszczyku, zachowując tylko dla siebie przedmioty niektóre. Naród wchodzi w posiadanie reszty sprzętów i te z nich, które posiadają jakąś wartość, zalicza znowu do wspólnego kapitału narodowego.

— Mówiłeś pan o płaceniu za pilnowanie rzeczy; powiedzenie to nasuwa mi pewne pytanie, które wielokrotnie chciałem już zadać. W jaki sposób rozstrzygnęliście sprawę służby domowej? Któż może chcieć być sługą w społeczeństwie, w którym wszyscy są równi? Nasze panie z trudem znajdowały sobie służbę nawet wówczas, gdy mało jeszcze było uroszczeń do równości.

— Właśnie dla tego, że wszyscy jesteśmy równi społecznie i że równości tej nie może na szwank narazić, oraz dlatego, że służba jest rzeczą zaszczytną w społeczeństwie, którego podstawowa zasada polega na tem, iż wszyscy po kolei służą innym, dlatego moglibyśmy mieć taką służbę domową, o jakiej wam się nie śniło; ale nie potrzebujemy jej wcale.

— Jakże się więc urządza państwo z zajęciami domowymi?

— Nie ma tu nic do robienia... — odrzekła pani

Leete, do której się zwróciłem z zapytaniem. — Pranie nasze odbywa się w pralniach publicznych za cenę niezmiernie niską, gotowanie zaś w publicznych kuchniach. Szycie i reperacja wszelkiej odzieży odbywa się w zakładach publicznych. Elektryczność, naturalnie, zajęła miejsce opału i oświetlenia. Wybieramy mieszkanie pożądanej wielkości i sprawiamy takie meble, aby było jak najmniej roboty do utrzymania ich w porządku. Nie używamy zgoła sług domowych.

— Ten fakt... — dodał doktor Leete — że w klasach uboższych wyście znajdowali niezliczone zastępy sług, na których wkładaliście wszelkie ciężkie i bardziej nieprzyjemne roboty, pozostawiał was obojętnymi na środki uniknięcia tych robót. Ale dzisiaj my wszyscy musimy wykonywać po kolei wszelkie roboty, jakich tylko potrzebuje społeczeństwo; każda więc jednostka jest zarówno zainteresowaną osobiście w wynajdywaniu środków ulżenia ciężarom. Fakt ten nadał przedziwny impuls wszelkim wynalazkom, mającym na celu oszczędzenie pracy we wszystkich gałęziach przemysłu, jednym zaś z najpierwszych tego wyników było skojarzenie możliwie największej wygody, oraz najmniejszej kłopotliwości w urządzeniach domowych. W szczególnych wypadkach gospodarczych, jak np. przy czyszczeniu lub odnawianiu domu, albo w razie choroby, miewamy zawsze zapewnioną sobie pomoc sił roboczych...

— Ale, w jaki sposób wynagradzacie tych pomocników, nie mając pieniędzy?

- To też nie płacimy im samym, ale narodowi za nich. Usługi ich można otrzymać, zwracając się do właściwego biura, zapłatę zaś wykręśliła się z kredytowej karty proszącego.

— Cóż za raj musi być dzisiaj dla kobiet — zawołałem. — Za dni moich nawet bogactwo i mnogość

służby nie uwalniały pań od trosk gospodarskich, gdy tymczasem kobiety z klas mniej zamożnych lub biedniejszych żyły i umierały, jako męczennice.

— Tak... — rzekła pani Leete — czytałam coś o tem, przynajmniej tyle, aby się przekonać, że jakkolwiek źle było waszym mężczyznom, to jednak szczęśliwsiymi byli oni, niż matki wasze i żony.

— Potężne barki narodu... — rzekł doktor Leete — nie czują dziś prawie ciężaru tego, co za dni waszych było brzemieniem, uginającym grzbiety waszych kobiet. Nędza ich wraz z innymi waszemi nędzami pochodziła z nieudolności do współdziałania, jaka wynikała z indywidualizmu, będącego podstawą waszego ustroju społecznego, wypływała z nieudolności waszej spostrzeżenia, że można dziesięć razy więcej korzystać ze swych bliźnich, jednocząc się z nimi, aniżeli walcząc. Dziwnem jest nie to, żeście nie żyli wygodnie, ale żeście wogóle zdolni byli żyć razem, starając się ujarzmić wzajemnie i zagrabić cudze mienie.

— Ależ, ojcze, nie unosz się, pan West pomyśli, że go łajesz. — śmiejąc się wtrąciła Edyta

— Gdy potrzebujecie doktora... — spytałem — czy wówczas poprostu zawiadamiacie właściwe biuro i przyjmujecie tego, kogo wam przyszłą?

— Zasada ta nie da się zastosować do lekarzy... — odpowiedział doktor Leete — pomoc, jaką lekarz okazać może chorym, w znacznej mierze zależną jest od poznania ich organizmu i warunków życia. Chory więc musi mieć możność przywoływania lekarza, jakiego sam zechce, czyni to tak samo, jak za dni waszych. Jedyna różnica na tem polega, że zamiast zbierać honorarium dla siebie, lekarz zbiera je dla narodu, wykreślając jako wynagrodzenia za pomoc lekarską, odpowiednią kwotę z kredytowej karty chorego.

— Wyobrażam sobie, że jeżeli honoraryjum jest zawsze jednakie i doktor nie może nie przyjmować pacjentów, do czego, jak przypuszczam, ma prawo, to dobrzy lekarze są ciągle wzywani, zaś gorsi pozostają w bezczynności.

— Przebacz, byłemu doktorowi, pozorne samochwalstwo... — odparł doktor Leete z uśmiechem — lecz my nie mamy złych doktorów. Nie każdy, któremu udało się nałykać trochę terminów lekarskich, może dziś tak, jak za waszych czasów, igrać z życiem współobywateli. Tacy tylko, co złożyli ścisły egzamin i dowiedli swego powołania, mogą praktykować. Dalej, zauważ pan, iż żaden lekarz nie usiłuje dziś tworzyć sobie praktyki kosztem lekarzy innych, gdyż nie ma po temu żadnych pobudek. Nakoniec, doktor zdaje regularną sprawę ze swych czynności urzędowi lekarskiemu i jeśli nie jest dostatecznie zajęty, wyznacza mu się robotę.

Rozdział XII.

Ponieważ musiałem robić wiele zapytań, by jako tako zapoznać się z urządzeniami XX-go stulecia, a z drugiej strony dobroć doktora Leete była niewyczerpaną, więc po odejściu pań gawędziliśmy do późnej nocy.

Przypomniawszy doktorowi, na czym przerwaliśmy naszą rozmowę zrana, wyraziłem chęć dowiedzenia się, w jaki sposób organizacja armii przemysłowej umiała znaleźć dość skuteczne sposoby zachęcenia swych członków do pilności, skoro pracownik wolny był od wszelkiej troski o swój dobrobyt.

— Przedewszystkiem, musisz pan zrozumieć, że sprawa owych bodźców zachęcających do pracy jest jednym tylko z zadań, jakie ma do spełnienia tegooczesna organizacja naszej armii przemysłowej. Drugiem, niemniej ważnem zadaniem jest dowódczom pracy i wielkim przewodnikom narodu, ludziom wypróbowanych zdolności, dla których sam ich zawód jest bodźcem, dostarczyć środki do utrzymywania w karbach pilności tych, co za nimi idą i nie pozwalając im na lenistwo. Odpowiednio do tych dwóch celów, ogół członków armii przemysłowej dzieli się na cztery główne klasy. Naprzód idą pracownicy nie wykwalifikowani, pospolici robotnicy, wyznaczani do wszelkiego rodzaju robót, zazwyczaj uciążliwych. Do tego oddziału należą wszyscy nowozacięźni w ciągu trzech lat pierwszych. Potwóre, mamy terminatorów, t. j. ludzi, którzy po wyjściu z oddziału uprzedniego spędzają pierwszy rok na wdrażeniu się do wybranych przez się zawodów. Po trzecie, mamy główną armię pracowników wyrobionych, złożoną z ludzi wieku od lat 25 do 45. Po czwarte, przełożonych, poczynając od najniższych, mających obowiązki dozoru ludzi, aż do najwyższych. Każda z tych czterech klas podlega innej dyscyplinie. Pracownicy pierwszej kategorii, jako wykonywający robotę mieszaną, nie mogą, naturalnie, podlegać tak ścisłemu stopniowaniu, jak wyżsi. Uważamy ich zajęcie za pewnego rodzaju szkołę, w której nabywają zawodowe uzdolnienie. Niemniej wszakże prowadzi się ich kontrolę osobistą, a celujący otrzymują wyróżnienie, co pomaga w ich zawodzie późniejszym mniej więcej tak, jak za waszych czasów dyplomy i nagrody uniwersyteckie. Potem następuje rok terminatorstwa. W terminie pierwszy kwartał poświęca się na poznanie pierw-

szych podstaw danego zawodu, w ciągu trzech kwartałów następnych zwraca się już na terminatora szczególną uwagę, aby oznaczyć, jaką rolę dać mu potrzeba będzie, gdy się stanie pracownikiem skończonym. Dziwnem się może wydać, że okres terminatorstwa jednaki jest we wszystkich zawodach, ale czyni się to dla ujednostajnienia systemu; w praktyce zaś system ów działa właśnie tak, jak gdyby okres był różny, stosownie do większej lub mniejszej trudności powołania. W takich bowiem wypadkach, kiedy terminator nie może osiąść umiejętności swej w ciągu jednego roku, staje się on później pracownikiem stopnia niższego i uczy się dalej, aż do nabrania zupełnej wprawy. Tak też w istocie bywa w większości wypadków. Pracownicy skończeni dzielą się na trzy stopnie, odpowiednio do swojej sprawności, każdy zaś stopień ma klasę pierwszą i drugą, a w ten sposób we wszystkich zawodach znajdziemy po sześć klas pracowników, odpowiednio do ich uzdolnień. Dla sprawdzenia biegłości, każda praca przemysłowa prowadzona jest „od sztuki“, a kiedy to jest niemożliwem, wówczas szuka się innego środka dla określenia biegłości. Przegląd ludzi odbywa się corocznie i w ten sposób zasługa nigdy nie czeka zbyt długo na wyróżnienie; nikt nie może spoczywać na laurach dawniej zdobytych, jeśli nie chce być zdegradowanym. Wyniki przeglądów, określające stanowisko każdego w armii przemysłowej, ogłaszane bywają w gazetach. Oprócz owej wielkiej pobudki do działania, polegającej na tem, że zaszczytne stanowiska w narodzie są tylko dostępne dla pracowników najwyższej klasy, istnieją jeszcze rozmaite rodzaje pobudek drugorzędnych, jakkolwiek może równie skutecznych, w postaci szczególnych nagród i przywilejów, z jakich ko-

rzystają członkowie wyższej klasy. Bodźce te, wogóle niezbyt ważne, mają wszakże ten skutek, iż nikomu nie pozwalają zapominać, że pożądanem jest dlań dosięgnięcie stopnia wyższego. Ważnem jest, iż nietylko dobrzy, ale i średni oraz mierni robotnicy mogą żywić nadzieję przejścia do klasy wyższej. A że liczba mierznych jest największą, przeto system nasz musiał głównie zwrócić uwagę w celu zachęcenia ich. Dlatego działy podzielone są na klasy. Ponieważ klasy obejmują jednakową ilość ludzi, odliczając zatem oficerów (urzędników), klasy najniższe nie stanowią nigdy więcej, jak jedną ósmą całej armii przemysłowej, a w dodatku w tej ósmej części znajdują się terminatorzy noworekrutowani, którzy żywią nadzieję przejścia do klasy wyższej. Aby jeszcze bardziej zachęcić ludzi niewielkich uzdolnień do pracy możliwie najlepszej, ci, którzy po dosięgnięciu stopnia wyższego spadają znowu na niższy, nie tracą owoców swego wysiłku, ale zachowują sposobem tytułu honorowego godność swą dawniejszą. Wynik tego jest taki, że w naszym systemie stopniowania ci, którzy nie mogą dostać żadnej nagrody dla zaspokojenia ich dumy i którzy pozostają przez cały okres służby w klasie najniższej, stanowią zaledwie drobny ułamek armii przemysłowej i odznaczają się zarówno obojętnością na swoje stanowisko, jak i nieudolnością polepszenia go. Zresztą, aby pracownik miał przynajmniej przedsmak sławy, nie potrzeba mu otrzymać promocyi na stopień wyższy. Promocyję dają tylko tym, którzy celują we wszystkich gałęziach danego zawodu, dla odznaczenia zaś sprawności muięjszej, istnieją jeszcze wzmianki zaszczytne i rozmaite rodzaje wyróżnień dla mniej biegłych robotników lub tych, którzy wydoskonalili się w jednym tylko kierunku. Nasz system dąży do tego, by każda forma zasługi

była należycie uznana... Co do wypadków istotnego zaniedbania się w pracy lub roboty źle wykonanej, oraz co do innych dowodów opieszałości ze strony ludzi, niezdolnych ulegać pobudkom szlachetniejszym, to karność naszej armii przemysłowej jest zbyt ścisła, iżby pozwalać miała na wiele takich objawów. Człowiek, zdolny do pełnienia obowiązków, lecz uparcie wzbraniający się od tego, usuwanym bywa od obcowania z ludźmi... Najniższego stopnia oficerowie armii przemysłowej, t. j. pomocnicy dozorców, czyli porucznicy, mianowani są z pomiędzy tych, którzy przebyli dwa lata w pierwszych klasach pierwszego stopnia. Tam, gdzie się ma wielu do wyboru, tylko pierwsza grupa jest obieralna. W ten sposób dopiero mając około 30 lat można dojść do stanowiska zwierzchniczego. Kiedy ktoś stanie się oficerem, wówczas wynagradzanie jego zależy, naturalnie, nie od sprawności jego własnej pracy, ale od pracy powierzonych mu ludzi. Dozorców wyznacza się z pomiędzy ich pomocników w taki sam sposób, to jest ograniczając wybór do grupy malej... W mianowaniu wyższych urzędników posługujemy się zasadą inną, której tłumaczenie jednak zabrałoby tu zbyt wiele czasu... Rzecz jasna, iż opisanego przezemnie systemu stopniowania nie dałoby się zastosować do małych przedsiębiorstw waszej epoki, w której czasem bywało tak niewielu pracowników, iż nie wypadłoby po jednym na każdą klasę. Musisz pan przypomnieć sobie, że w narodowej organizacyi przemysłu wszystkie jego gałęzie uprawiane są przez wie'kie zbiorowiska ludzi, gdyż setki waszych ferm i warsztatów myśmy połączyli w jedno. Nadzorca więc u nas jest prawie tak, jak pułkownik, albo nawet generał w wojsku waszem...

— A teraz, panie West, na podstawie tego, zaryso-

wanego przecemnie szkicu, zapytuję pana, czy ludzie, potrzebujący szczególnych bodźców do pracy, mogą uskarżać się na brak ich w naszym systemie?..

Odrzekłem, iż, jak mi się zdaje, bodźce te są chyba zbyt silne; że młodzież zmuszają do podążania krokiem zbyt pospiesznym i takie jest przynajmniej moje mniemanie, a dłuższy pobyt pomiędzy wami utwierdził mnie w nim tylko...

Dr. Leete zwrócił uwagę na to, że stopa życiowa obywatelska nie zależy od rangi piastowanej, że czas pracy jest krótki i współubieganie ustaje z 45 rokiem życia.

— Dla usunięcia nieporozumień... — dodał — powiem jeszcze słów kilka. Przedewszystkiem musisz pan zrozumieć, że ten system oddawania pierwszeństwa pracownikom lepszym przed gorszymi bynajmniej nie paczy zasadniczej idei naszego układu społecznego, iż wszyscy, co pracują według sił swoich, równe mają zasługi, bez względu na to, czy wielkimi lub małymi są owoce ich pracy. Wykazałem, iż system nasz zarówno zachęca silniejszych, jak też i słabszych nadzieją awansu, a to, że silniejsi wybierani są na przewodników, bynajmniej nie ubliża słabszym, służy tylko interesom całości.

Jeśli współzawodnictwu pozostawia się w naszym systemie wolne pole, jako bodźcowi, nie uważamy go jednak za pobudkę, godną ludzi szlachetniejszych i zdolną podniecić ich. Tacy znajdują swój bodziec wewnątrz siebie, nie zaś na zewnątrz i mierzą obowiązek swój skalą uzdolnień własnych, nie zaś cudzych. Dopóki czyny ich odpowiadają ich siłom, uważaliby oni za rzecz niesłuszną spodziewać się kary albo nagrody z powodu, iż udało się im wykonać pracę lepiej lub gorzej. Dla takich natur współzawodnictwo wydaje się

czemś niedorzecznem ze stanowiska filozoficznego i nagannem ze stanowiska moralności, gdyż budzi ono w razie powodzenia innych zawiść zamiast podziwu, a w razie niepowodzenia radość zamiast żalu... Ale nie wszyscy ludzie, nawet w tym ostatnim roku XX-go stulecia, należą do tej kategorii wyższej; jakoż dla tych, którzy takimi nie są, potrzeba koniecznie bodźców, odpowiadających ich niższym skłonnościom. Dla nich więc właśnie pozostawia się owo najbardziej namiętne współubieganie się, jako pobudkę stałą. Ci, którzy jej potrzebują, ulegać będą jej wpływowi; ci zaś, którzy są nad nią wyżsi, nie potrzebują jej... Muszę nadmienić... — kończył doktor Leete — że posiadamy jeszcze szczególny rodzaj pracowników, złożony z ludzi, którzy są za słabi cieleśnie lub umysłowo, żeby należeli do armii przemysłowej. Jest to rodzaj brygady inwalidów, stojących poza czynną armiją, lecz której członkowie spełniają roboty, odpowiednie do swoich sił. Należą tutaj chorzy na umyśle i ciele: ślepi, głucho niemi, kulawi, nawet obłąkani. Mają oni odpowiedni znak. Silniejsi robią prawie tyle, co zdrowy szeregowiec, inni nie zgola, lecz nikt nie wałęsa się bezczynnie, jeśli jest zdolny do czegokolwiek. Nawet waryjaci w chwilach przytomności krzątają się gorliwie około dobra społecznego.

— Bardzo piękną jest ta myśl korpusu inwalidów; nawet barbarzyńca wieku dziewiętnastego może to ocenić. Jest to bardzo wdzięczny sposób zamaskowania litości i musi też przyjemnie oddziaływać na uczucia tych, którzy go doznają.

— Litości? — powtórzył doktor Leete. — Czyż pan przypuszczasz, że my na tę kategorię ludzi patrzymy, jak na przedmiot litości?

— Tak sędzę, nie są bowiem zdolni utrzymywać siebie samych.

Ale doktor przerwał mi szybko.

— Któż jest zdolnym do tego? — zapytał. — W społeczeństwie cywilizowanym nie może być mowy o utrzymywaniu się samodzielnie. W stanie takiego barbarzyństwa, kiedy nawet współdziałanie rodzinne jeszcze nie istnieje, każda jednostka zapewne musi utrzymywać się sama, jakkolwiek zresztą i wówczas niezdolną jest do tego przez całe życie. Ale z chwilą, gdy ludzie poczynają żyć razem, tworząc bodajby społeczność najpierwotniejszą, utrzymanie takie staje się niemożliwym. W miarę rozrostu cywilizacji ludzkiej, podziału zajęć i usług, prawem powszechnym staje się zależność wzajemna. Każdy człowiek, jakkolwiek odosobnionym wydawałoby się jego zajęcie, jest wówczas członkiem rozległej spółki przemysłowej, tak wielkiej, jak cały naród, jak ludzkość cała. Nieodzowność wzajemnej zależności każe domyślać się obowiązku oraz rękojmi wzajemnego utrzymywania się; ta zaś okoliczność, iż nie było tak za dni waszych, stanowiła właśnie o niedorzeczności i okrucieństwie waszego systemu.

— Wszystko to być może — odrzekłem — nie dotyczy to jednak tych, którzy zgoła niezdolni są do brania udziału w ogólnej wytwórczości przemysłowej.

— Zapewne, powiedziałem panu dziś zrana, a przynajmniej sędzę, że powiedziałem, iż prawo człowieka do żywienia się przy biesiadnym stole narodowym wprost z tego wypływa, że jest człowiekiem, nie zależy zaś od zasobu jego zdrowia i siły. Rozumie się, ma to miejsce wtedy, gdy pracuje wedle sił swoich.

— Powiedziałeś pan to, ale sądziłem, że prawidło stosowało się jedynie do pracowników rozmaitych stopni

zdolności. Czyżby to stosowało się również do tych, co nie mogą robić nic zgoła?

— Czyż tacy nie są również ludźmi?

— Więc mam rozumieć, że kulawi, ślepi i niedołęzni korzystają z dochodów jednakich na równi z pracownikami najbardziej sprawnymi?

— Niewątpliwie... — odpowiedziano mi.

— Wszelka myśl o miłosierdziu na tak szeroka skalę wprawiałaby w osłupienie naszych najgorliwszych filantropów.

— Gdy masz pan chorego brata w domu, niezdolnego do pracy, czyż będziesz go żywił gorzej, czy dasz mu gorszą odzież lub mieszkanie, niż sobie samemu? Daleko prędzej oddałbyś mu pan pierwszeństwo, nie myśląc nazywać tego miłosierdziem. Czyż wyraz ten, w takim znaczeniu użyty, nie napełniłby pana oburzeniem?

— Naturalnie, ale porównanie pańskie jest niestosowne. Jużcie w pewnym znaczeniu wszyscy ludzie są braćmi, ale tego braterstwa ogólnego, pomijając chyba zwroty krasomówcze, nie podobna porównywać z braterstwem krwi, tak pod względem uczuć, jak i obowiązków.

— Mówi przez pana wiek dziewiętnasty... — zawołał doktor Leete. — Ach, panie West, ani wątpić, żeś pan spał bardzo długo. Gdybym musiał dać panu w jednym jakimś zdaniu klucz do zrozumienia tego, co może wydawać się tajemnicą naszej cywilizacji w przeciwstawieniu do waszej, powiedziałbym, iż kluczem owym jest ten fakt, że solidarność rodu człowieczego i braterstwo ludzi, które dla was były tylko pięknym frazesem, dla naszych myśli i uczuć są już tak istotnymi i tak żywotnymi więzami, jak i braterstwo fizyczne... Ale, nawet usunąwszy te względy, nie widzę, dlaczego

miałoby pana dziwić, że tym, którzy pracować nie mogą, daje się prawo żyć kosztem tych, co do pracy są zdolni. Nawet za dni waszych powinność służby wojskowej dla obrony narodu, powinność, której odpowiada nasza służba przemysłowa, obowiązując tych, co zdolnymi byli do jej wykonywania, nie pozbawiała jednak prawa obywatelstwa takich, którzy do niej zdolnymi nie byli. Ci ostatni pozostawali w domu, korzystając z obrony tych, którzy walczyli, a nikt nie zaprzeczał ich praw, ani też nie miano o nich złego pojęcia. Podobnie też i teraz, wymaganie służby przemysłowej od ludzi, którzy są do niej zdolni, nie pozbawia przywilejów obywatelstwa (polegających dziś na dostarczeniu możliwości utrzymania się) tych, którzy pracować nie mogą. Pracownik nie dlatego jest obywatelem, że pracuje, ale pracuje dlatego, że jest obywatelem. Tak samo, jak wycie uznawali obowiązek silnych walczenia za słabszych, tak my dzisiaj, gdy walki już us'aly, uznajemy ich obowiązek pracownia za nieudolnych... Rozwiązanie, pozostawiające jeszcze coś niewytłomaczonego, nie jest zgoła rozwiązaniem; to też nasze rozstrzygnięcie zagadnienia o społeczności ludzkiej nie byłoby zupełnem, gdybyśmy pozostawili kulawych, chorych i ślepych, na równi ze zwierzętami, poza społeczeństwem. Daleko lepszem w taki sposób byłoby opuścić silnych i zdrowych, aniżeli tych nieszczęśliwych, o których troszczyć się winny wszystkie serca i którym przed wszystkimi innymi należałoby zapewnić wygody ducha i ciała. Tak więc, jakem to już panu powiedział zrana, prawo każdego mężczyzny, kobiety lub dziecka do środków utrzymania, opiera się tylko na tej oczywistej, szerokiej i prostej podstawie, iż są oni współtowarzyszami jednego rodu, członkami jednej rodziny ludzkiej... Sądzę, iż dla myśli nowoży-

tnej cywilizacja wasza nie ma cech bardziej wstrętnych, jak owo lekceważenie waszych klas niższych... Jeśliście nawet nie mieli ani litości, ani uczucia braterstwa, nie rozumiem, w jaki sposób nie dostrzegaliście tego, iż wyzuwacie klasę nieudolnych z jej praw przyrodzonych, pozostawiając potrzeby jej niezaspokojonemi.

— Zupełnie nie mogę zgodzić się tu z panem; uznaję uroszczenia owej klasy do naszej litości, ale w jaki sposób ci, którzy nic nie wytwarzali, mogliby domagać się udziału w wytworze, jako swego prawa?

— Dlaczego — zagadnął doktor Leete — wasi robotnicy wytwarzali więcej, niż dzicy przodkowie? Czy nie otrzymali spadku po odległych wiekach, nie korzystali z zdobywanego i gromadzonego przez tysiącolecia zasobu doświadczeń i wiedzy? Jakim sposobem nabyli prawo, któremu zawdzięczali dziewięć dziesiątych swojej wydajności? Odziedziczyli je po przodkach. A czyż biedacy, których odpychaliście, nie byli uprawnionymi współspadkobiercami? Coście uczynili z ich częścią? Złupiliście ją i w zamian rzucaliście skrawki chleba ze stołu waszego. Do grabieży dodaliście pogardę, nazywając podawanie okruchów jałmużną...

— Ach, panie West... — ciągnął dalej doktor, podczas gdy ja milczałem — czego nie nie rozumiem, pominawszy wszelkie względy sprawiedliwości i braterstwa względem utonnych i kalek, to mianowicie tego, jak mogli mieć serce do pracy robotnicy waszych czasów, wiedząc, że dzieci ich albo wnuki w razie nieszczęścia pozbawionymi będą wygód, a nawet niezbędnych potrzeb do życia. Nie rozumiem, jak mający dzieci ludzie mogli usprawiedliwić ów porządek społeczny, który przeprowadzał taką różnicę pomiędzy niezdolnym a uzdolnionym. Ustrój, zapewniający ojcu dostatek, skazywał mniej hojnie obdarzonego od natury

syna na ciągłą nędzę. Rzecz dziwna, że w takich okolicznościach ludzie odważali się jeszcze wydawać na świat potomstwo...

U w a g a. Chociaż w pogadance swojej poprzedzającego wieczora doktor Leete mówił mi o pieczołowitości, z jaką dopomaga się każdemu człowiekowi do należytego wyboru istotnego jego powołania, to jednak dopiero wówczas, gdym się dowiedział o równości dochodów wszystkich pracowników, zrozumiałem, jak dalece wybór taki stał się dla nich możliwym, oraz jak każdy, obrawszy zawód naprawdę najłatwiejszy dla siebie, istotnie mógł w nim pracować najlepiej. Za dni moich trudność wynalezienia jakiegoś systematycznego i skutecznego sposobu użytkowywania przyrodzonych skłonności ludzkich w zawodach przemysłowych i naukowych była zarówno źródłem strat wielkich, jak też i jedną z najpospolitszych przyczyn unieszczęśliwienia jednostek. Większość współczesnych mi ludzi, jakkolwiek posiadała niby wolność wyboru, nie mogła w istocie z niej korzystać nigdy, lecz pod wpływem okoliczności musiała się uciekać do zajęć, do których nie czuła bynajmniej powołania. Bogaty znajdował się pod tym względem w położeniu nie o wiele lepszym od biedaka. W istocie, ten ostatni, zwykle pozbawiony wykształcenia, nie miał sposobu nawet dowiedzenia się o swych przyrodzonych skłonnościach, z powodu zaś ubóstwa nie mógł rozwijać ich i kształcić, nawet wówczas, kiedy o nich wiedział. Profesyje wolne i techniczne, z wyjątkiem tylko pewnych wypadków, szczególnie przyjaznych, niedostępne dlań były, ku wielkiej szkodzi jego samego i społeczeństwa. Z drugiej strony ludzie zamożni, jakkolwiek mogli korzystać z wykształcenia i nadarzonej sposobności, to jednak o tyleż prawie

skrępowanymi się czuli przesadami, które zamykały przed nimi zawody rękodzielnicze i zmuszały ich obrócić profesyje wolne, pozbawiając w ten sposób społeczeństwa mnóstwa wybornych rzemieślników. Względy pieniężne, popychając ludzi do zajęć zyskowych, do których zdolnymi nie byli, zamiast do zatrudnień bardziej odpowiednich ich zdolnościom chociaż stawały się przyczyną innego marnotrawstwa — paczenia talentów. Wszystko to zmieniło się dzisiaj. Jednakże wykształcenie i jednakże warunki, muszą niechybnie uwydatnić wszelką skłonność człowieka, zaś ani przesady społeczne, ani pieniężne względy nie krępują go w wyborze jego życiowego zawodu.

Rozdział XIII-ty.

Wieczorem doktor Leete odprowadził mię do sypialni, w celu spełnienia obietnicy Edyty i pokazania mechanizmu telefonu muzycznego. Nauczył, co należy czynić, by otrzymać muzykę w całej sile lub sprowadzić ją do łagodnego i przytłumionego drgania, pozwalającego wątpić, czy istotnie słyszemy dźwięki, czy też jesteśmy ofiarą złudzenia. Jeśli z dwóch znajdujących się obok siebie osób jedna chciałaby słuchać muzyki, druga zaś spać, to można było dźwięki uczynić dostępnymi dla jednej, zaś nieistniejącymi dla drugiej.

— Jak najmocniej radziłbym panu spać, jeżeli pan możesz, wyrzekając się nawet najpiękniejszej muzyki w świecie... — rzekł do mnie doktor po skończeniu objaśnień. — W pańskim stanie obecnym sen jest środkiem pokrzepiającym, którego nie zastąpi...

Pomny tego, co mi się przytrafiło zrana, obiecałem, że rady jego usłucham.

— Bardzo dobrze, więc ja nastawię telefon na godzinę ósmą...

— Co to znaczy?..

Objąśnił mi, że przy pomocy mechanizmu zegarowego, można było kazać się obudzić o wszelkiej godzinie dźwiękami muzyki.

Zaczynało mi się zdawać, co zresztą sprawdziło się później, że mój skłonność do bezsenności zostawił poza sobą tak samo, jak i inne niedogodności życia wieku XIX-go, gdyż, jakkolwiek nie przyjmowałem tym razem żadnego usypiającego napoju, to jednak tak samo, jak i nocy poprzedniej, zasnąłem, dotknawszy się zaiedwie poduszki.

Śniło mi się, że siedział na tronie Abencerraków w biesiadnej sali Alhambry, racząc moich generałów i dworzan, którzy nazajutrz mieli pod znakiem księżyca wyruszyć przeciwko giaurom hiszpańskim. Powietrze, ochładzane wodotryskami, było przesycone wonią kwiatów; grono dziewcząt o kształtach zaokrąglonych i lubieżnych ustach tańczyło z wdziękiem pod tony muzyki orkiestralnej. Spojrzawszy w górę na kryte galerie, spotykało się tu i owdzie promienie oczu jakiejś piękności haremu królewskiego, spoglądającej z góry na kwiat maurytańskiego rycerstwa. Coraz głośniej rozlegały się cymbały, coraz dzikszym był śpiew, aż w końcu krew tych dzieci pustyni nie mogła dłużej oprzeć się szałowi bojowemu i smagłe rycerstwo porwało się z miejsc swoich; tysiąc szabel błysnęło, a okrzyk: Allach il Allach wstrząsnął komnatą i... zbudził mnie. Ocknąłem się wśród dnia białego, w pokoju zaś dźwięczała elektryzująca muzyka Tureckiej pobudki.

Gdym przy śniadaniu opowiadał to gospodarzowi mojemu, objaśnił mnie, że melodyje poranne zawsze są charakteru podniecającego i wesołego.

— Ale, ale... — rzekłem — kiedy już mówimy o Hiszpanii, przypominam sobie, że wcale nie zapytywałem pana o Europę... Czy społeczeństwa starego świata również zostały przekształcone?

— Tak... — odpowiedział dr. Leete. — Wielkie narody Europy, jak również Australia, Meksyk i część Ameryki północnej przedstawiają teraz rzeczypospolite przemysłowe na wzór Stanów Zjednoczonych, które były przodownikiem w tej ewolucji. Rodzaj federacji łączy dziś świat cały i zapewnia pokój pomiędzy narodami. Rada międzynarodowa zajmuje się wymianą wzajemną pomiędzy związkowymi krajami oraz podnoszeniem na wyższy poziom ras zacofanych, każdy jednak naród w obrębie swego obszaru posiada zupełny samorząd...

— Jakże dokonywa się wymiana bez pieniędzy?.. Rozumiem, że wewnątrz kraju można się jeszcze obyć bez nich, są one jednak niezbędne do prowadzenia interesów z innymi narodami.

— O nie, pieniądze są równie zbyteczne w naszych wewnętrznych, jak i zewnętrznych stosunkach. Kiedy handel zewnętrzny prowadziły przedsiębiorstwa prywatne, wówczas potrzebowano pieniędzy nieodzownie, aby sprostać różnorodności i zawłości dokonywanych transakcyj; ale dzisiaj jednostkami, spełniającymi tę funkcję, są narody. W ten sposób istnieje tylko jakichś kilkunastu kupców na świecie, ponieważ zaś nad sprawami ich czuwa rada międzynarodowa więc do regulowania tego wszystkiego wystarcza jak najzupełniej system ksiąg rachunkowych. Każdy naród posiada „biuro wymiany zagranicznej”, kierujące jego handlem. Tak np.

biuro ametykańskie, uznawszy, że w danym roku będzie nam potrzeba tyle a tyle towarów francuskich, poseła odpowiednie zamówienie do Francyi, z kąd również zamówienia na towary przysyłają do nas. Tak samo też postępują wszystkie inne narody.

— Ale jakże ustanawiacie ceny towarów obcych, skoro nie ma żadnego współzawodnictwa?..

— Każdy naród... — odpowiedział dr. Leete — wien dostarczać innym wyrobów swoich po takiej cenie, po jakiej dostarcza własnym swym obywatelom. W ten sposób, jak pan widzisz, nie grozi nam żadne nieporozumienie. Rzecz jasna, iż w zasadzie żaden naród nie jest obowiązany dzielić się z innym owocami swej pracy, ale wzajemna wymiana towarów korzystną jest dla wszystkich. Kiedy dany naród jest stałym dostawcą pewnych wyrobów względem innego narodu, wówczas obie strony zawiadamiać siebie muszą o wszelkiej ważniejszej zmianie stosunków.

— Cóż jednak bywa wtedy, gdy naród jakiś, posiadający monopol pewnego przyrodzonego, odmówi dostarczenia go innym narodom albo też jednemu z pomiędzy nich...

— Wypadek taki nigdy się jeszcze nie zdarzył, w każdym razie stronie odmawiającej byłby on wyrządził szkodę daleko większą, niż innym... Przedewszystkiem nie wolno okazywać żadnych wyróżnień. Prawo wymaga, iżby każdy naród traktował wszystkie inne na równi pod wszelkimi względami. Zachowanie, o jakim pan myślisz, wyłączyłoby taki naród ze stosunków z innymi. Nie ma więc po wodu frasować się taką możliwością...

— Ale... — odrzekłem — przypuśćmy, iż dany naród, posiadając monopol przyrodzony jakiegoś płodu, którego wywóz przewyższa spożycie, podniesie jego ceny, a

w ten sposób, nie powstrzymując wywozu, wyzyska on potrzeby swoich sąsiadów. Jego własni obywatele będą płacić, naturalnie, cenę wyższą za ów towar, ale jako całość zyskiwać on będzie więcej na obcych, niż wydawać z własnej kieszeni...

— Kiedy się pan dowiesz... — odparł dr. Leete — w jaki sposób określane są dzisiaj ceny wszelkich towarów, spostrzeżesz, jak dalece niemożliwą jest ich zmiana, z wyjątkiem tylko tych wypadków, kiedy dla wytwarzania ich potrzeba dłuższej i cięższej pracy. Zasada ta jest rękojmnią, zarówno stosunków międzynarodowych, jak i krajowych, ale nawet bez niej poczucie wspólności interesów tak międzynarodowych, jak i narodowych, oraz przeświadczenie o niedorzeczności samolubstwa, są dzisiaj zakorzenione zbyt głęboko, aby możliwym był wypadek, jakiego się pan obawia. Musisz pan zrozumieć, że my wszyscy spodziewamy się w przyszłości zjednoczenia całego świata w jeden wielki naród. Będzie to niewątpliwie ostateczna forma społeczeństwa, która urzeczywistni pewne korzyści ekonomiczne, jakich osiągnąć nie pozwala jeszcze dzisiejszy system związkowy narodów niezależnych. Tymczasem jednak, system obecny o tyle jest już blizkim doskonałości, że my chętnie pozostawiamy potomkom naszym sprawę wykończenia tego planu. Istnieją zresztą tacy, co utrzymują, że nigdy nie będzie on w ten sposób wykończonym, a to dlatego, iż plan związkowy jest nietylko czasowem, ale najlepszem i ostatecznym rozwiązaniem zagadnienia o społeczności ludzkiej...

— Jakże sobie radzicie wtedy.... — zapytałem — gdy rachunki dwóch jakichś narodów nie równoważą się wzajemnie? Kiedy np. Ameryka przywozi z Francji więcej, niż sama do niej wywozi...

— Z końcem roku sprawdzane są księgi każdego

narodu. Jeżeli Francya jest naszą dłużniczką, to prawdopodobnie my jesteśmy dłużnikiem jakiegoś innego narodu, który winien jest coś Francyi i tak dalej, odnośnie do wszystkich innych narodów. Przewyżka, albo niedobór, pozostające po zrównoważeniu rachunków przez radę międzynarodową, nie mogą być znaczne przy naszym systemie. Gdy się zdarzą jednak, rada domaga się uregulowania ich co parę lat, albo też w razie rozmiarów zbyt wielkich, żąda natychmiastowego ich usunięcia; przestrzega się bowiem, aby żaden naród nie zadłużał się zbyt innym, gdyż mogłoby to szkodzić wzajemnym stosunkom przyjaznym. Chcąc jeszcze skuteczniej zapobiedz temu, rada pilnuje, iżby towary, będące przedmiotem wymiany międzynarodowej, odznaczały się wyborową jakością...

— Ale w jaki sposób wyrównywa się ostatecznie bilans, skoro nie macie pieniędzy?..

— Przy pomocy narodowych składów towarów. Uгода, co do tego, jakie towary i w jakiej proporeyi mają być przyjmowane w razie wyrównywania bilansów, jest właśnie wstępem do stosunków handlowych.

— Jeszcze o jedną sprawę muszę się pana zapytać, mianowicie o wychodźstwo. Wobec tego, iż każdy naród zorganizowany jest jako ścisła spółka przemysłowa, monopolizująca wszystkie środki wytwarzania, wychodźca, gdyby mu wolno nawet było wywędrować, musiałby umrzeć z głodu. Przypuszczam, że emigracyja nie istnieje już dzisiaj.

— Przeciwnie, odbywa się ciągle emigracyja, jeżeli, jak sądzę, przez ten wyraz rozumie pan wyjeżdżanie do krajów obcych na stały pobyt. Odbywa się to na podstawie prostej międzynarodowej ugody wzajemnego wynagradzania strat. Tak np. jeżeli mężczyzna lat 21, emigruje z Anglii do Ameryki, to Anglija traci wszy-

stkie koszta utrzymania jego i kształcenia, zaś Ameryka nabywa darmo pracownika, Ameryka więc winna jest tu Anglii pewne odszkodowanie. Ta sama zasada z rozmaitemi, odpowiednio do okoliczności, zmianami stosowaną jest wszędzie, Jeżeli emigrant blizkim już jest końca swego okresu pracowniczego, wówczas odszkodowanie pobiera kraj, który go przyjmuje. Natomiast obowiązki względem niezdolnych do pracy ciążyą jedynie na ich kraju rodzinnym; to też koszta wychodźstwa takich jednostek, naród musi już brać całkowicie na siebie. Wobec takiej reglamentacyi, prawo każdego człowieka do wyemigrowania w każdym czasie jest nieograniczone...

— A jeśli ktoś życzy odbyć podróż naukową lub dla własnej przyjemności?.. Jakim sposobem można podróżować w kraju, gdzie nie ma pieniędzy i gdzie ludność wytwarza dobra materialne bez prywatnego prawa rozporządzania niem? Wszak karty kredytowe nie mają wartości na obczyźnie. Jak zatem postępujecie w tym wypadku?..

— Amerykańska karta kredytowa... — odrzekł dr. Leete — ma w Europie tę samą wartość, jaką miało niegdyś złoto amerykańskie. Zamienioną zostaje na odpowiednie wartości kraju, po którym się podróżuje... Amerykanin, jadący do Berlina, okazuje swą kartę w amerykańskim urzędzie międzynarodowym i w zamian za całą jej wartość lub część dostaje kartę niemiecką, której wartość ciąży na Ameryce, jako dług względem Niemiec.

*

— Może par West chciałby obiadować dzisiaj pod słońcem?.. — zagadnęła Edyta, gdyśmy przy końcu śniadania byli.

— Tak nazywamy restauracyję naszej dzielnicy... —

objasnił mi jej ojciec. — Nietylko gotowanie odbywa się w kuchni publicznej. Usługa tameczna wraz z dobrocią jadła nie zostawia nic do życzenia i jest o wiele lepszą, niż w domu. Śniadania i kolacje jadamy u siebie, gdyż nie warto wychodzić. Lecz obiadujemy w większości wypadków poza domem. Od kiedy pan jesteś tu naszym gościem, przestaliśmy tam chodzić, czekając, dokóki nie oswoisz się z naszymi obyczajami. Może więc pójdziemy dziś na obiad pod Słonia?..

Odrzekłem, iż sprawi mi to wielką przyjemność.

Rychło potem Edyta przyszła do mnie uśmiechnięta i rzekła:

— Ostatniej nocy myślałam, cobym mogła zrobić, abyś pan był tu u nas, jak w domu, zanim przyzwyczaisz się nieco więcej do nas i do naszych obyczajów; przyszła mi też do głowy myśl jedna. Cobys pan powiedział na to, gdybym zaprowadziła pana do bardzo miłego towarzystwa pańskich czasów, z którem, jestem pewna, byłeś pan bardzo blisko znajomym.

Odpowiedziałem niejasno z pewnem wahaniem, iż byłoby to zapewne bardzo przyjemne dla mnie, lecz, że nie widzę, w jaki sposób mogłaby tego dokonać.

— Chodź pan więc ze mną... — odrzekła, śmiejąc się — i przekonaj się, czy nie mam racyi...

Przestałem się już dziwić dzięki ciągłym wstrząśnieniom, jakich doznawałem, pomimo to jednak z pewnym podziwem towarzyszyłem jej do nieznanego mi dotychczas pokoju. Była to miłuchna, a niewielka salka, zapełniona książkami.

— Oto pańscy przyjaciele... — rzekła Edyta, wskazując na półki.

Zrozumiałem jej myśl, kiedy, spojrzawszy na grzbiety książek, ujrzałem imiona: Szekspira, Milтона, Wordsworth'a, Shelley'a, Defoe'go, Dickens'a, Tackeray'a, Wi-

ktora Hugo, Hawthorne'a, Irving'a i mnóstwa innych wielkich pisarzy najrozmaitszych epok.

Edyta dobrze wywiązała się ze swojej obietnicy, dośłowne bowiem wypełnienie jej przyrzeczenia byłoby pewnem rozczarowaniem. Wprowadziła mię do grona dawnych przyjaciół, którzy tak samo zachowali swą żywotność, jak i ja, pomimo że całe stulecie dzieliło nas od ostatniego spotkania. Polot ich myśli był po dawnemu wzniosły, dowcip nie stracił na ostrości, ich śmiech i płacz działały tak samo zaraźliwie, jak wtedy, gdy swoim słowem skracali mi długie godziny ubiegłego stulecia. Nie byłem zatem samotny, lecz znalazłem towarzyszków, jakkolwiek byłaby głęboką przepaść pomiędzy mojem dawnem a obecnem życiem.

— Rad pan jesteś, żem cię tutaj przyprowadziła... — zawołała Edyta ucieszona, czytając na mojej twarzy skutki swego postępku. — Nie prawdaż, że była to myśl dobra. Czemuż ona mi wcześniej nie przyszła do głowy?.. Zostawiam pana z dawnymi przyjaciółmi, sądzę bowiem, że będzie to dla pana najprzyjemniejsze towarzystwo, lecz proszę przy dawnych nie zapominać o nowych.

Po tem żartobliwem ostrzeżeniu Edyta pozostawiła mnie samego.

Zwabiony przez najbardziej znajome mi z pomiędzy znajdujących się przedemną imion, wyciągnąłem rękę po jeden z tomów Dickensa i usiadłszy, zacząłem czytać. Był on największym moim ulubieńcem pośród wszystkich pisarzy wieku, rozumie się wieku XIX-go; w mojem życiu dawnem nie było prawie tygodnia, żebym nie brał do ręki któregoś z jego dzieł dla skrócenia wlekącej się powoli godziny. W okolicznościach obecnych, każdy z dawniej znajomych mi tomów musiałby wyrzeć wrażenie niezwykle; ale moje wyją-

kowe lubowanie się w Dickensie i wynikająca ztąd jego władza wywoływania w umyśle moim wspomnień z życia dawniejszego, nadawała tym pismom szczególniejszy urok, który mocą kontrastu potęgował we mnie poczucie dziwnego mego położenia obecnego. Jakkolwiek nowem i zadziwiającem byłoby czyjeś otoczenie, człowiek tak łatwo z nim się zrasta, że niemal od razu traci zdolność obiektywnej oceny tego położenia. Zdolność ową, przytłumioną już we mnie nieco, rozbudziły na nowo pisma Dickensa, przypominając mi dawniejsze moje życie. Ujrzałem przeszłość mą i terażniejszość, jak dwa stojące obok siebie, a sprzeczne obrazy ujrzałem z taką jasnością, jakiej przedtem osiągnąć nie byłem zdolny.

Geniusz wielkiego powieściopisarza XIX-go wieku, tak samo jak i geniusz Homera, mógłby, co prawda, uragać czasowi, ale osnowa jego wzruszających opowieści, niedola biednych, nadużycia przemocy, bezlitośne okrucieństwo społecznego ustroju, wszystko to przemięło tak bezpowrotnie, jak Cyrce i Syreny, jak Charbda i Cyklopy.

W ciągu godziny lub dwóch, które spędziłem nad otwartą książką Dickensa, przeczytałem nie więcej nad parę kartek. Każdy okres, każde zdanie, uwydatniały jakąś nową postać przeobrażenia świata, jakie się odtąd odbyło i prowadziły myśl moją na dalekie i rozbiegające się szlaki. Rozmyślając tak w bibliotece doktora Leete, stopniowo wyrabiałem sobie coraz jaśniejsze i bardziej spójne pojęcie o cudownem widowisku, które, dzięki tak niezwykłemu przypadkowi, mogłem oglądać; pełny byłem głębokiego podziwu wobec tego kaprysu losów, które jednemu, tak mało zasłużonemu człowiekowi z pomiędzy wszystkich jego współczesników dały możność stanąć w krainie doby dzisiejszej. Anim przewi-

dywał tego nowego świata, anim pracował dla niego, jak to czyniło wielu dokoła mnie, którzy nie zważali ani na złość głupich, ani na błędne zrozumienie dobrych. Niewątpliwie byłoby rzeczą daleko słuszniejszą, gdyby któryś z owych proroków i bojowników mógł być oglądać teraz swą pracę i cieszyć się nią; tysiące razy godniejszym tego odemnie byłby np. ten, co przeczuwając świat nowy, który dziś roztaczał się przedemną, opiewał go słowami, jakie w ciągu tych dni przedziwnych ustawicznie przychodziły mi na pamięć:

Sięgam w przyszłość, jak tylko oko sięgnąć może,
Ujrzałem obraz światów przyszłych pelen dziwów.
Nie słychać już bojowych trąb, zwinięto już sztandary
Na sejmie ludzkości całej, we wszechświatowej spójni.
Świat uspokojony drzemie w objęciach powszechnego
[prawa...

Wierzę, że w wieków toku cel życia coraz wznioślej-
[szym się staje

I myśl człowiecza podnosi się słonecznym szlakiem.

Jakkolwiek w starości ów prorok utracił chwilowo wiarę w swą przepowiednię, jak to powszechnie czynili prorocy w godzinach upadku i zwątpienia, to jednak słowa te pozostały, jako wiekuiste świadectwo widzenia starca-poety, jako świadectwo daleko sięgającego jasnowidzenia wiary.

Byłem jeszcze w bibliotece, gdy po paru godzinach przyszedł tam po mnie dr. Leete.

— Edyta powiedziała mi o swoim pomysle; sędzę, że jest wyborny. Jestem już trochę zaciekawiony pytaniem, do jakiego pisarza zwróciłeś się pan najpierwej? A, Dickens! Podziwialiście go więc wówczas, zgodziliśmy się w tem z wami. Naszem zdaniem przewyższa

on wszystkich pisarzy swojego czasu nie tylko siłą talentu, lecz przede wszystkim gorącym współczuciem dla nędzy i niedoli. Uczynił sprawę wyrzutków społecznych swoją własną i poświęcił pióro przedstawieniu ich cierpień. Nikt chyba w takim stopniu nie zwrócił uwagi ludzkiej na niesprawiedliwość i ułomność dawnego porządku rzeczy, ani też z podobną siłą wskazał konieczność zmiany, którą czuł tylko, nie umiając jej sobie jasno wyobrazić.

Rozdział XIV-ty.

W ciągu dnia padał deszcz ulewny i ulice musiały być pełne błota. Pomimo, że jadalnia publiczna znajdowała się w pobliżu, sądziłem jednak, że moi gospodarze zaniechali zamiaru udania się do niej. Byłem więc mocno zdziwiony, kiedy w porze obiadowej panie zjawily się gotowe do wyjścia, lecz bez kaloszy i parasolów.

Zagadka została wyjaśnioną, kiedy znaleźliśmy się na ulicy. Chodniki były nakryte długim i nieprzemakalnym dachem ochronnym, zamienione na pewnego rodzaju korytarz, wzdłuż którego mężczyźni i kobiety tłumnie spieszyli na obiad. Na rogach ponad ulicami były rzucone lekkie mostki, również osłonięte od deszczu. Szedłem obok Edyty, którą niezmiernie bawiło moje opowiadanie, że za moich czasów w Bostonie w chwilach słoty ten tylko mógł przechodzić przez ulice, kto miał parasol, buty i ciepłe ubranie.

- Więc nie używano zgoła dachów nad chodnikami?
- Owszem, były one w użyciu, ale za ledwie tu i

owdziej, bardzo niesystematycznie, gdyż były przedsiębiorstwem prywatnem.

Odrzekła mi na to, iż obecnie wszystkie ulice były zaopatrzone od niepogody w taki sam sposób i że przyrząd ten usuwano, gdy stawał się niepotrzebnym. Znajdowała ona, iż uważano by za wielkie niedołęztwo pozwalać niepogodzie, aby wpływała na swobodę stosunków towarzyskich.

Doktór Leete, który szedł przed nami, posłyszawszy coś z naszej rozmowy, zwrócił się ku nam, mówiąc, iż różnicę pomiędzy indywidualizmem a łącznością cechuje dobrze ten fakt, że w wieku XIX-tym, kiedy deszcz padał, mieszkańcy Bostonu rozpościerali 300.000 deszczochronów nad tyłomaż głowami, w XX-tym zaś wieku nad wszystkimi głowami roztaczają oni jeden deszczochron.

Kiedyśmy szli jeszcze, Edyta rzekła :

— Deszczochron prywatny jest ulubionym ojca przykładem, zapomocą którego ilustruje on dawny porządek rzeczy, kiedy każdy żył dla siebie i dla swojej rodziny. W galerji obrazów znajduje się pewne malowidło z wieku XIX-go, przedstawiające tłum ludzi w czasie deszczu; każdy trzyma tam parasol nad sobą i nad swoją żoną, strząsając wodę na sąsiadów; ojciec sądzi, iż musiała to być satyra malarza na stosunki ówczesne.

Z tłumem weszliśmy do olbrzymiego gmachu. Z powodu dachu ochronnego nie mogłem przyjrzeć się frontowi, ale jeżeli odpowiada on wewnątrz, które przewyższa o wiele wczoraj odwiedzony przeze mnie skład towarowy, to powinien wyglądać wspaniale. Towarzyszka moja powiedziała mi, iż rzeźbiona grupa nad wejściem budziła szczególny podziw.

Udaliśmy się po schodach na górę i znaleźliśmy się w długim korytarzu, na który wychodziło mnóstwo

drzwi. Nad jednemi widniało nazwisko mego gospodarza. Tutaj weszliśmy. Był to elegancki pokój stołowy ze stolikiem na cztery nakrycia. Okna otwierały się na podwórze; wodotrysk wysoko wyrzucał wodę; słychać było dźwięki wesolej muzyki.

— Zdaje się, iż jesteście tu państwo, jakby u siebie...
— rzekłem, kiedyśmy usiedli do stołu i kiedy doktor Lecte dotknął się guzika do zawiadamiania służby.

— W istocie jest to część naszego mieszkania, trochę tylko oddalona od reszty. Każda rodzina naszej dzielnicy, za opłatą małej renty rocznej, ma pozostawiony na wyłączny i stały swój użytek jeden pokój w tym wielkim gmachu. Dla gości przyjezdnych i pojedynczych osób znajduje się odpowiedni lokal na innem piętrze. Kiedy chcemy obiadować tutaj, czynimy zamówienie wieczorem, wybierając potrawy według spisu, codziennie pomieszczonego w gazetach. Obiad może być prosty lub bardziej wyszukany, stosownie do życzeń, lecz w każdym razie kosztuje taniej i jest lepszy, niż gdybyśmy go sami przygotowywali w domu. My bardzo żywo interesujemy się dzisiaj przyrządzaniem żywności, sądzę też, że możemy być nieco dumni z powodzenia naszego na tem polu... Ach, drogi panie West, chociaż pod innymi względami cywilizacja wasza była więcej tragiczną, to jednak nie wyobrażam sobie nic bardziej przygnębiającego, jak owe nędzne obiady, jakie spożywać u was musieli ludzie niebogaci.

-- Pod tym względem nie znalazłbyś pan wśród nas oponentów.

W tej chwili ukazał się w pokoju lokaj, młodzieniec przystojny, przybrany w uniform, zlekka go odróżniająca. Przypatrywałem mu się pilnie, gdyż po raz to pierwszy mogłem szczegółowo badać zachowanie się człowieka, służącego w szeregach armii przemysłowej.

Na podstawie tego, com słyszał, wiedziałem już, że młodzieniec ten musiał być wysoko wykształcony, oraz że tak pod względem towarzyskim, jak i pod innymi, był równy tym, których obsługiwał. Widocznem było jednak, że wzajemny stosunek w najmniejszym stopniu nie krępował obu stron.

Dr. Leete zwrócił się do młodzieńca, mówiąc, jak przystało na dżentelmena, głosem wolnym od wszelkiej wyniosłości, ale zarazem też bez najmniejszego unizenia, gdy tymczasem zachowanie się młodzieńca zdradzało w nim jednostkę, starającą się poprawnie powierzone sobie zadanie wykonać, również bez poufałości i bez służalstwa. Było to jakby zachowanie się żołnierza, pełniącego swe obowiązki, tylko bez żołnierskiej sztywności.

Kiedy młodzieniec opuścił pokój, rzekłem:

— Nie mogę pokonać zdziwienia, widząc, jak podobny młodzian tak chętnie wykonywa swe obowiązki lokajskie...

— Co to znaczy lokajskie, nie słyszałam nigdy tego wyrazu?.. — rzekła Edyta.

— Jest to wyraz dziś już przestarzały... — zauważył jej ojciec. — Jeśli się nie mylę, stosowano go do osób, które wykonywały za innych czynności szczególnie nieprzyjemne i niemile; wyraz ten zawierał w sobie pewien odcień pogardy, czyż nie tak, panie West?..

— Tak, mniej więcej. Służba osobista, jak np. usługiwanie do stołu, uważana właśnie była za czynność lokajską i w takiej znajdowała się pogardzie za dni moich, iż osoby z wyższem wykształceniem i wychowaniem były raczej przeniosły trud wszelki, zanimby się poniżyły aż do niej.

— Dziwne, cudackie pojęcia... — zawołała zdziwiona pani Leete.

— A jednak służbę tę musiał ktoś spełniać... — rzekła Edyta.

— Naturalnie... — odrzekłem — ale myśmy wkładali ten obowiązek na biednych i na takich; którym pozostawała do wyboru tylko śmierć głodowa...

— I brzemię, włożone na nich, powiększaliście jeszcze waszą pogardą... — znuważył doktor Leete.

— Sądzę... — odezwała się Edyta — że nie rozumiem dobrze, czy znaczy to, żeście pozwalali ludziom robić dla siebie takie rzeczy, za wykonywanie których pogardzaliście nimi, czy też, żeście przyjmowali od nich usługi, którychbyście im oddać nie chcieli. Wszak chyba nie tak było, panie West?

Zmuszony byłem odpowiedzieć Edycie, że było tak właśnie, ale doktor Leete przyszedł mi z pomocą.

— Ażeby pojąć zdziwienie Edyty, potrzeba, żebyś pan poznał pierwsze i najgłówniejsze przykazanie naszej moralności. Żądać od kogoś jakiejś usługi i nie chcieć mu odwzajemnić się podobną, takie postępowanie uważalibyśmy za zaciąganie pożyczki bez zamiaru zwrotu. Zmuszanie kogoś do takiej usługi dzięki temu, że ten ktoś znalazł się w położeniu rozpaczliwym, utożsamilibyśmy z jawnym rozbojem. Stopień wrażliwości względem ogółu społecznego jest najgorszym następstwem podziału klasowego i kastowego. Nierówne rozmieszczenie bogactwa, oświaty i wyks tańczenia rozdrobniło waszą społeczność na klasy, które poniekąd spoglądały wzajem na siebie jako na odmienne rasy. Ostatecznie, różnica naszych i waszych poglądów na tę sprawę nie jest tak wielką, jakby się to mogło wydawać. Panie i panowie waszych klas oświeceńszych nie pozwoliłyby, tak samo, jak i my, osobom ze swego towarzystwa świadczyć sobie przysług, którychby oddać wzajemnie nie pozwalała im duma. Ale na biednych i

niewykształconych spoglądali oni, jak na rodzaj jakis odmienny. Równość bogactw i jednaka możność kształcenia się, z jakiej korzystają dziś wszyscy, uczyniła nas po prostu członkami jednej klasy, odpowiadającej waszej klasie najszcześniejszej. Gdyby nie urzeczywistniła się owa równość położenia, wówczas idea solidarności ludzkiej i wszechludzkiego braterstwa nie byłaby się nigdy stała naszym przekonaniem istotnem i praktyczną zasadą działania, jak to ma miejsce dzisiaj. Za dni waszych posługiwano się tymi samymi frazesami, co i teraz, ale były to tylko frazesy.

— Czy i lokaje rekrutują się z ochotników?

— Nie... — odpowiedział dr. Leete. — Są to młodzieńcy, znajdujący się we wstępnym oddziale armii przemysłowej, a przeznaczani do rozmaitych zajęć, które nie wymagają uzdolnienia szczególnego. Usługiwanie do stołu należy właśnie do takich i każdy też z młodych rekrutów musi go spróbować. Przed laty czterdziestu ja sam przez kilka miesięcy służyłem jako lokaj w tej samej restauracji. Nie wolno bowiem zapominać, że jednako poważamy wszystkie potrzebne narodowi usługi. Jednostka bynajmniej nie uważa siebie za sługę tej osoby, której polecenia szeptnia, ale za znajdującą się w służbie ogółu. Zajęcia kelnera są podobnie szanowane, jak każdego innego robotnika; że on oddaje usługi pojedynczym osobom, okoliczność ta nie ma najmniejszego wpływu. Lekarz przecież znajduje się w tem samym położeniu. Kelner mógłby z taką samą słusnością pogardzać mną, swoim lekarzem, jak ja kelnerem.

Po obiedzie współtowarzysze oprowadzali mnie po gmachu, którego obszar, wspaniała budowa i bogactwo upiększeń wprowadzały mnie w podziw. Nie była to tylko restauracja, ale jakiś wielki dom zabaw i ze-

brań towarzyskich całej dzielnicy; nie brakło też tutaj niczego, coby służyć mogło do rozrywki i zabawy.

— Znajdujesz pan tutaj urzeczywistnienie tego... — rzekł dr Leete, kiedym mu wyraził swój podziw — co mówiłem panu podczas pierwszej naszej rozmowy, gdyż spoglądał na miasto, o świetności naszego publicznego i wspólnego życia w zestawieniu z prostotą życia prywatnego i domowego, oraz o przeciwieństwie, jakie pod tym względem odróżnia wiek XX od XIX. Aby ulżyć sobie nieużytecznego kłopotu, zatrzymujemy u siebie w domu tyle tylko rozmaitych rzeczy, ile tego wymaga wygoda, ale natomiast społeczna strona naszego życia jest tak ozdobna i zbytkowna, jak tego sobie nigdy świat nie wyobrażał dawniej. Wszystkie zawody przemysłowe i profesjonalne mają własne swe kluby, równie jak ten rozległe, oraz własne wile górskie i nadmorskie siedziby do zabawy i odpoczynku w czasie wakacyjnym.

Rozdział XV-sty.

Kiedyśmy, oglądając gmach, weszli do biblioteki, zapragnęliśmy spocząć na zbytkownych skórzanych krzesłach, jakimi była umeblowana; usiedliśmy w jej dnym z pokoiów, zastawionych książkami, aby chwilę odpocząć i pogadać. Nie mogę dość nachwalić się swobody, jaka panuje w czytelniach wieku dwudziestego, gdy się ją porówna z nieznośnym porządkiem bibliotek dziewiętnastego stulecia, w których książki zazdrośnie odgradzano od ludzi i w których otrzymywać je było można jedynie kosztem znacznej straty czasu i kontroli,

mogącej odebrać człowiekowi zupełnie chęć do czytania.

— Edyta mówiła mi, żeś pan cały ranek spędził w bibliotece... — odezwała się pani Leete. — Wie pan, panie West, zdaje mi się, iż jesteś pan ozłowiekiem najgodniejszym zazdrości...

— Czy mógłbym wiedzieć dlaczego?.. — spytałem.

— Gdyż książki ostatnich lat stu będą dla pana rowością, będziesz pan miał do czytania tak wiele rzeczy zajmujących, iż w ciągu jakich lat pięciu prawie nie znajdziesz czasu na jedzenie. O, cóżbym dała za to, gdybym jeszcze np. nie przeczytała powieści Berriana!

— Albo Nesmith'a... — dorzuciła Edyta.

— Albo poezyj Oate'a „Przeszłość i terażniejszość“, „Na początku“...

— Gotowam wyliczyć z jaki tuzin utworów, z których każdy wart jest roku życia... — zachwyciła się pani Leete.

— Sądzę więc, że musiała w tem stuleciu powstać jakaś wspaniała literatura.

— Tak... — odpowiedział dr. Leete. — Są to czasy nieznanego w dziejach rozkwitu umysłowego. Społeczeństwo ludzkie nigdy prawdopodobnie nie dokonało takich postępów moralnych i materyjalnych w tak krótkim czasie, jak to uczyniło po przejściu ze starego ustroju do nowego. Ludzie zrozumieli rozmiary szczęścia, które spadło na nich i pojęli, że dokonany przewrót nie tylko sprowadza polepszenie bytu pojedynczej jednostki, lecz podnosi samą ludzkość na wyższy stopień kultury bez granic dla dalszego postępu, wówczas wszystkie zdolności ducha znalazły bodziec, o jakim pojęcie słabe zresztą, może nam dać rozkwit średnio-wiecznej epoki odrodzenia. Nastąpiła wówczas era wynalazków mechanicznych, odkryć naukowych, sztuki,

twórczości muzycznej i literackiej, z jaką żadne ze stuleci dawniejszych nie daje się porównać,

— Ale, ale... — zawołałem — mówiąc o piśmiennictwie; chciałbym też wiedzieć, w jaki sposób wydaje się dzisiaj książki, czy robi to również naród?..

— Niewątpliwie...

— Ale jakże stę z tem urządzacie?.. Czy rząd publikuje wszystko, cokolwiek mu się przedstawi i to kosztem publicznym, czy też zachowuje prawo pewnej cenzury i drukuje to tylko, co uzna za dobre...

— Ani jedno, ani drugie. Wydział drukarniany nie ma żadnej cenzury. Obowiązany on jest drukować wszystko, co mu się przedstawi, ale czyni to jedynie z tym warunkiem, że autor poniesie pierwsze koszta publikacyi ze swego kredytu: musi on płacić za posłuchanie u publiczności; jeżeli zaś ma do powiedzenia coś takiego, czego słuchać warto, podda się warunkom owym chętnie. Rzecz naturalna, że gdyby dochody były nierówne, jak za czasów dawnych, to porządek taki pozwalałby tylko ludziom bogatym być autorami; ponieważ jednak dochody wszystkich obywateli są dzisiaj równe, więc bywa on tylko miarą większej lub mniejszej siły pobudek autora. Koszt wydania przeciętnej książki można pokryć z kredytu rocznego, przy pomocy niejakiej oszczędności i pewnych ofiar. Po wydrukowaniu książki wystawia naród na sprzedaż.

— Przypuszczam, że autor otrzymuje chyba zyski ze sprzedaży, tak jak i u nas.

— Z pewnością nie tak, jak u was, niemniej jednak otrzymuje. Cena każdej książki oblicza się na podstawie kosztów jej druku, oraz uwzględniają honoraryjum autorskie. Suma owego honoraryjum zaliczoną bywa na kredyt autora, jakoż wolnym on jest od wszelkich innych usług względem narodu przez cały czas, dopóki

zyski z jego pracy starczą mu na utrzymanie. W ten sposób, jeżeli książka jego cieszy się powodzeniem, otrzymuje on kilkomiesięczny, roczny, dwu lub trzyletni urlop, kiedy zaś w tym okresie stworzy inne jakieś dzieło poczytne, urlop ten ulega przedłużeniu odpowiednio do wysokości honorarium. Wzięty autor może piórem zarabiać przez całą służbę swoją. W ten sposób opinia publiczna sądzi o uzdolnieniu literackim pisarza i w odpowiednim stopniu umożliwia mu poświęcenie się dalszej pracy. Pod tym względem odbiegamy niezbyt daleko od waszych zwyczajów. Są jednak ważne różnice. Po pierwsze, ogólny poziom wykształcenia daje dzisiaj ogółowi głos rozstrzygający we względzie wartości utworów — rzecz niemożliwa za waszych czasów. Następnie, nie mamy żadnych zawad, stojących na drodze wybić się prawdziwej zasługi. Każdy autor ma jednakową możność oddania utworu pod sąd ogółu. O ile można wnosić ze skarg pisarzy waszych czasów, owa bezwzględna równość warunków współzawodnictwa stanowiła przedmiot bardzo żywych pożądań.

— W uznawaniu zasługi na innych polach twórczości, w rzeczach muzyki, sztuki, wynalazków, przestrzegacie zapewne zasady podobnej?..

— Tak, chociaż w uwzględnieniu różnic w szczególach. W sztuce np. tak samo, jak i w piśmiennictwie, naród jest jedynym sędzią. Głosuje on za przyjęciem posągów lub malowideł do gmachów publicznych, a przychylny jego wyrok pociąga za sobą zwolnienie artysty od innych zadań i prawo oddania się jego powołaniu. Na wszystkich tych drogach twórczości przestrzegamy zasady jednakiej, zasady dostarczania wolnego pola wszystkim współubiegającym się oraz uwalniania od wszelkich więzów każdego wyjątkowego talentu i pozostawienia mu wolnego czasu, gdy tylko

zostanie uznanym. Zwolnienia od innych usług w takich wypadkach nie uważa się za upominek albo nagrodę, ale za środek otrzymania dla społeczeństwa usług donioslejszych. Rzecz naturalna, że istnieją rozmaite instytucje literackie, artystyczne i naukowe, należenie do których daje sławę i wielce jest cenionem. Najwyższym ze wszystkich zaszczytów w narodzie, wyższym od prezydentury, wymagającej tylko zdrowego rozumu i oddania się obowiązkom, jest czerwona wstęga, dawana przez głosowanie powszechne, wielkim pisarzom, artystom, inżynierom, lekarzom oraz wynalazcom. Nie więcej, jak setka ludzi nosi taką wstęgę równocześnie, jakkolwiek każdy zdolny młodzieniec w kraju, spędza wiele nocy bezsennych, marząc o niej. Ja sam nawet przez to przechodziłem.

— Jak gdybyśmy właśnie, mama albo ja, miały przez to więcej myśleć o tacie... — zawołała Edyta — chociaż naturalnie bardzo to piękne jest ją posiadać...

— Ty, moje dziecko, nie masz innego wyboru, jak tylko brać ojca takim, jakimeś go znalazła i radzić już z nim sobie, jak można najlepiej, ale co do matki twojej, to nigdy mnie nie byłaby wzięła, gdybym nie zapewnił jej, że obowiązuję się zdobyć wstęgę.

Pani Leete uśmiechnęła się tylko z tego żartu męża. Jakże się ma rzecz z gazetami i czasopismami... — rzekłem. — Nie przeczę, że wasz system wydawniczy jest wyższy zarówno co do udzielania zachęty istotnym talentom, jak i zniechęcenia pospolitego pismactwa. Lecz nie pojmuję, jakim sposobem można zastosować tę samą zasadę do prasy. Każdy może zwrócić swoje koszta na wydanie książki, ponieważ raz to się zdarza, lecz któż zdoła ponieść wydatki codziennej gazety?.. Na to wystarczyć mogłyby jedynie głębokie kieszenie

dawnych kapitalistów, a i te często wyczerpywały się zanim przedsiębiorstwo zaczęło się opłacać. Jeżeli zgoła posiadacie gazety, to jak wyobrażam sobie, musi je wydawać rząd kosztem ogółu, pod kierunkiem rządowych redaktorów, będących wyrazem jego opinii. Otóż, jeżeli system wasz jest tak doskonały, że nigdy nie potrzeba krytykować nic w prowadzeniu spraw publicznych, porządek taki może odpowiadać celowi. W przeciwnym razie brak niezależnego organu dla wypowiedzenia opinii publicznej pociągałby za sobą nader zgubne następstwa. Przyznasz doktorze, że niezależna prasa stanowiła piękną stronę dawnego systemu, kiedy kapitał znajdował się w ręku prywatnem, że strata tego zmniejsza wygraną na innych polach.

— Muszę pozbawić cię i tego ostatniego złudzenia... — począł z uśmiechem dr. Lectc. — Najprzód, panie West, prasa nie jest bynajmniej jedynym, albo, jak to pan zdaje się sądzić, najlepszym środkiem poważnego krytykowania spraw publicznych. Co do nas, to sądy waszych gazet pod tym względem wydają się nam popolicie niedojrzałe i płóche, jak również głęboko zaprawne uprzedzeniem i goryczą. O ile można je brać za wyraz powszechnej opinii, dają one bardzo niekorzystne wyobrażenie o rozumie publiczności, gdy znowu, o ile mogły one wpływać na tworzenie się owej opinii, nie było czego wieszować narodowi. Dzisiaj, gdy obywatel pragnie zrobić na publiczności poważne wrażenie w zakresie spraw publicznych, występuje on z książką lub broszurą, wydawaną tak samo, jak i inne dzieła. Ale dzieje się to nie dlatego, iżby nam brakowało gazet i czasopism lub też, aby nie cieszyły się one wolnością jak najzupełniejszą. Prasa zorganizowana jest u nas tak, iż stała się lepszą wyrazicielką opinii publicznej, niżli to było za dni waszych, kiedy kapitał pry-

watny kontrolował ją i prowadził przedewszystkiem jako interes zyskowy, a tylko dodatkowo, jako organ opinii narodu.

— Ale... — wtrąciłem — jeżeli rząd drukuje gazety kosztem ogółu, to w jaki sposób ogół może kontrolować ich kierunek?.. Któż, jak nie rząd, wyznacza redaktorów?..

— Rząd bynajmniej nie ponosi kosztów wydawania gazet, nie mianuje ich redaktorów, ani też w stopniu najłżejszym nie wpływa na ich kierunek... — odpowiedział doktor Leete. — Ludzie, otrzymujący gazetę, ponoszą koszt jej wydawania, wybierają redaktora i usuwają go, gdy ich nie zadawalnia. Nie powiesz pan chyba, jak sądzę, że taka prasa nie jest wolnym organem opinii publicznej.

— Zapewne, że nie... — odrzekłem — ale w jakiż sposób daje się to wykonać?..

— Nic nad to prostszego. Przypuśćmy, iż ktoś z moich sąsiadów, albo ja sam, zamierzamy wydawać gazetę, wyrażającą nasze przekonania a poświęconą szczególnie naszej miejscowości, zajęciu albo powołaniu; udajemy się więc do ludzi i zbieramy podpisy, póki nie zostaną pokryte mniejsze lub większe wydatki roczne, stosownie do liczby uczestników. Suma, na którą każdy się podpisał, zostaje wytrąconą z kredytu rocznego. Naród zatem nie nie traci na wydawaniu gazety, coby zdarzyć się musiało, gdyby jakiś urząd był wydawcą. Prenumeratory gazety wybierają wówczas redaktora, gdy zaś ten zgodzi się na wybór, zwolniony zostaje na czas odpowiedni od służby ogólnej. Prowadzi on gazetę tak samo, jak to robił redaktor za waszych czasów, z tą tylko różnicą, iż nie jest on zależnym od stanu finansowego pisma i nie jest zmuszonym bronić interesów kapitału prywatnego ze szkodą prywatnego dobra. Pod

koniec pierwszego roku prenumeratory wybierają ponownie albo dawniejszego redaktora, albo też znajdują sobie innego. Zdolny redaktor zajmuje naturalnie swe stanowisko przez czas nieograniczony. W miarę rozszerzania się listy odbiorców, rosną zasoby gazety i doskonali się ona, zapewniając sobie coraz lepszych współpracowników, zupełnie tak, jak to czyniły dzienniki wasze.

— W jaki sposób wynagradza się współpracowników, skoro nie można płacić im pieniędzmi?..

— Redaktor umawia się z nimi. Odpowiednia część zbiorowego kredytu spółników przekazaną zostaje na rachunek ich osobisty. Współpracownicy otrzymują wtedy zwolnienie od służby publicznej w granicach umówionego honorarium. Taki sam system stosuje się i do czasopism. Ludzie, pragnący wydawać nowe jakieś czasopismo, zdobywają środki na jego jednoroczne utrzymanie, wybierają redaktora, który wynagradza współpracowników tak samo, jak i w gazetach, biuro zaś drukarskie dostarcza potrzebne materyjały i ręce robocze, niezbędne do wydawania pisma. Kiedy usługi redaktora przestają się podobać, a nie może on za pomocą innej pracy literackiej zdobyć zwolnienia od pracy, wówczas powraca na dawniejsze swe stanowisko w armii przemysłowej. Muszę dodać, że jakkolwiek zazwyczaj redaktor obieranym bywa pod koniec roku i pospolicie pozostaje na swem stanowisku przez lata całe, to jednak na wypadek nagłej zmiany kierunku pisma, jakaby on mógł spowodować, prenumeratory zastrzegają sobie prawo usunięcia go w każdym czasie.

Kiedy panie już odchodziły owego wieczora, Edyta przyniosła mi książkę i rzekła :

— Jeżeli pan nie będziesz mógł zasnąć tej nocy, panie West, to może zechcesz przejrzeć tę oto powia-

stkę Berriana, którą uważamy za najlepszy jego utwór; da ona panu przynajmniej wyobrażenie, czem są dzisiejsze powieści.

Spędziłem noc całą aż do świtu, czytając „Penthesileę”; wypuściłem ją z rąk dopiero po przeczytaniu ostatniej stronicy. A jednak niech żaden z wielbicieli wielkiego pisarza XX-go wieku nie gorszy się, gdy powiem, że przy pierwszym czytaniu nie tyle na mnie zrobiła wrażenie sama treść książki, co myśli, które mi się przy jej czytaniu nasuwały. Powieściopisarze moich czasów uważaliby za rzecz łatwiejszą ukreślenie bicza z piasku, niż napisanie powieści, z której wykluczonoby wszystkie następstwa kontrastu pomiędzy nędzą a bogactwem, wykształceniem i nieuctwem, dzikimi i łagodnymi obyczajami, wzniosłością i niższością, po usunięciu wszelkich motywów, wpływających z pychy i ambicyi, z żądy wielkich bogactw albo obawy ubóstwa oraz wszelkiego rodzaju poziomych trosk o jutro dla siebie lub dla innych; niż napisanie romansu, w którym, co prawda, byłaby obecna miłość, ale miłość rozpętana ze sztucznych kajdan, wytwarzanych przez różnice położenia lub majątku i niesłuchająca żadnych praw innych, jak tylko praw serca. Przekrycie „Penthesilei” miało dla mnie większą wartość w sprawie wytworzenia sobie ogólnego pojęcia o społeczeństwie wieku XX-go, niż jakiegokolwiek objaśnienia i tłumaczenia. Doktor Leete, co prawda, przyczynił się wielce do zapoznania mnie z faktami, ale wskazówki jego były dla mego umysłu szeregiem wrażeń odosobnionych, których nie mogłem jeszcze dobrze zespolić. Berrian zgromadził mi je wszystkie w jednym obrazie.

Rozdział XVI-ty.

Następnego poranku wstałem przed samym śniadaniem. Gdy schodził na dół do sieni, wybiegła Edyta z pokoju, w którym się odbyła opisana powyżej scena naszego wczorajszego widzenia się.

— A... — zawołała z wyrazem zachwycającej fluterii — myślałeś pan, że się wymkniesz niepostrzeżony znowu na ranną włóczęgę, która tak szkaradnie na pana wpływa. Ale widzisz pan, że tym razem jestem już na nogach, zawczasie może jak dla pana; jesteś pan, co się zowie, złapanym.

— Budzisz pani w skuteczność własnego środka leczniczego nieufność, jeżeli sądzisz, że taka przechadzka i teraz może mieć jeszcze złe następstwa.

— Cieszy mnie bardzo, gdy to słyszę. Właśnie byłem zajęta porządkowaniem kwiatów na stole, kiedy posłyszałam jakś pan schodził i w twojem stapaniu po schodach dostrzegłam coś podejrzanego.

— Jest pani dla mnie niesprawiedliwą. Anim myślał wychodzić z domu.

Pomimo jej wysiłku przekonania mnie o przypadkowości naszego spotkania, powziąłem podejrzenie, które się później sprawdziło, że ta pociągająca istota, wywiązując się z dobrowolnie przyjętych na siebie obowiązków czuwania nademną, w ostatnich dwóch czy trzech dniach niesłychanie wcześnie wstawiała, żeby mi przeszkadzać w moich rannych spacerach. Ponieważ pozwoliła mi dopomagać sobie w ułożeniu bukietu śniadaniowego, poszedłem za nią do pokoju, z którego co tylko wybiegła.

— Czyś pan pewny, żeś się już zupełnie uwolnił od okropnych wzruszeń, jakie trapiły pana owego poranku ?..

— Nie mogę powiedzieć, żebym był wolny od szczególnego nastroju... — odrzekłem. — Bywają chwile, gdy tożsamość mojej osoby z dawniejszą jest dla mnie zagadką. Wymagać, iżbym nie miał czasem takich uczuć, byłoby to zbyt wiele żądać od mego dzisiejszego doświadczenia, ale co do tego, żebym miał całkowicie utracić równowagę, jak mi to groziło owego rana, to sądzę, że niebezpieczeństwo takie przeminęło.

— Nigdy nie zapomnę, jakieś pan wtedy wyglądał..

— Gdybyś mi pani ocaliła tylko życie, byłbym może znalazł słowa do wyrażenia mej wdzięczności, ale ocaliłaś mi rozum i nie znajduję słów na wyrażenie mojej wdzięczności dla pani.

Mówiłem wzruszony i oczy jej zwilżyły się nagle.

— Zbyt pochlebne dla mnie wierzyć temu wszystkiemu, z rozkoszą jednak słucham pana tak mówiącego. Drobnostką jest to, com uczyniła, byłam niespokojną o pana. Ojciec sądzi, że nie powinno nas dziwić nic takiego, czego przyczynę możemy wyjaśnić naukowo, jak to np., o ile sądzę, stosować się może do pańskiego długiego snu; pomimo to jednak, gdy siebie tylko wyobrażę na miejscu pana, w głowie mi się mąci. Wiem jedno, że nie zniosłabym tego zupełnie.

— Zależałoby to od tego, czy jaki anioł przyszedłby na pomoc pani ze swoim współczuciem w chwili krytycznej, tak jak się to mnie przytrafiło.

Jeżeli twarz moja wyrażała wogóle uczucia, jakie miałem prawo żywić dla tej miłej i rozkosznej dziewczyny, co odegrała względem mnie tak anielską rolę, to wyraz jej twarzy był wtedy zachwycający. Czy to postawa moja, czy słowa, czy też jedno i drugie zniewoliły ją znowu do spuszczenia oczu z cudownym rumieńcem.

— Co do tego, to jeżeli doświadczenie pani nie było

tak wstrząsające, jak moje, w każdym razie musiało być coś niezwykłego, gdy się widziało powstawanie z martwych człowieka, należącego do innego wieku i pozornie umarłego już od lat stu.

— Z początku wydawało się to istotnie dziwnem nad wszelki wyraz, ale kiedyśmy zaczęli później stawiać siebie na pańskim miejscu i wyobrażać sobie, o ile dziwniejszem musiało wydawać się panu jego położenie, zapomnieliśmy prawie o naszych własnych uczuciach; tak było przynajmniej ze mną. Wtedy rzecz ta wydawała się już nie zdumiewającą, ale zajmującą i wzruszającą raczej...

— Ale czy nie było dla pani rzeczą bardzo dziwną siedzieć naprzykład ze mną u stołu, kiedyś wiedziała, kim jestem?..

— Powinien pan pamiętać, że nie musisz nam wydawać się tak dziwnym, jak my panu. My należymy do przyszłości, o której nie mogłeś pan wytworzyć sobie żadnego pojęcia, do pokolenia, o którym nie wiedziałeś nic, dopókiś nas nie zobaczył. Tymczasem pan należy do pokolenia, do którego należeli nasi praojcowie; myśmy wiedzieli o nich wszystko; imiona wielu z pomiędzy nich powtarzamy dziś jeszcze prawie codziennie. Myśmy uczyli się o waszych sposobach życia i myślenia; z tego, co pan mówi lub robi, nic nas nie zadziwia, tymczasem my nie mówimy i nie robimy nic takiego, coby się nie wydawało dziwnem panu. Tak więc, widzi pan, panie West, jeżeli pan czuje, że się z czasem do nas przyzwyczai, to nie powinieneś się pan zdumiewać, że już od samego początku myśmy prawie nie znajdowali w panu nic dziwnego.

— Nie pomyślałem o tem w taki sposób, istotnie ma pani wielką słuszność. Łatwiej jest spojrzeć wstecz o lat tysiąc, aniżeli w przyszłość o lat pięćdziesiąt..

Stulecie nie jest znowu perspektywę tak odległą, mogłem znać pani pradziadków, mozem znał nawet... Czy mieszkali w Bostonie?..

— Tak sędzę...

— Więc pani nie jest tego pewną?..

— Owszem, teraz myślę, że istotnie mieszkali...

— Miałem bardzo wielkie koło znajomych w mieście, nie jest więc nieprawdopodobnem, że mogłem znać kogo lub też słyszeć coś o nich. Może nawet znałem ich bardzo dobrze... Nie byłoby to zajmującym, gdybym mógł opowiedzieć ci, pani, o twoich praojcach?..

— Bardzo nawet...

— Czy pani zna swój rodowód o tyle, aby mi powiedzieć, kto byli przodkowie pani w Bostonie za moich czasów?..

— O tak...

— Może więc zechce pani powiedzieć mi z czasem o ich nazwiskach...

Zajętą była bardzo porządkowaniem jakiejś upartej gałązki w bukicie i ociągała się z odpowiedzią.

Kroki na schodach oznajmiły nam, że inni członkowie rodziny schodzą również na dół.

— Może kiedy później... — wyrzekła Edyta.

Po śniadaniu dr. Leete zaproponował mi pójść z nim do centralnego składu towarów, żebym mógł widzieć w pełnym ruchu mechanizm wydawania spożywcom wytworów, który mi opisała Edyta.

Po drodze odezwałem się:

— Od kilku już dni mieszkam u pana na stopie jak najbardziej niezwykłej, a raczej bez żadnej stopy... Nie mówiłem dawniej o tej stronie mego położenia, gdyż było wiele innych, jeszcze bardziej niezwykłych... Ale teraz, kiedy już czuję trochę gruntu pod nogami, kiedy rozumię, że jakkolwiek się tu dostałem, bądź co

ładź jestem tutaj i powinienem przystosować się do położenia, teraz, powiadam, muszę pomówić o tem z panem.

— Co do tego, żeś pan moim gościem, to proszę bardzo nie kłopotać się o to, gdyż mam zamiar długo jeszcze pana zatrzymać. Przy całej swej skromności, możesz pan łatwo pojąć, że taki gość, jak pan, jest nabytkiem, z którym nie rozstajemy się dobrowolnie...

— Dziękuję doktorze, nedorzecznoscą byłoby zapewne, gdybym okazywał zbyt wielką drażliwość z powodu czasowej gościnności u tego, komu zawdzięczam, że nie leżę do końca świata w żywym grobie... Jeżeli jednak mam być stałym obywatelem tego stulecia, to muszę tu mieć jakieś stanowisko... Otóż za dni moich, osoba mniej więcej obyta w świecie, bez względu na to, jak się doń dostała, mogłaby żyć niepostrzeżenie w niezorganizowanej kupie ludzi i mogła znaleźć dla siebie miejsce wszędzie, jeśli tylko była dość silną... Ale dzisiaj każdy jest częstką jakiegoś systemu, ma oznaczone miejsce i czynność... Ja jestem poza systemem i nie wiem, jak się tam dostanę; zdaje mi się, iż nie ma innego sposobu, jak tylko: albo urodzić się w nim, albo wejść w charakterze wychodźcy z jakiegoś systemu innego...

Doktor Leete zaśmiał się serdecznie.

— Zgadza się, że nas system grzeszy brakiem przewidywania takich wypadków, jak pański, ale, widzisz pan, nikt nie spodziewał się przyrostu ludności innego, niż sposobami zwykłymi, nie powinieneś pan jednak obawiać się, iż nie będziemy mogli z czasem znaleźć dla pana miejsca i zajęcia... Zostawałeś dotąd w styczności tylko z członkami mojej rodziny, ale z istnienia twojego nie robiłem zgola tajemnicy. Przeciwnie, wypadek pański już przed twojem ocuceniem, a

w wyższym jeszcze stopniu później, zbudził powszechne zainteresowanie. Ze względu na krytyczny stan twoich nerwów, uznano za najlepsze powierzyć cię mojej wyłącznej opiece. Za mojem pośrednictwem i rodziny powzięłeś ogólne wyobrażenie o świecie, do którego się dostałeś i dopiero później zawrzesz znajomość z resztą jego mieszkańców. Jakie zajęcie winniśmy znaleźć dla ciebie wewnątrz naszego społeczeństwa, o tem ani chwili nie mieliśmy wątpliwości. Mało kto z nas jest w stanie wyświadczyć tak wielką usługę narodowi, jak pan, skoro opuścisz mój dom, na co zresztą jeszcze długo nie pozwolę.

— Cóżbym ja mógł robić. Może wyobrażacie sobie, że posiadam fach jakiś, sztukę albo szczególną biegłość? Upewniam pana, że nic takiego nie umiem. Nie zarobiłem w życiu mojem jednego dolara, nie pracowałem na chleb ani jednej godziny. Jestem silny i mogę być robotnikiem pospolitym, ale niczem więcej.

— Gdyby to była najbardziej pożyteczna usługa, jaką pan byłbyś w stanie oddać narodowi, wówczas przekonałbyś się, że i to powołanie byłoby tak dobrze poważanem, jak i inne; ale możesz pan robić coś lepszego. Mógłbyś pan łatwo stać się mistrzem wszystkich naszych historyków w sprawach, dotyczących stanu społeczeństw ostatniej ćwierci wieku XIX-go, to jest historycznego okresu najbardziej pochłaniającego naszą ciekawość i kiedy w czasie właściwym oswoisz się pan należycie z urządzeniami naszemi, a zechcesz nauczyć nas czegoś o swoich, to znajdziesz gotowe dla siebie miejsce lektora historii w jednym z naszych kolegiów.

— Bardzo dobrze, doprawdy bardzo dobrze... — odrzekłem — doznając wielkiej ulgi z powodu tak praktycznego pomysłu w sprawie, która mnie zaczynała już niepokoić... Jeżeli wasi współobywatele istotnie zaj-

muja się tak bardzo wiekiem dziewiętnastym, to znajdę gotowe dla siebie zajęcie. Nie sędzę, iżbym posiadał coś innego, czem mógłbym na chleb zarabiać, ale w tym wypadku, bez zarozumiałości mogę utrzymywać, że posiadam pewne kwalifikacje szczególne do zajęcia takiego stanowiska, jakie pan opisuje...



Rozdział XVII-ty.

Zgodnie z opisem Edyty mechanizm składu towarowego był nader zajmujący. Dla mnie stanowiło to żywy dowód, do jakiego stopnia prawidłowo zorganizowane siły robocze mogą powiększyć swoją wydajność. Wpadłem w zachwyt na widok tego, com ujrział. Wszystko tu pracowało, jak młyn olbrzymi, do którego kosza zsypywane są ustawicznie, z pociągów i okrętów towary, po to tylko, żeby następnie, w miarę potrzeb pół milijona ludzi, wydawać je spożywcom, dobrze zapakowane w beczkach i wiązках, w funtach i gramach, lokciach i calach.

Dr. Leete zażądał ode mnie kilku szczegółów o wymianie towarów za moich czasów i obliczając osiągnięte dzięki dzisiejszym porządkom oszczędności, otrzymał cyfry bajeczne.

Powracając do domu, rozmawialiśmy dalej.

— Po tem, com widział dzisiaj, coś mi pan mówił i czegoś się nauczyłem, dzięki uprzejmości panny Edyty w składzie prób i wzorów, nabrałem już dość jasnego pojęcia o waszym systemie podziału, oraz o tem, w jaki sposób pozwala on wam obchodzić się bez środka obiegowego, ale bardzobym chciał dowiedzieć się nieco więcej o waszym systemie wytwarzania. Mówiłeś mi

pan wogóle, w jaki sposób zaciągana i zorganizowana bywa wasza armija przemyślowa, ale kto kieruje jej działalnością? Jakaż władza najwyższa określa, co winno być zrobionem w każdym dziale, tak, iżby wszystkiego było dosyć i by zarazem nie marnowano pracy. Zdaje mi się, iż musi to być dziwnie zawiła i trudna czynność, wymagająca niezwykłych zdolności.

— Czy naprawdę tak panu się zdaje?.. — odparł doktor Leete. — Cała rzecz jest tak prosta i opiera się na tak łatwych do zastosowania a zrozumiałych zasadach, że ustanowieni na ten cel w Waszyngtonie urzędnicy, przy zwykłych miernych zdolnościach wykonywają ją z zupełnem zadowoleniem narodu. Machina, którą kierują, jest istotnie ogromną, ale tak logiczną w zasadach swych, tak bezpośrednią i prostą w działaniu, że wszystko odbywa się tu samo i chyba tylko waryjat mógłby jej czynność zakłócić; zgodzi się pan, jak sądzę, z tem po kilku słowach objaśnienia. Ponieważ posiada pan już dość dobre wyobrażenie o naszym systemie podziału, więc zacznijmy od niego. Już za waszych czasów statystycy zdołali dokładnie oznaczyć roczne spożycie perkalu, aksamitu, wełny, mąki, kartofli, masła, trzewików, kapeluszy, parasoli. Ponieważ produkcyja znajdowała się w rękach prywatnych, zatem zupełnie ścisła statystyka sprzedaży była niemożliwą i otrzymywane liczby jedynie zbliżały się do prawdy. Teraz, gdy każda szpilka, wzięta ze składu towarowego, jest wpisana w księgi, wykazy tygodniowego, miesięcznego i rocznego spożycia, prowadzone przez centralny urząd spożywczo-rozdawczy, są bezwarunkowo ścisłe. Na podstawie tych cyfr po uwzględnieniu dążności zniżkowych, oraz pewnych przyczyn szczególnych, mogących oddziaływać na popyt, dokonywa się obliczeń z góry na cały rok. Kiedy obliczenia te, z pozostawie-

niem wolnego miejsca na nieprzewidziany przypadek, zostaną przyjęte przez administrację ogólną, odpowiedzialność specjalnego zarządu dla podziału ustaje aż do czasu wydania mu towarów. Mówię tu o obliczeniach, dokonywanych na cały rok, w rzeczywistości jednak, ogarniają one tak długi przeciąg czasu tylko wtedy, gdy idzie o wielkie składy towarów, na których popyt można rachować z pewnością; dla mniejszych zaś gałęzi przemysłu, gdzie wytwory podległe są wahaniom gustu i mody, produkcja stara się dotrzymać kroku każdorazowemu spożyciu i urzędy spożywczo-rozdzielcze dostarczają wskazówek wciąż nowych na podstawie tygodniowego zapotrzebowania.

— Dzisiaj cała dziedzina przemysłu... — ciągnął dalej doktor Leete — rozpada się na dziesięć wielkich wydziałów, z których każdy przedstawia grupę pokrewnych gałęzi przemysłu, każda zaś gałąź posiada znowu biuro drugo-rzędne, mające dokładne wiadomości o gałęzi i o sile wytwórczej, przez nie kontrolowanej, o wytworze chwili obecnej i o środkach powiększenia go. Obliczenia zarządu spożywczo-rozdzielczego po przyjęciu ich przez administrację, odsyłane bywają, jako obowiązujące, do dziesięciu wydziałów, które rozdają je podwładnym sobie biurom, przedstawiającym gałęzie poszczególne, te zaś wyznaczają ludzi do roboty. Każde biuro odpowiada za powierzone sobie zadanie, odpowiedzialność zaś tę potęguje nadzór głównego zarządu i administracji ogólnej. Wreszcie biura spożywczo-rozdzielcze nie odbierają żadnego przedmiotu bez dokładnego zbadania jego jakości i dobroci. Dochodzi do tego, że można wysledzić winowajcę - robotnika nawet w tym razie, jeśli dostarczony produkt okazał się niezdatnym dopiero w ręku spożywcy. Produkcja istotnych przedmiotów użytku, ma się rozumieć, nie po-

chlania jeszcze wszystkich wytwórczych sił roboczych. To też, po wyznaczeniu odpowiedniego zastępu pracowników dla każdej gałęzi przemysłu, pozostałą część pracy wydajemy na wytwarzanie kapitału stałego, jak: budowle, maszyny, roboty inżynierskie i t. d.

— Przychodzi mi na myśl wzgląd jeden, który, jak sądzę, może być przyczyną niezadowolenia.. — rzekłem. — Kto zaręczy, że przy wyłączeniu prywatnego przedsiębiorstwa żądanie przedmiotów, nie odpowiadających powszechnej potrzebie, znajdzie zaspokojenie?.. Władze idąc za głosem większości, mogą nie zwracać uwagi na pojedyncze upodobania tylko dlatego, że większość ich nie podziela...

— Byłoby to istotnie okrutną niewolą.. — odparł dr. Leete — nieznaną u nas, którym wolność tak samo jest drogą, jak równość i braterstwo. Kiedy poznasz pan lepiej nasz system, zobaczysz, że urzędnicy nasi są faktycznie, nie zaś tylko z imienia narzędziami i sługami narodu. Zarząd nie może samowładnie tamować produkcyi jakiegoś przedmiotu, póki istnieje na niego popyt. Przypuśćmy, że popyt na jakieś wyroby o tyle słabnie, iż wytwarzanie ich staje się bardziej kosztowne; cena ich, naturalnie, musi być odpowiednio podniesioną, lecz dopóki spożywey chcą płacić, wytwarzanie trwa dalej. Albo jeszcze wyobraźmy, iż żądają jakiegoś wyrobu, jakiego dawniej nie wytwarzano. Jeżeli administracyja wątpi o rzeczywistości popytu, wówczas zbiorowa petycyja ludności, dająca rękojmię pewnego spożycia, nakłania ją do podjęcia produkcyi. Rząd albo większość, któreby dyktowały narodowi albo mniejszości, co mają jeść, pić lub w co się ubierać, jak to, o ile sądzę, rządy amerykańskie robiły za dni pana, uważanoby dzisiaj za anachronizm. Może dawniej istniały silne powody, które zmuszały was do znoszenia tego

rodzaju ograniczeń wolności osobistej, ale dzisiaj nie pozwolilibyśmy na coś podobnego. Cieszy mnie to, że poruszył tę kwestyję, albowiem daje mi to sposobność wykazania ci, o ile prostszym i skuteczniejszym jest wpływ, wywierany dziś przez obywatela na produkcyę, niżeli to bywało za czasów panowania tak zwanej prywatnej inicjatywy, którą słusznie można byłoby nazwać jedynie kapitalistyczną, ponieważ zwykły obywatel faktycznie mały brał w niej udział...

— Mówisz pan o podnoszeniu ceny artykułów kosztownych. W jaki sposób możecie regulować ją w kraju, gdzie nie ma współzawodnictwa pomiędzy kupującymi i sprzedawcami...

— Dzieje się to zupełnie tak samo, jak u was bywało... — odparł dr. Leete. — Sądysz pan, że to wymaga wyjaśnienia?.. — dodał, widząc w mojej twarzy niedowierzanie. — Dam je panu w krótkości... Koszty pracy, niezbędne do wytworzenia pewnego przedmiotu, były za waszych czasów naturalną podstawą jego ceny, to samo dzieje się i u nas. Dawniej różnice pracy powodowały odpowiednią różnicę w cenach; dziś koszty utrzymania wszystkich robotników są te same i cała różnica zawiera się w liczbie godzin, idących na normalny dzień roboczy w rozmaitych zawodach. Koszt pracy w zawodzie tak trudnym, iż dla ściągnięcia ochotników musiano oznaczyć długość dnia roboczego na godzin cztery, jest dwa razy większy, niż w takim zajęciu, gdzie ludzie pracują po osiem godzin. Wynik ostateczny co do kosztów pracy jest, jak pan widzisz, zupełnie taki sam, jak gdyby człowiek, pracujący cztery godziny, przy waszym systemie pobierał płacę dwa razy większą, niż inni. Obliczenie to stosowane do pracy w rozmaitych gałęziach rękodzielnictwa, nadaje jej cenę również w stosunku do innych przedmiotów. Obok

kosztów wytwarzania i przewożenia, na cenę niektórych towarów wpływa też czynnik rzadkości. Ten czynnik nie gra naturalnie żadnej roli względnie do dóbr powszechnie dla utrzymania niezbędnych i dających się w dostatecznej ilości pomnożyć. Istnieje zawsze pod ręką pewna nadwyżka, przy pomocy której można wyrównywać wahania podaży i popytu nawet w wypadkach nieurodzajów. Ceny produktów zmniejszają się powoli z roku na rok, zaś prawie nigdy się nie podnoszą. Istnieją jednak pewne kategorie wytworów, z których jedne stale, drugie zaś czasowo nie odpowiadają popytowi. Tak się ma np. rzecz ze świeżemi rybami i nabiałem, należącymi do kategorii drugiej, oraz wyrobami, które wymagają wielkiej biegłości i rzadkich materyjałów, a należą do pierwszej kategorii. Jedno, co można tu zrobić, to równoważyć jako tako niedogodność, wynikającą z rzadkości towaru. Czyni się to, podnosząc cenę czasowo, jeżeli brak jest przemijający, albo też, utrzymując ją na pewnej wysokości, jeśli brak jej jest stały. Za waszych czasów wysokie ceny tylko bogatemu pozwalały użycia odpowiednich rzeczy; dziś zaś, gdy wszyscy posiadają równe środki, tylko ci kupują drogi przedmiot, którym on wydaje się szczególnie pożądanym. Dałem więc teraz panu ogólne pojęcie zarówno o naszym systemie wytwarzania, jak i podziału. Czy znajdujesz pan, że jest on tak złożony, jak się przypuszczał?

Zgodziłem się, że nie nie mogło być bardziej prostego.

— Nie skłamię... — ciągnął dr. Leete — twierdząc, że kierownik jakiegobądź jednego z wielu tysięcy waszych przedsiębiorstw prywatnych, który z niestrudzoną czujnością musiał śledzić wahania rynku, matactwa współzawodników, wypłacalność dłużników, miał do spełnienia daleko cięższe zadanie, niż mężowie w Wa-

szynngtonie, którzy dziś kierują produkcją całego narodu. Wszystko to, mój przyjacielu, dowodzi nam, o ile łatwiej jest, gdy się zaczyna rzecz prosto, niż gdy się jej ma na opak. Łatwiej jest generałowi, siedzącemu w balonie i ogarniającemu wzrokiem całe pole, prowadzić do zwycięstwa armię milionową, aniżeli sierżantowi dowodzić plutonem żołnierzy wśród gęstwiny leśnej...

— Generałem tej armii, zawierającej w sobie kwiat najlepszych ludzi narodu, musi być jakiś człowiek najprzedniejszy w kraju, większy zapewne, niż sam prezydent Stanów Zjednoczonych?..

— Jest nim właśnie prezydent Stanów Zjednoczonych, albo raczej najważniejszym obowiązkiem prezydenta jest kierownictwo armiją przemysłową...

— W jaki sposób obiera się go?.. — zapytałem.

— Opisując, jak ważną rolę na wszystkich szczeblach armii przemysłowej gra współubieganie się... — rzekł dr. Leete — zauważyłem, że ci, którzy szczególnie położyli zasługi po przebyciu trzech zwykłych rang szeregowca, dochodzą stopnia oficera. Dalej, oprócz pewnej godności pośredniej, w niektórych większych gałęziach przemysłu spostrzegamy jeszcze pewien urząd nowy, a mianowicie generała zawodu, pod którego kontrolą bezpośrednią wykonywane są wszystkie roboty w oddzielnym fachu. Dostojnik ten stoi na czele biura narodowego, jako przedstawiciel swojej gałęzi przemysłu i odpowiedzialnym jest za sprawność jej pracowników wobec administracyi. Generał zawodu zajmuje stanowisko świetne, mogące zadowolnić ambicyję większości ludzi, ale ponad tą godnością, którą, używając janaologii z waszej epoki, można byłoby przyrównać do stopnia generała dywizyi, czyli generała - majora, jest jeszcze godność naczelników owych dziesięciu wielkich

wydziałów czyli grup zawodów pokrewnych. Zwierzchników tych dziesięciu wielkich działów armii przemysłowej można porównać z waszymi generałami korpusu, czyli generałami lejtnantami, gdyż każdy z nich ma jakich dwunastu do dwudziestu podkomendnych sobie generałów zawodów. Ponad tymi wysokimi urzędnikami, stanowiącymi jak gdyby radę wojenną, znajduje się właśnie wódz naczelny, którym jest prezydent Stanów Zjednoczonych. Naczelny generał armii przemysłowej musiał przechodzić przez wszystkie stopnie niższe, poczynając od prostego szeregowca armii przemysłowej. Przypatrzmy się, w jaki sposób on awansuje. Jakem już panu powiedział, każdy z nas przechodzi przez stopnie zastępu pracowniczego do porucznikowstwa na podstawie odznaczeń, notowanych w jego świadectwie pracy. Od stopnia porucznika dochodzi on do superintendentury, t. j. pułkownikowstwa, na podstawie nominacyi z góry, robiącej ścisły wybór pomiędzy najlepszymi kandydatami. Generał zawodu nadaje stopnie niższe, sam on jednak nie bywa mianowany, lecz obierany przez głosowanie...

— Przez głosowanie?.. — zawołałem — czyż nie jest to zabójczem dla karności zawodu, gdy kandydaci usiłują iutrygować na swoją korzyść, pomiędzy wyborcami?..

— Niewątpliwie miałyby to miejsce, gdyby robotnicy posiadali prawo głosu lub wywierali jakikolwiek wpływ na wybory. Ale tak nie jest i na tem polega szczególna właściwość naszego ustroju. Generała fachowego wybierają honorowi członkowie odpowiedniego fachu, to jest ci, którzy w nim już wysłużyli swój czas. Wiadomo panu, że w roku 45 opuszczamy armię przemysłową, a resztę życia poświęcamy wypoczynkowi, lecz mimo to, pozostajemy w ścisłym stosunku z tą grupą facho-

wą, do której należeliśmy. Stajemy się członkami honorowymi dawnego swego zawodu i pilnie baczmy, żeby rozwijał się w rękach młodszego pokolenia i zachował swą dobrą sławę. W klubach, w których się zbierają ci wysłużeni współtowarzysze rzemiosła, rozmowa toczy się przeważnie o sprawach fachu, a młodzi kandydaci do stanowisk muszą dokonać istotnie coś wielkiego, aby uzyskać uznanie starych szeregowców. Właśnie oddajemy prawo wyboru tym honorowym członkom zawodu i zapewniam pana, że nigdy świat społeczny nie widział zastępu wyborczego, tak bezstronnego, tak dokładnie poinformowanego o zdolnościach i zasługach kandydatów, tak zainteresowanego w dobrym wyniku wyborów i wreszcie tak wolnego od samolubstwa. Każdy z dziesięciu generałów związkowo-zawodowych jest wybierany z pośród generałów, kierujących pojedynczymi fachami, które składają daną grupę związkową. Wyborcami są honorowi członkowie wszystkich zawodów owej grupy związkowej. Rzecz prosta, iż każdy zawód głosowałby najchętniej za swoim generałem, ale żaden z nich nie ma tyle głosów, iżby mógł obrać kogoś, nie popieranego przez większość zawodów innych. Zapewniam pana, że wybory te są niezmiernie żywione...

— Prezydenta, jak sędzę, wybiera się z pośród dziesięciu zwierzchników owych wielkich wydziałów?..

— Tak, lecz mogą oni wystąpić jako kandydaci do prezydentury dopiero w kilka lat po opuszczeniu urzędu. Rzadko kto przed czterdziestym rokiem życia przeszedł wszystkie szczeble hierarchii, prowadzące do kierownictwa grupą związkowo-zawodową i kończąc swoje pięciolecie urzędowania na tem stanowisku, zwykle ma około 45 lat. Jeżeli jest starszy, służy jeszcze poza ten okres, jeżeli zaś je kończy przed rokiem 45, zostaje

zwolniony wyjątkowo od dalszej służby, nie wypadłoby mu bowiem powracać do szeregów. Przerwa, w ciągu której pozostaje kandydatem na prezydenta, poświęcona jest na to, aby należycie zrozumieć, iż powraca do ogólnej masy narodu, oraz aby zespo'ił się z nią*raczej, nie zaś z armiją przemysłową. Przypuszcza się przytem, iż użyje tego czasu na zbadanie ogólnego położenia całej armii, nie zaś poszczególnej grupy zawodów, której był naczelnikiem. Z pomiędzy więc byłych zwierzchników wydziałów, którzy są kandydatami, obiera się prezydenta przez głosowanie wszystkich ludzi, nie związanych z armiją przemysłową...

— Jakto, więc armija nie może głosować na prezydenta ?..

— Pewno że nie ; byłoby to groźnem dla jej karności, którą utrzymywać musi właśnie prezydent, jako przedstawiciel całego narodu. Prezydent w chwili wybrania go miewa zazwyczaj około lat 50 i służy lat 5, stanowiąc zaszczytny wyjątek od powszechnego prawidła opuszczania służby w 45 tym roku życia. Ku końcowi tego okresu służby zbiera się kongres narodowy, aby z uznaniem lub naganą wysłuchać sprawozdania prezydenta. W razie uznania, kongres zazwyczaj wybiera go na przedstawiciela narodu na lat 5 w radzie międzynarodowej. Muszę również dodać, iż kongres odbiera też sprawozdanie ustępujących naczelników wydziałów, którzy, w razie otrzymania nagany, nie mogą być później kandydatami na prezydenta... Rzadko się jednak zdarza, iżby naród miał powody do jakichkolwiek innych uczuć, oprócz wdzięczności względem swych wyższych urzędników. Co do uzdolnień, to już ta okoliczność, że doszli oni do wyższych godności, przechodząc od najniższego szczebla, na zasadzie nader wielkiej a urozmaiconej zasługi, już ta okoliczność, powtarzam,

jest wystarczającym dowodem ich niezwykłego daru ; co zaś do uczciwości , to system nasz społeczny nie pozostawia absolutnie żadnej innej pobudki działania, nad chęć zdobycia szacunku współobywateli. Przedajność jest niemożliwa w społeczeństwie, gdzie nie masz ani ubóstwa, któreby trzeba było przekupywać, ani bogactw, któremi się przekupuje, co zaś do demagogii, albo intryg służbowych, to warunki awansowania uniemożliwiają je całkowicie...

— Jednego tylko nie rozumię dobrze : czy członkowie profesyj wolnych mogą być obierani na prezydenta, i jeśli tak, to w jaki sposób można ich postawić obok przedstawicieli właściwych zajęć przemysłowych?..

— To też stoją oni poza armiją przemysłową... — odparł dr. Lecte. — Przedstawiciele powołań technicznych, jak : inżynierowie i architekci należą do zawodów konstrukcyjnych ; ale członkowie wolnych powołań: lekarze, nauczyciele, jak również artyści i literaci, otrzymujący zwolnienie od służby przemysłowej, do przemysłowej armii nie należą. Na tej też zasadzie mogą oni wprawdzie głosować, ale sami obieranymi nie są na godność prezydenta. Ponieważ jednym z najgłówniejszych obowiązków prezydenta jest utrzymanie kontroli i karności w armii przemysłowej, przeto ważnym jest, iżby prezydent przeszedł przez wszystkie jej stopnie, jeśli ma nią kierować dobrze...

— Jest to słuszne... — rzekłem — lecz jeśli nauczyciele i lekarze nie znają się dość na przemyśle, aby być prezydentami, to sądzę, że i prezydent nie ma dość pojęcia o medycynie lub wychowaniu, aby mógł kontrolować te działy...

— To też nie czyni tego... — brzmiała odpowiedź — a raczej kontroluje tylko w sposób ogólny, czyli że tak tutaj, jak i w odniesieniu do klas innych, odpo-

wiedzialny on jest za wykonanie prawa ; prezydent nie ma nic do czynienia w wydziale wychowawczym albo lekarskim, podlegającym kontroli własnych swoich zarządców, gdzie on jest ex officio prezesem i posiada głos decydujący. Zarządców owych, odpowiedzialnych, rzecz jasna, przed kongresem, wybierają honorowi członkowie zawodów : wychowawczego i lekarskiego, wysłużeni nauczyciele i lekarze...

- Czy wie pan... — odezwałem się — że metoda wybierania urzędników przez głosowanie wysłużonych przedstawicieli zawodów jest niczem innym, jak tylko zastosowaniem na skalę ogólną, narodową owego planu, jakim w nieznacznej mierze myśmy się posługiwali niekiedy, gdy szło o kierownictwo naszych wyższych zakładów naukowych...

— Czyż to być może?.. — zawołał doktor Lecte z ożywieniem. — Jest to rzecz całkiem nowa dla mnie, a jak sądzę, dla większości z pomiędzy nas będzie nader zajmująca. Spierano się bardzo wiele o to, jaki mógł być początek tej idei i wyobrażaliśmy sobie, że choć raz znalazło się coś nowego pod słońcem... No!.. no!.. w waszych wyższych zakładach naukowych!.. Doprawdy, to bardzo ciekawe. Musisz mi pan opowiedzieć o tem coś więcej...

— Istotnie, bardzo mało jest do powiedzenia nad to, com już powiedział, jeśliśmy mieli myśl waszą w zarodku, to był też to tylko zarodek.

Rozdział XVIII-ty.

Tego wieczora, po odejściu pań, rozmawiałem jeszcze chwilę z doktorem Lecte o systemie zwalniania ludzi

od dalszej służby narodowej po roku 45 ; opowiadanie doktora o udziale obywateli wysłużonych w rządzie nasunęło mi myśl o tym przedmiocie.

— Mężczyzna 45-letni może jeszcze 10 lat pracować fizycznie i dwa razy dłużej umysłowo. Ludzie więc o usposobieniu energicznem muszą spoglądać na to uważanie ich za przestarzałych i przenoszenie w stan spoczynku, jak na wielką przykrość raczej, nie zaś jak na łaskę...

— Drogi panie West... — zawołał doktor Leete, wpatrując się we mnie — nie możesz pan mieć pojęcia jak nieznośnie przykre mi są dziś dla nas wasze idee XIX-go wieku, jak osobliwym jest ich skutek. Dowiedz się więc, dziecko innej rasy, a jednak tej samej, że praca, jaką mamy ponosić dla zapewnienia naszemu narodowi wygodnego bytu materyjalnego, nie jest uważana przez nas, ani za najważniejsze, ani za najbardziej zajmujące, ani też za najgodniejsze zużytkowanie sił naszych. Patrzymy na nią, jako na nieuchronny obowiązek, z którego potrzeba się wywiązać, zanim całkowicie poświęcimy się wyższej uprawie naszych zdolności, umysłowemu i duchowemu ich zużytkowaniu, oraz celom, nadającym tyle wartości życiu. Robi się wprawdzie wszystko, co można, aby ulżyć pracy i mozołom przez sprawiedliwy podział trudów, oraz przez wszelkiego rodzaju przynęty i bodźce ; to też praca ta, chyba względnie tylko może być nazwana uciążliwą, w istocie zaś wcale nie jest przykra, a czsami bywa nawet uroczą. Ale najgłówniejszym celem naszego istnienia nie jest owa praca nasza, lecz wyższa i szersza działalność, której pozwala nam oddawać się z całą swobodą opuszczenie szeregów przemysłowych. Naturalnie, nie wszyscy i nawet nie większość odznacza się zamiłowaniem ku wiedzy, sztuce i literaturze. Wielu z nas

spogląda na drugą połowę swego żywota, jako na okres uciech innego rodzaju, poświęcając go podróżom, zabawom towarzyskim w gronie starych przyjaciół, pielęgnując wszelkie osobiste wstręty i upodobania, oraz ścigając wszelkie możliwe postacie wytchnienia, słowem, uważają to za czas swobodnego i niezmaconego niczem napawania się dobrodziejstwami świata, do wytworzenia których się przyczynili. Ale, jakakolwiek jest różnica naszych upodobań osobistych, to odnośnie do zużytkowywania owego wolnego czasu zgadzamy się wszyscy o tyle, iż chwili zwolnienia od służby oczekujemy jako kresu, po którym zaczynamy dopiero korzystać z całej pełni naszych praw przyrodzonych, jako doby, kiedy po raz pierwszy naprawdę dochodzimy już do pełnoletności i zwolnieni będziemy od rygoru i kontroli, a obdarowani wieczystą pensją do końca naszego życia. Tak samo, jak młodzież za dni waszych chciwie oczekiwała 21 roku, tak ludzie dzisiejsi wyglądają lat 45. W 21 stajemy się dojrzałymi ludźmi, ale w 45 młodość nasza powraca. Wiek średni, oraz to, co wybyście nazwali starością, uważamy dzisiaj za epokę godniejszą prawie więcej zazdrości, niż wiek młodzieńczy. Dzięki dzisiejszym lepszym warunkom istnienia, a nadewszystko dzięki uwolnieniu każdego od troski, starość nasza następuje o wiele później i bardziej rzeźka, niż za dni waszych. Osoby, przeciętnego zdrowia żyją zazwyczaj do 85 lub 90 lat; zaś w roku 45-tym jesteśmy, jak sądzę, fizycznie i umysłowo młodszy, niż wyście bywali w 35-tym roku. Dziwna pomyśleć, że w roku 45-tym, kiedy my właśnie wchodzimy w okres życia najpełniejszych uciech, wyście poczynali myśleć już o starości i spoglądać w przeszłość. Dla was przedpołudnie było jaśniejszą życia połową, dla nas zaś popołudnie.

Dalej, przypominam sobie, że rozmowa nasza przeszła

na tegoczesne zabawy i uciechy publiczne, oraz porównywanie ich z zabawami wieku XIX.

— Pod pewnym względem... — mówił doktor Leete — zachodzi tu znaczna różnica. My nie posiadamy nic takiego, coby odpowiadało waszym sportsmenom z profesyi, stanowiącym tak ciekawą cechę dni waszych; ani też nagrody, o jakie walczą nasi atleci, nie są pieniężne, jak to było u was. W zapasach naszych idzie zawsze tylko o sławę. Szlachetne współbieganie się zawodów wszystkich, oraz przywiązanie każdego współpracownika do jego zawodu, jest stałym bodźcem we wszelkiego rodzaju grach i wyścigach na lądzie i morzu, które u młodzieży budzą równie zajęcie, jak u honorowych członków, którzy już ukończyli swą służbę. Zawodowe wyścigi jachtów w Marblehead odbywać się będą w przyszłym tygodniu i sam pan osądzisz, o ile dzisiaj większym jest zapal publiczności, niż za dni waszych. Zupełnie usprawiedliwiamy pogoń rzymian za chlebem i igrzyskami. Chleb jest pierwszą potrzebą życia, zabawa... drugą. Naród powinien dać jedno i drugie swoim obywatelom. Amerykanie z wieku XIX, niestety, zaspakajali swoje potrzeby w bardzo niedostatecznym stopniu. Gdyby ludzie owej epoki mogli nawet korzystać z dłuższego wywezasu, to, sądzę, nie wiedzieliby częstokroć, jak spędzić chwile swe przyjemnie; co do nas, to nie bywamy nigdy w tem położeniu.

Rozdział XIX-sty.

Podczas jednej z przechadzek porannych odwiedziłem Charlestown. Pomiedzy wielu zmianami, które zaszły

tutaj w przeciągu jednego stulecia, uderzyło mnie najbardziej zniknięcie więzień dawnych...

— Zniesiono je jeszcze nie za mojej pamięci... — odezwał się dr. Leete, gdy przy śniadaniu poruszyłem tę kwestyję. — Nie znamy więzień. Wszystkie okazy atawistyczne oddajemy do szpitali...

— Atawistyczne?..

— Naturalnie... karanie takich nieszczęśliwców porzucono już od pół wieku.

— Niezupełnie pana rozumiem... — powiedziałem. — Pojęcie atawizmu stosowano niegdyś do osób, w których wybitnie występowały cechy przodków. Chciałżebyś pan przez to powiedzieć, że dziś zbrodnia nazywa się atawizmem?..

— Przepraszam pana... — odrzekł doktor Leete z uśmiechem nawpół humorystycznym, nawpół przepraszającym — ale ponieważ pan tak wyraźnie postawiłeś pytanie, zmuszony jestem powiedzieć, że istotnie tak się zapatrujemy...

Po tem, czegom się już dowiedział o moralnych przeciwieństwach pomiędzy wiekiem XIX a XX, niedorzecznością byłoby niewątpliwie, gdybym począł okazywać jakąś drażliwość w tym względzie; to też gdyby doktor Leete nie mówił w sposób tak uprzedzający, a żona jego i Edyta nie zdradzały przytem pewnego zakłopotania, nie byłbym się prawdopodobnie zarumienił, jak to się stało obecnie.

— I dawniej nie byłem skłonny do chełpienia się ze swego pokolenia... — rzekłem — ale istotnie...

— Należysz do naszego pokolenia, panie West... — przerwała Edyta.

— Dzięki pani... Będę się starał tak o tem myśleć... Kiedym to mówił, oczy moje spotkały się z jej wzro-

kiem, a wyraz jej twarzy uleczył mnie zupełnie z mojej niedorzecznej drażliwości.

— Bądź co bądź... — rzekłem z uśmiechem — byłem wychowany w kalwinizmie i nie powinno to mię właściwie dziwić, że zbrodnię poczytujecie za wadę dziedziczną...

— Istotnie... — rzekł dokróć Lecte — używamy wyrazu tego, bynajmniej nie myśląc o pokoleniu pańskim, jeżeli², za przeproszeniem Edyty, możemy je nazwać pańskim pokoleniem; pomimo pomysłniejszego stanu wcale nie uważamy się za lepszych od was. Za waszych czasów dziewiętnaście na dwadzieścia zbrodni, że użyjemy ostatniego wyrazu w znaczeniu szerokim, włączając tu wszelkie wykroczenia, wynikały z nierówności majątkowej jednostek; nędza kusiła biedaka, żądza większych zysków lub chęć utrzymania dawniejszych kusiła ludzi dostatnich. Pośrednio lub bezpośrednio, pragnienie pieniędzy, które wówczas równoważnymi były ze wszelkiem dobrem, stanowiło pobudkę wszystkich zbrodni. Z tego to gruntu wyrastał ów trujący chwast, który bez wędziła waszych praw, sądów i władzy policyjnej zburzyłby całą ówczesną cywilizację. Robiąc ogół obywateli jedynym posiadaczem bogactwa narodowego i zabezpieczając każdemu utrzymanie, usuwając z jednej strony nędzę, z drugiej zaś ogromne prywatne kapitały, podcięliśmy ten chwast w korzeniu, a trujące drzewo, które rzucało cień na waszą społeczność, zwiędło i uschło, jak krzew Jonasza za dni owych. Nawet stosunkowo rzadkie przestępstwa przeciwko osobom, niemające nic wspólnego z żądzą zysku, były wynikiem ciemności, przynajmniej w większości wypadków. Dzisiaj zaś, kiedy wykształcenie i dobre obyczaje nie są już monopolem niewielu, ale rzeczą powszechną, o okrucieństwach takich prawie nie sły-

szymy. Widzisz pan teraz, w jakim rozumieniu używa się wyrazu atawizm dla oznaczenia zbrodni. Oto dlatego prawie wszystkie formy zbrodni, znane za wazszych czasów, dziś nie mają już racyi bytu, a jeśli się pojawiają, nie można ich inaczej objaśnić, jak tylko atawizmem. Mielicie zwyczaj nazywać ludzi, którzy kradli bez żadnej widocznej pobudki racjonalnej, kleptomaniami i karanie ich znajdowaliście bezmyślnem... Otóż jak wy postępowaliście z kleptomanami, tak samo my radzimy sobie z ofiarami atawizmu. Postępowanie nasze jest pełne współczucia, lecz jednocześnie stanowcze, chociaż w łagodny sposób staramy się uczynić ich nieszkodliwymi.

— Sady wasze muszą też mieć wiele wolnego czasu... — zauważyłem. — Wobec braku własności prywatnej, o którejby trzeba było mówić, braku wszelkich sporów pomiędzy obywatelami, wynikających z interesu, braku podziałów majątkowych albo ściągania długów, muszą one nie miewać żadnych zgół spraw cywilnych; zaś wobec braku wykroczeń przeciwko własności, oraz bardzo małej liczby przestępstw wogółe, możecie prawie, jak mniemam, obchodzić się zupełnie bez sędziów i adwokatów.

— Bez adwokatów obchodzimy się z pewnością... — odrzekł doktor Leete. — Nie uważalibyśmy za rzecz rozsądną, aby w wypadkach, gdzie narodowi idzie jedynie o wykrycie prawdy, mogły brać w dochodzeniu sądowem udział osoby, mające jawną pobudkę do zabarwiania jej...

— Ale któż broni oskarżonego?..

— Jeśli jest zbrodniarzem, nie potrzebuje obrony, gdyż najczęściej sam przyznaje się do winy. Obrona oskarżonego nie jest u nas czezą formalnością, jak to było u was; jest ona zazwyczaj końcem sprawy...

— Nie chcesz pan przez to powiedzieć, że człowiek, który się do winy nie przyznaje, bywa tem samem zwolniony od zarzutu?..

— Nie, tego nie mówię. Nie oskarża się go lekko-
myslnie; kiedy zaś wypiera się winy, podlega jeszcze
badaniom, niedługo jednak, gdyż najczęściej sam do
niej się przyznaje. Kiedy poczyni zeznania fałszywe,
a przestępstwo zostanie mu udowodnionem, karę po-
dwajamy. Jednakże fałsz tak dalece jest wśród nas
pogardzanym, że niewielu przestępców odważyłoby się
na kłamstwo dla ocalenia siebie...

— Jest to najbardziej zdumiewające ze wszystkiego,
coś mi pan powiedział... — zawołałem. — Jeżeli kłam-
stwo wyszło z mody, to zaiste macie już „nowe nie-
biosy i ziemię nową, gdzie prze-bywa sprawiedliwość“,
jak przepowiadał prorok...

— Takim też jest mniemanie wielu osób... — od-
rzekł doktor. — Utrzymują one, że dosięgliśmy właśnie
sław nego millennium; teoryja zaś ta, z ich stanowiska,
nie jest pozbawioną słuszności. Ale co do pańskiego
zadziwienia, że świat pozbył się kłamstwa, to właści-
wie nie masz pan ku temu podstawy. Fałsz, nawet za
dni waszych, nie był rzeczą pospolitą pomiędzy panami
i paniami równymi sobie towarzysko. Kłamstwo z oba-
wy było ucieczką tchórzostwa, zaś kłamstwo dla wpro-
wadzenia w błąd stanowiło środek oszustów. Nierówność
pomiędzy ludźmi, oraz żądza nabywania stale obiec-
wały nagrodę za kłamstwo. A jednak, nawet wówczas,
człowiek, który ani się obawiał innego człowieka, ani
go nie pragnął oszukać, pogardzał kłamstwem. Ponie-
waż wszyscy dziś jesteśmy społecznie równi, nikt zaś
nie ma powodu ani obawiać się czegoś od innych, ani
też nie może zyskać czegoś od nich przez wprowadzenie
ich w błąd, więc pogarda dla kłamstwa jest tak dalece

powszechną, że, jakem panu powiedział, nawet ludzie pod innymi względami występni bardzo rzadko uciekają się do fałszu. Kiedy jednak ktoś obstaje przy swej niewinności, wówczas sędzia wyznacza dwa kolegijsa dla wyświecenia obu przeciwnych stron sprawy. O ile ci ludzie niepodobni są do waszych najemnych adwokatów i prokuratorów, zdecydowanych za jaką bądź cenę obronić lub usprawiedliwić, możesz pan wnosić z tego faktu, że dopóki obie grupy nie zgodzą się, iż dany wyrok jest sprawiedliwy, sprawę poddaje się roztrząsaniu ponownemu, gdy tymczasem wszelki ton niepewności w głosie któregokolwiek bądź z sędziów uważanoby za rażący skandal...

— O ile rozumiem, to sędziowie są tutaj zarówno obrońcami i oskarżycielami, jak i rozstrząsającymi sprawę...

— Niewątpliwie, sędziowie kolejno pełnią już to jedno, już drugie obowiązki, zaś oczekuje się po nich, że zarówno w jednym, jak i w drugim wypadku zachowują się sprawiedliwie. System ten działa w rzeczywistości tak, jak działałby sąd, złożony z trzech członków, z których każdy patrzyłby na sprawę z innego stanowiska. Gdy się zgodzą na jeden wyrok, wierzymy, iż są tak bliżej prawdy bezwzględnej, jak tylko człowiek być może...

— Więc zarzuciliście system sądów przysięgłych?...

— Był on krokiem naprzód w okresie płatnych adwokatów i sądów, niekiedy sprzełajnych, często zaś zależnych wskutek swego uposażenia, ale dzisiaj nie są już one potrzebne. Nie podobna sobie wyobrazić jakiegokolwiek pobudki innej, niż sprawiedliwość, któraby wpłynęła na naszych sędziów...

— Jakże się wybiera tych urzędników?..

— Stanowią oni zaszczytny wyjątek wobec przepisu,

zwalniającego wszystkich od służby w wieku lat 45... Prezydent mianuje co roku niezbędną liczbę sędziów z kategorii ludzi, dosięgających tego wieku. Liczba ta naturalnie jest niezmiernie małą, zaszczyt zaś tak wielki, iż uważa się go, jako zapłatę za dodatkowy termin służby i jakkolwiek od nominacji tej można się uchylić, zdarza się to rzadko. Termin jest pięcioletni, bez prawa nominacji ponownej. Członkowie sądu najwyższego, który stoi na straży konstytucyi, wybierani są z pomiędzy niższych sędziów. Gdy w tym sądzie zdarza się wakans, członkowie niższego sądu, których termin kończy się za rok, wybierają jednego z pomiędzy swych towarzyszy, uważanego przez nich za najzdolniejszego, który też pozostaje nadal przy obowiązkach...

— Ponieważ nie ma żadnych zawodów prawniczych.. — rzekłem — które mogłyby być szkołą dla sędziów, więc muszą oni chyba przechodzić wprost ze szkoły prawa na krzesła sędziowskie?..

— Nie mamy żadnych szkół prawa... — odpowiedział doktor, uśmiechając się. — Prawo, jako nauka osobna, jest dzisiaj rzeczą przestarzałą. Był to system kazuistyki, którego tłumaczenia bezwzględnie domagała się zawiła sztuczność starego społecznego porządku, ale w obecnym stanie rzeczy zaledwie tylko parę jakichś najwidoczniejszych i najprostszych zasad prawnych może znaleźć zastosowanie. Wszystko, cokolwiek dotyczy wzajemnych stosunków pomiędzy ludźmi, jest dzisiaj bez porównania prostszem, niż za dni waszych... Nie posługujemy się dzisiaj żadnym rodzajem przemądrych znawców, którzy prezydowali, gardłowali w waszych sądach. Nie powinieneś jednak pan sądzić, iż żywny jakieś nieposzanowanie ku owym dawnym znawcom, dlatego tylko, że ich nie używamy. Przeciwnie,

mamy szacunek nieudany, dochodzący niemal do uwielbienia dla ludzi, którzy jedynie rozumieli i zdolni byli wyjaśniać nieskończoną zawilóść praw własności, oraz stosunków zależności handlowej i osobistej waszego systemu. Istotnie, cóż mogłoby potężniej przekonać nas o gmatwaninie i sztuczności owego systemu, jak nie ten fakt, że w każdym pokoleniu potrzeba było oddzielać kwiat inteligencji, odosobniać go od innych zajęć aby tylko zapewnić sobie gromadę znawców, mogących, dać o nim zaledwie jakie takie pojęcie tym, których losy od niego zależały. Rozprawy waszych wielkich prawników, dzieła Blacystona i Chitty, Story i Parsona znajdują się w naszych muzeach obok tomów Duns-Scotusa i jego towarzyszy scholastycznych, jako zabytki subtelności umysłu, poświęcanej przedmiotom, jednako już dzisiaj dalekim od interesów ludzi nowożytnych. Sędziowie nasi są to po prostu szeroko wykształceni, rozsądni i dyskretni ludzie w wieku dojrzałym. Nie powinienem też zapominać jeszcze o jednej ważnej czynności sędziów młodszych... — dodał doktor Leete.

— Stanowi ją rozstrząsanie wszystkich takich wypadków, kiedy prywatny członek armii przemysłowej uskarża się na niegrzeczność kóregoś z jej oficerów. Wszystkie takie sprawy wysłuchiwane są i rozstrzygane bez apelacji przez jednego tylko sędziego; trzech sędziów żąda się jedynie w razach ważniejszych...

— W systemie waszym potrzeba chyba koniecznie takiego trybunału, gdyż człowiek narażony na niegrzeczność nie może tu opuścić swego miejsca tak, jak u nas niegdyś było...

— Jak najzupełniej może... — odpowiedział doktor Leete — nietylko każdy jest u nas pewny wysłuchania go i odszkodowania w razie ucisku istotnego, ale, gdy

stosunki jego z przełożonym albo zwierzchnikiem są niemiłe, może on z łatwością wyrobić przeniesienie. W waszym systemie, co prawda, człowiek mógł porzucać pracę, jeśli mu się nie podobał jego pracodawca, ale razem z nią tracił środki utrzymania. Nasz pracownik natomiast, uważający położenie swoje za nieprzyjemne, nie jest zmuszony dla uwolnienia się od niego narażać na szwank swoich środków utrzymania. Sprawność przemysłu wymaga jak najściślejszej karności w armii pracowników, ale na straży praw każdego pracownika do słusznego i względnego obchodzenia się z nim stoi cała potęga narodu. Oficer rozkazuje, wykonawca zaś prywatny słucha, ale żaden oficer nie jest postawionym tak wysoko, iżby się poważał być wyniosłym względem pracownika klasy najniższej. Co do prostactwa albo szorstkości jakiegokolwiek urzędnika w stosunkach z publicznością, to żadne z pomniejszych wykroczeń nie ponosi kary równie szybko. Sędziowie nasi strzegą nie tylko sprawiedliwości, ale i grzeczności we wszelkich stosunkach. Żadnej usługi nie przyjmuje się jako odszkodowania za gburowate i obrażające obejście...

Tak się jakoś zdarzyło, iż w ciągu wszystkich moich rozmów z doktorem Leete, słyszałem wiele o narodzie, ale nie słyszałem o rządzie państwowym.

— Czyżby organizacja narodu, jako jednostki przemysłowej, uwalniała od potrzeby państwa?.. — zapytałem.

— Rozumie się; rząd państwa przeszkadzałby kontrolowaniu i karności armii przemysłowej, która, naturalnie, musi być zcentralizowaną i jednolitą. Nawet gdyby rządy państwowe nie były niedogodne dla innych powodów, to stałyby się one zbyt cennymi, dzięki przedziwnemu uproszczeniu umiejętności rządzenia. Je-

dyną prawie czynnością administracyi jest dzisiaj kierowanie przemysłem. Większa część celów, dla jakich istniały dawniej rządy, nie istnieje już dzisiaj. Nie mamy ani wojska, ani floty wojennej, ani wojskowej organizacyi, nie mamy departamentów dóbr państwa, albo skarbu, nie mamy żadnej służby akcyzowej albo dochodów, żadnych podatków ani ich poborców. Jedyną ze znanych wam, a pozostałych dotąd czynności rządu jest czynność sądownicza i policyjna. Wytłomaczyłem panu o ile prostym jest nasz system sądownictwa w porównaniu z waszą ogromną i złożoną machiną. Rzecz prosta, że ten sam brak przestępstw i zbrodniczych usiłowań, który tak łatwemi czyni obowiązki sędziego, sprawdza też do minimum liczbę i obowiązki policyjantów.

— Ale wobec braku instytucyj państwowych, wobec tego, że kongres zbiera się tylko raz na lat 5, jakże radzicie sobie z waszem prawodawstwem?..

— Nie mamy żadnego prawodawstwa... — odpowiedział doktor Leete — albo prawie żadnego... Rzadko się zdarza, aby kongres, nawet kiedy się zbierze, roztrząsał jakieś nowe prawa, a i wówczas ma on tylko władzę polecić je kongresowi następnemu, aby niczego nie robiono zbyt pośpiesznie. Zastanowiwszy się chwilę, panie West, spostrzeżesz pan, że nie mamy nic do czynienia z prawami. Podstawowe zasady, na jakich opiera się nasze społeczeństwo, usuwają raz na zawsze spory i nieporozumienia, które za dni waszych domagały się prawodawstwa. Z pewnością na sto praw waszych dziewięćdziesiąt dziewięć dotyczyły określenia i obrony własności prywatnej, oraz stosunków między kupującymi a sprzedawcami. Dzisiaj nie ma ani prywatnej własności, oprócz rzeczy osobiste nabytej przez każdego, ani też kupowania i sprzedawania, a tem

samem konieczność całego prawie waszego prawodawstwa, dawniej niezbędna, dziś już przeminęła. Dawniej społeczeństwo było piramidą, opartą na wierzchołku... Wszystkie ciężenia przyrody ludzkiej dążyły ustawicznie do obalenia jej i utrzymać ją było można prosto, a raczej prosto-krzywo, jeśli mi pan przebaczysz ten mały koncept, jedynie przy pomocy zawitego systemu ustawicznie odnawianych podpór, filarów i sznurów, w postaci waszych praw. Kongres centralny, oraz czterdzieści prawodawstw stanowych, wydające rokrocznie jakieś 20,000 praw, nie mogły uczynić nowych podpór dość mocnymi, iżby zajmowały miejsce dawnych, które bądź pękały ustawicznie, bądź też traciły swą siłę, dzięki jakiemuś nowemu prądowi. Dzisiaj społeczeństwo wspiera się na swej podstawie i potrzeba mu równie mało sztucznych podpór, jak i wieczno-trwałej górze...

— Ale, oprócz jedynej władzy centralnej, macie przynajmniej jakieś zarządy miejskie?..

— Niewątpliwie, a ważnymi też i rozległymi są ich obowiązki pilnowania wygody i rozrywek publiczności, oraz naprawy i upiększania miast i wiosek...

Lecz jakże mogą one zrobić cośkolwiek, nie mając żadnej kontroli nad pracą swych ludzi, ani środków najmowania ich?..

— Każdemu miastu lub osadzie przysługuje prawo zatrzymania na rzecz robót publicznych pewnej ilości pracy, jaką obywatele ich oddają narodowi. Ilość ta, przyznawana w postaci odpowiedniego kredytu, zużytkowywaną być może stosownie do upodobania...

Rozdział XX-ty.

Po obiedzie Edyta zapytała mnie, czym jeszcze nie

odwiedził mojej podziemnej komnaty, w której mnie znaleziono...

— Jeszcze nie... — odpowiedziałem. — Jeżeli mam być szczerym, unikałem tego aż dotąd, gdyż odwiedziny te mogłyby odżywić we mnie dawne wspomnienia, zbyt może jeszcze silne, jak na stan obecnej równowagi mego umysłu.

— Ach, prawda... rozumie się, żeś pan zrobił dobrze, powstrzymując się od tego. Powinnabym była o tem pomyśleć...

— Nie, rad jestem, że pani mówi o tem. Jeżeli było jakie niebezpieczeństwo, to tylko w ciągu jednego lub paru dni pierwszych... Dzięki głównie i zawsze pani, czuję się już tak pewnym na tym nowym świecie, że gdyby tylko pani chciała pójść tam ze mną, aby wypłoszyć stracha, istotnie odwiedziłbym mój pokój dziś jeszcze...

Edyta zawahała się na razie, ale widząc, żeś tego pragnął, zgodziła się wreszcie towarzyszyć mi.

Nasyp ziemi, wykopanej przy otworze, widać było pomiędzy drzewami już z okien domu, to też po paru chwilach znaleźliśmy się na miejscu. Wszystko pozostawało tutaj tak, jak było wtedy, gdy przerwano robotę, odkrywszy właściciela pokoju; tylko drzwi były otwarte i jedna z płyt sklepienia wyjęta. Zstępując po spadzistych bokach jamy, doszliśmy do drzwi i stanęliśmy w nawpół oświetlonym pokoju.

Wszystko tu było tak, jakem pozostawił ostatniego wieczora, 113 lat temu, przed samem zamknięciem oczu do owego długiego snu. Przez jakiś czas stałem w milczeniu, rozglądając się dokoła. Widziałem, że towarzyszka moja ukradkiem patrzyła na mnie, z wyrazem dyskretnej i współczującej ciekawości. Wyciągnąłem do niej rękę, a ona podała mi swoje rączki, przyczem

uścisk miękkich jej palców odpowiedział uspokajająco na moje wyzwanie.

W końcu szepnęła :

— Możebyśmy już lepiej ztąd poszli !.. Nie powinieneś pan zanadto doświadczać siebie.. O, jak panu musi być dziwnie...

— Przeciwnie... — odrzekłem — nie wydaje mi się to dziwnem i to jest najdziwniejsze ze wszystkiego...

— Nie dziwne ?.. — powtórzyła, jak echo.

— Nawet nie dziwne... — odrzekłem. — Nie doznaję po prostu uczuć, jakie pani widocznie mi przypisuje, a jakich ja sam oczekiwałem przy tych odwiedzinach. Uprzytomniam sobie wszystko, co podsuwa mi to otoczenie, ale nie doświadczam wzruszenia, którego się spodziewałem. Nie możesz pani tak się temu dziwić, jak ja sam. Od owego okropnego poranku, kiedyś mi przysłała z pomocą, starałem się unikać myśli o mojem życiu dawniejszem, tak samo, jak unikałem przychodzenia tutaj z obawy wzruszeń. Jestem zupełnie podobny do człowieka, który pozwolił chorej nodze swojej leżeć nieruchomo, żywiąc wrażenie, że jest ona bardzo wrażliwą na ból, a który, spróbowałwszy poruszyć ją, znajduje, iż jest sparaliżowana...

— Czy chcesz pan powiedzieć, żeś stracił pamięć ?...

— Bynajmniej, przypominam sobie wszystko, cokolwiek wiąże się z mojem życiem dawniejszem, ale nie doznaję przytem żadnego głębszego wzruszenia. Przypominam sobie wszystko tak jasno, jak gdyby to się działo wczoraj, ale uczucia moje z powodu owych wspomnień, są tak słabe, jak gdyby nietylko faktycznie ale i w świadomości mojej oddzielał mnie od nich okres stuletni. Być może, iż dałoby się to również wytłumaczyć. Zaniana otoczenia oddala od nas obrazy przeszłości tak samo, jak i oddala czas... Kiedym po raz pierwszy

obudził się z letargu, życie moje uprzednie przedstawiało mi się, jak dzień wczorajszy, lecz teraz, kiedy już zaczął zapoznawać się z mojem otoczeniem nowem i rozumieć cudowne zmiany, które przeobraziły świat, nie jest już dla mnie rzeczą trudną, lecz przeciwnie bardzo łatwą, przedstawić sobie, żem przespał całe stulecie. Czy może pani wyobrazić sobie coś takiego, jak przeżycie stu lat w ciągu dni czterech? Mnie istotnie wydaje się, że właśnie tak było ze mną i że to przejście nadało tak odległy i nierealny pozór mojemu życiu dawniejszemu... Czy może pani wyobrazić sobie coś podobnego?..

— Mogę to zrozumieć... — odrzekła Edyta z namysłem — a sądzę, że wszyscy powinniśmy być wdzięczni za to, gdyż jestem pewna, oszczędziło to panu wiele cierpień...

— Niech pani wyobrazi sobie... — rzekłem, usiłując wytłomaczyć zarówno jej, jak i sobie samemu, dziwny mój stan umysłowy, że człowiek dowiaduje się o stracie jakiejś już po wielu, wielu latach, może po upływie połowy życia od czasu, gdy ją poniósł. Wyobrażam sobie, iż uczucia jego byłyby podobne do moich. Kiedy myślę o przyjaciółach z tamtego dawniejszego świata i o smutku, jaki musieli mieć z mego powodu, wówczas owłada mną tęskna zaduma raczej, nie zaś ból ostry, zupełnie jak gdyby jakieś dawno, dawno minione zmartwienie.

— Nie powiedziałaś nam pan nie jeszcze o swoich przyjaciółach... Czy wielu musiało oplakiwać zgon pana?..

— Na szczęście, miałem bardzo mało krewnych i to dalszych, ale był ktoś niekrewny, lecz droższy nad wszelkie więzy krwi... kobieta... Nosiła ona imię pani i miała być wkrótce moją żoną... Oh?..

— Oh!.. — westchnęła Edyta obok mnie. — Pomyśleć tylko, jaki ból serdeczny musiała cierpieć!..

Głębokie uczucie tego miłego dziewczęcia poruszyło jakąś strunę w mojem odrętwiałem sercu. Oczy me, zupełnie przedtem suche, napełniły się łzami, które dotychczas nie mogły się zjawić. Kiedym odzyskał równowagę, ujrzałem, że i Edyta rzewnie płakała.

— Dzięki pani za dobre serce... Czy chciałabyś pani zobaczyć jej obraz?..

Mały medalijonik z portretem Edyty Bartlett, zawieszony na złotym łańcuszku, spoczywał na piersi mojej przez cały czas długiego snu; dobywszy go, otworzyłem i podałem mej towarzyszce. Wzięła go skwapliwie, a popatrzawszy przez długi czas na łagodne oblicze zmarłej, dotknęła się go wargami.

— Wiem, że była dość dobrą i miłą, aby zasłużyć na pańskie lzy... — wyrzekła — ale pamiętaj pan, że ból jej serca dawno już przeminął.

Tak było istotnie. Jakimkolwiek był kiedyś jej smutek, prawie od stu lat przestała już płakać, to też po owym nagłym wybuchu namiętności lzy moje obeschły. Kochałem ją bardzo głęboko w mojem życiu dawniejszem, ale było to już przed stu laty. Może ktoś w wyznaniu mojem dopatrzy się braku uczucia, ale sądzę, że chyba nikt nie przechodził przez doświadczenie, o tyle do mojego podobne, iżby zdolnym był mnie sądzić. Kiedysmy mieli opuścić pokój, oczy moje spoczęły na wielkiej żelaznej szafie, stojącej w jednym z rogów. Zwracając na nią uwagę mej towarzyszki, rzekłem:

— Tutaj była nie tylko moja sypialnia, ale i skarbiec. Szafa tamta zawiera kilka tysięcy dolarów w złocie i pewną ilość rzeczy wartościowych. Gdybym wiedział, idąc spać owej nocy, jak długo będzie trwała moja drzemka, to i wówczas sądziłbym jeszcze, że złoto bę-

dzie dobrym środkiem zaspokojenia mych potrzeb we wszelkim, nawet najdalszym kraju i wieku. Uważałbym za najdziwniejszą fantazyję przypuszczenie, iż kiedykolwiek straci ono swą siłę. A jednak obudziłem się i to wśród ludzi, gdzie wór złota nie dałby mi nawet bochenka chleba...

Jak można było przewidywać, nie udało mi się wywołać w Edycie wrażenia, iż w fakcie ówym było coś godnego uwagi, zapytała się tylko :

— Dlaczegożby miało być inaczej?..

Rozdział XXI-szy.

Za namową doktora Leete, poranek następny mieliśmy poświęcić obejrzeniu szkół i kolegiów miasta, przy czem on sam miał udzielić mi niejakich objaśnień co do wychowawczego systemu w wieku XX.

— Spozrzedz pan... — rozpoczął rzecz swoją po śniadaniu — wiele bardzo ważnych różnic pomiędzy naszą a waszą metodą kształcenia, ale najgłówniejszą z nich jest ta, że dzisiaj każdy z nas ma taką sposobność pobierania nauk wyższych, z jakiej za waszych czasów korzystała tylko nieskończenie drobna cząstka ludności. Uzyskanie przez nas jednakich warunków dobrobytu fizycznego uważalibyśmy za rzecz niegodną wspomnienia, gdybyśmy nie zdobyli owej równości wychowawczej.

— Koszty tej zdobyczy muszą być bardzo wielkie... — rzekłem.

— Gdyby pochłoneła ona połowę narodowego dochodu, nikt nie żałowałby tego... — odpowiedział doktor Leete — a nawet ponoszono by taki wydatek, który

pozostawiały nam za ledwie na skromne utrzymanie... Ale w rzeczywistości, koszt wychowania 10,000 młodzieńców nie przewyższa dziesięciokrotnie, a nawet pięciokrotnie wydatków na wychowanie jednego tysiąca. Do spraw wychowania, tak samo, jak i do innych, stosuje się również zasada, dzięki której prowadzenie jakichkolwiek bądź robót na szerszą skalę jest stosunkowo tańsze, niż prowadzenie ich na małą...

— Wykształcenie w kolegium kosztowało za moich czasów straszliwie drogo...

— Jeżeli tylko nie wprowadzili mnie w błąd nasi dziejopisarze, to raczej marnotrawstwo i rozmaite wybryki w kolegiach, nie zaś wychowanie, pociągały za sobą znaczne koszty. Wydatek właściwy w waszych kolegiach był, jak się okazuje, bardzo nieznaczny, a mógłby być jeszcze mniejszy, gdyby dozór nad nimi większą odznaczał się ścisłością. Wykształcenie wyższe jest dzisiaj równie tanie, jak i niższe, gdyż nauczyciele wszelkich stopni, tak samo jak i wszyscy inni pracownicy, mają utrzymanie jednakie. Do panującego przed stu laty w stanie Massachusetts systemu wychowania przymusowego dodaliśmy po prostu kilka stopni wyższych, obowiązujących młodzieńca aż do roku 21 i dających mu to, co wyście nazywali edukacją dżentelmeńską; natomiast nie pozostawiamy go już własnemu przemysłowi w jakimś 14 lub 15 roku jego życia, bez żadnych zasobów umysłowych poza pisanie, czytaniem i tabliczką mnożenia...

— Nie mówiąc już o kosztach tych dodatkowych lat kształcenia... — odrzekłem — ale mybyśmy nie byli nigdy sądzili, iż możemy narażać się na stratę czasu, poświęcanego zajęciom przemysłowym... Dzieci klas uboższych w roku 16 lub wcześniej rozpoczynały za-

zwyczaj swój zawód, a w 20 roku bywały już z nim obeznane...

— Nawet pod względem korzyści materialnych nie możemy oddać pierwszeństwa waszemu planowi przed naszym. Większa sprawność, jaką nadaje wykształcenie wszelkiego rodzaju pracom, z wyjątkiem tylko najgrubszych, wynagradza nas prędko za czas, poświęcony na zdobycie go...

— Co do nas, to mogliśmy się również obawiać, że wyższe wykształcenie, przysposabiając ludzi do powołań wolnych, jednocześnie zniechęci ich do wszelkiego rodzaju ręcznej pracy...

— O ile czytałem, takim istotnie bywał skutek wyższego kształcenia się za dni waszych; nie też w ten dziwny, gdyż praca ręczna znaczyła wówczas tyle, co zespolenie się z grubą, nieokrzesaną i ciemną klasą ludności. Dziś klasy takiej nie mamy. Podobne uczucia były nieuchronnymi nadto dlatego jeszcze, iż rozumiano wówczas, że wszyscy ludzie, otrzymujący wykształcenie wyższe, przeznaczeni byli bądź do zawodów wolnych, bądź też do używania bogactw i wczasu, zaś takie same wykształcenie w człowieku, który ani bogatym nie był, ani też żadnej wolnej profesji nie uprawiał, było dowodem zawiedzionych dążeń, świadectwem niepowodzenia, piętnem niższości raczej, nie zaś wyższości. Dzisiaj, oczywiście, kiedy wykształcenie najwyższe uważa się po prostu za środek, przysposabiający ludzi do życia, bez wszelkiego uwzględnienia rodzaju wykonywanej przez nich pracy, nie rodzi już ono podobnych poglądów...

— Bądź co bądź... — rzekłem — żaden zasób wykształcenia nie może uleczyć tępości przyrodzonej albo wynagrodzić przyrodzonych braków umysłu. Jeżeli przeciętna skala przyrodzonych zdolności umysłowych

nie podniosła się dzisiaj w ludziach o wiele ponad poziom moich czasów, to wykształcenie wyższe musi być rzeczą prawie nie do zdobycia dla bardzo znacznej części narodu. Co do nas, to utrzymywaliśmy zawsze, iż dla każdego umysłu niezbędną jest pewna podatność na wpływy wykształcenia, jeżeli ma on zasługiwać na wyższe wykształcenie umysłowe tak samo, jak niezbędnym jest pewien stopień przyrodzonej żyzności gruntu, jeśli podjęta przez nim uprawa ma się opłacić.

— Jakże się cieszę, żeś pan użył takiego przykładu, gdyż jest to właśnie jeden z tych, jakie ja byłbym wybrał chętnie, aby zrozumiale przedstawić nowy pogląd na wykształcenie. Według pana to grunta o tyle jałowe, iż plon ich nie wynagrodzi pracy, uprawie nie podlegają. Niemniej wszakże, bardzo wiele gruntów nieopłacających w plonie swym kosztu poniesionej pracy, uprawiano tak za dni waszych, jak i dzisiaj. Mam tu na myśli ogrody, parki, łąki i w ogólności kawałki ziemi tak położone, iż gdyby pozwolono im zarastać zieleńcem i krzakami, rażyłyby nasze oczy i byłyby źródłem niewygody dla wszystkich. Uprawia się je przeto, a jakkolwiek plony są skąpe, można powiedzieć, iż, biorąc sprawę szerzej, nie ma gruntów, któreby lepiej wywdzięczały się za uprawę. Tak samo też dzieje się z mężczyznami i kobietami, z którymi obcujemy w stosunkach towarzyskich, których głosy brzmia nam ciągle w uszach i których zachowanie się tysiącnymi sposobami wpływa na nasze szczęście i których, jednym słowem, towarzystwo tak dalece jest warunkiem naszego życia, jak powietrze przy oddychaniu i tak dalej. Istotnie, gdybyśmy nie kształcili wszystkich, to chyba ludziom najbardziej nieokrzesanym i tępym z natury, nie zaś najzdolniejszym, umożliwialibyśmy właśnie zdobycie wykształcenia. Człowiek z natury inteligentny i

zdolny łatwiej może w sprawie rozwoju swego obyć się bez pomocy, niż ci, których przyroda uposażyła gorzej. Używając tu zwrotu, którym posługiwano się często za dni was ych, powiedziałbym, iż mybyśmy uważali, że nie warto jest żyć, gdybyśmy musieli istnieć w otoczeniu tłumów ciemnych, prostackich, nieokrzesanych i całkiem nieogładzonych mężczyzn i kobiet, jacy właśnie stanowili większość za dni waszych. Czyż człowiek będzie zadowolony, jeśli uperfumowawszy się sam, zmieszsa się z tłumem cuchnących? Czyż zadowolenie jego nie będzie bardzo mierne, gdy znajdzie się w komnacie bodaj pałacowej, której okna ze wszystkich stron będą wychodzić na stajnię?.. A jednak takim właśnie było położenie ludzi, którzy za dni pana uważanymi byli za najszcześniejszych pod względem wykształcenia i kultury. Wiem, że biedni i ciemni zazdrościli wówczas bogatym i wykształconym; ale dla nas, ci ostatni, żyjący w otoczeniu niechlujstwa i zbydlęcenia, nie o wiele godniejszymi są zazdrości od tamtych. Człowiek wykształcony z epoki pańskiej podobny był do kogoś takiego, coby ugrzązłszy po szyję w cuchnącem bagnie, pocieszał siebie flaszką wonnego płynu. Pojmujesz pan może teraz, w jaki sposób my zapatrujemy się na sprawę wychowania wyższego. Trudno o rzecz dla człowieka ważniejszą, jak otoczenie inteligentnych i dobranych pod względem towarzyskim osób... Ze wszystkiego przeto, co uczyniłby naród, nie tak nie wpłynie na pomyślność każdego pojedynczego człowieka, jak rozpowszechnienie wykształcenia... Gdy tego naród nie czyni, wówczas doniosłość zdobytej wiedzy dla jednostki wykształconej zmniejsza się dla niej samej o połowę i często rozmaite upodobania, które ona w sobie rozwinięła, stają się dla niej najpewniejszym źródłem przykrości... Podnosić możliwie naj-

wyżej wykształcenie osób niektórych, pozostawiając masę całkiem niewykształconemi, jakieście wy czynili, znaczy to tworzyć pomiędzy nimi przepaść prawie tak wielką, jak pomiędzy odrębnymi gatunkami, nie mającymi możności porozumiewania się... Cóż mogłoby być bardziej nieludzkim nad owe wyniki częściowego uprzystępnienia oświaty wyższej... Upowszechnienie i zrównanie warunków zdobycia jej pozostawia wprawdzie pomiędzy ludźmi tak wybitne różnice co do uzdolnień przyrodzonych, jak i te, które istnieją w stanie natury; ale poziom istot najniższych podnosi się przez to znakomicie... Bydlęcość zostaje usunięta, wszyscy mają w sobie wówczas jakiś oddźwięk człowieczeństwa, jakieś rozumienie spraw duchowych, oraz podziw dla wyższej jeszcze kultury, jakiej sami osiągnąć nie mogli... Wszyscy stają się wówczas zdolnymi do odczuwania i wywierania, w stopniu rozmaitym, rozkoszy i wpływów podnioslejszego życia towarzyskiego... Czyż wykształcone towarzystwo wieku XIX go nie istniało nakształt drobniutkich oaz, rozproszonych tu i owdzie wśród nieprzerwanej dzikiej pustyni... Garstka osobników, zdolnych do sympatyj intelektualnych, albo do obcowania podnioslejszego, była w stosunku do masy współczesników swoich tak niewielką, iż, ogarniając wzrokiem całą ludzkość, nie warto prawie o niej wspominać... Jedno pokolenie świata dzisiejszego puzedstawia większy zasób umysłowego życia, niż pięć długich wieków w dalszej lub bliższej przeszłości... Jest jeszcze wzgląd inny, o którym powinienem wspomnieć, wyliczając zasady możliwie najlepszego wykształcenia: jest to mianowicie wzgląd na to, aby pokolenia przyszłe miały wykształconych rodziców... Mówiąc krótko, trzy są główne podstawy naszego systemu wychowawczego: po pierwsze, prawo każdego człowieka do wykształce-

nia najzupełniejszego, jakie mu dać może naród dla niego samego, dla jego pomysłności; powtóre, prawo jego współobywateli, prawo wykształcenia go, jako niezbędnego dla nich towarzysza; po trzecie, prawo istot nieurodzonych jeszcze do zapewnienia sobie inteligentnych i oświeconych rodziców...

— Nie będę opisywał szczegółowo tego, com widział wówczas w szkołach; ponieważ w życiu mojem dawniejszem niezbyt obchodziły mnie sprawy wychowawcze, przeto niewiele zestawień ciekawych mógłbym uczynić. Obok faktu powszechności zarówno wyższego, jak i niższego wykształcenia, uderzyła mnie najbardziej wybitna rola, jaką nadano wychowaniu fizycznemu, oraz ten fakt, że zarówno postępy w ćwiczeniach fizycznych i zabawach, jak i w naukach, wpływały na ocenę uczniów...

— W sprawie wychowania... — objaśnił doktor Leete — jednako podlegają kontroli zdolności naszego ciała, jak i ducha... Zarówno najwyższy rozwój fizyczny, jak i duchowy rozwój każdego z nas jest przedmiotem jego „curriculum vitae“ od 6 do 21 roku życia...

Silne wrażenie wywarł na mnie widok przepysznego zdrowia młodzieży szkolnej... Już dawniejsze moje spostrzeżenia, co do osobistych przymiotów nie tylko rodziny mego gospodarza, ale i osób napotykanych w czasie moich wędrówek, naprowadziły mnie na myśl, że od czasów moich musiała chyba nastąpić jakaś ogólna poprawa fizycznego stanu rasy; teraz zaś, kiedy porównywałem tych dzielnych młodzieńców, oraz świeże, silne dziewczęta z młodzieżą, widywaną niegdyś w szkołach wieku XIX, nie mogłem się powściągnąć od podzielenia się myślą moją z doktorem. Słuchał on z wielką ciekawością tego, com mówił.

— Świadectwo pana pod tym względem jest nieoce-

nione... My sami wierzymy, iż nastąpiła taka poprawa, ale, naturalnie, jest to tylko nasz pogląd teoretyczny. Dzięki wyjątkowemu położeniu swemu, pan jeden na całym świecie dzisiejszym możesz odzywać się tutaj, jako powaga. Zdanie pańskie, gdy je wygłosisz publicznie, wywoła z pewnością wrażenie głębokie... Zresztą, dziwnem byłoby chyba, gdyby nie nastąpiła owa poprawa rasy. Za dni waszych bogactwo wyniszczało jedną klasę ludności lenistwem ducha i ciała, gdy tymczasem nędza podkopywała żywotność mas nadmiarem pracy, złem pożywieniem i zabójczymi mieszkaniem... Praca, jakiej wymagano od dzieci, oraz ciężary, wkładane na kobietę, osłabiały wszelką latorośl życia. Dzisiaj, zamiast owych okoliczności zabójczych, wszyscy korzystają z najbardziej sprzyjających warunków życia fizycznego; młodzież odżywiana jest troskliwie i pilnie pielęgnowana; praca, jakiej wymagamy od wszystkich, ograniczona jest do wieku największej siły cielesnej i nigdy nie bywa nadmierną; troska o siebie samego i o rodzinę, niepokój o środki utrzymania, brzemień nieustannej walki o byt, wszystkie te wpływy, które niegdyś tak bardzo szkodziły umysłom i ciałom mężczyzn i kobiet, nie są już dzisiaj znane... Niewątpliwie, następstwem takiej zmiany musiała być poprawa gatunku... Pod niektórymi względami szczególnymi jesteśmy nawet tego pewni. Tak np. obłąkania, które w wieku XIX-tym stanowiły tak pospolite następstwo waszego niezdrowego trybu życia, znikły dziś prawie całkowicie wraz z jego towarzyszem... samobójstwem...

Rozdział XXII-gi

Umówiliśmy się z paniami, że się spotkamy w restau-

racyi publicznej, na obiedzie. Po spożyciu go opuściły nas one, udając się z jakąś wizytą, my zaś, siedząc jeszcze u stołu, rozmawialiśmy o cygarach naszych, o winie i o mnóstwie przedmiotów innych.

— Doktorze... — mówiłem w dalszym ciągu naszej pogawędki — ze stanowiska moralności wasz system jest taki, że byłbym chyba bezmyślnym, gdybym nie podziwiał go, zestawiając z jakimkolwiek innym ustrojem na świecie, zwłaszcza zaś z systematem mego nieszczęśliwego wieku... Gdybym zapadł znowu w letarg i gdyby w ciągu tego snu, równie długiego, jak uprzedni, świat, zamiast posuwać się naprzód, cofnął się wstecz, gdybym, obudziwszy się wśród wieku dziewiętnastego, opowiedział mym przyjaciółom o tem, co widziałem, zgodziliby się oni na pewno, że świat wasz był rajem porządku, sprawiedliwości i szczęśliwości. Ale współcześni nasi byli ludźmi bardzo praktycznymi; to też, wynurzywszy swój podziw dla piękności moralnej i dla materyjalnej świetności waszego systemu, niechybnie zapytaliby zaraz, jak zdobywaliście środki uczynienia każdego tak szczęśliwym. Niewątpliwie bowiem utrzymanie całego narodu na takiej stopie wygody, a nawet zbytku, jakie widzę dokoła, musi wymagać posiadania większych bogactw, niż te, jakie wytwarzał naród za dni moich... Otóż, jakkolwiek mógłbym im wytłomaczyć prawie wszystkie inne głównejsze rysy waszego systemu, nie byłbym w możności odpowiedzenia im na to pytanie; w takim zaś razie oni, jako ludzie ściśle rachunkowi, powiedzieliby, że mi się to wszystko śniło i nigdy nie uwierzyliby, że było inaczej. Za dni moich, o ile wiem, gdyby nawet cały roczny wytwór pracy narodowej podzielono równo pomiędzy wszystkich, na głowę, nie wypadłoby więcej nad jakich dolarów trzysta, t. j. nie o wiele więcej

nad to, co potrzeba dla zaspokojenia najniezbędniejszych potrzeb życia, oraz niektórych może wymagań wygody. W jaki sposób wy macie dziś tak dalece więcej?..

— Pytanie bardzo rozsądne, panie West... — odparł doktor Leete — to też nie miałbym za złe pańskim przyjacielom, gdyby w razie niezaspokojenia przez pana owej ciekawości, całe opowiadanie jego uznali za mrzonkę. Jest to pytanie, na które nie mogę odpowiedzieć wyczerpująco na jednym posiedzeniu, a nadto co do cyfr statystycznych dokładnych, mających popierać moje twierdzenia ogólne, to musiałbym odesłać pana do książek, znajdujących się w mojej bibliotece; ale okrucieństwem byłoby, bezwątpienia, oddawać pana na pastwę pańskich dawnych znajomych, nie udzieliwszy mu choć paru wskazówek... Zaczniemy tu od pozycji skromniejszych, pozwalających nam na robienie większych oszczędności, niżeli były wasze... My nie mamy żadnych długów narodowych, krajowych, prowincjonalnych, długów hrabstwa albo też miejskich; nie płacimy za nie procentów... Nie miewamy żadnych wydatków wojennych, na lądzie albo morzu, ani w ludziach, ani w materyałach; nie mamy wojska, floty albo milicyi... Nie mamy żadnej służby dochodów, całej zgrai asesorów podatkowych lub poborców... Co do naszych władz sądowniczych, policyi, szeryfów i innych, to taki ich zastęp, jakiego niegdyś potrzebował sam tylko stan masaczuzetski lub jakaś prowincyja, dzisiaj aż nadto wystarcza na potrzeby całego narodu... Nie mamy klasy przestępców, czyhających na mienie społeczne, jak to było u was... Liczba osób, mniej albo więcej nieudolnych do pracy: kulawych, chorych lub niedołącznych, które były takim brzemieniem dla zdrowych w pańskim czasie, dzisiaj, kiedy wszyscy żyją w warunkach, odpowiadających wymaganiom zdrowia i wygody,

zmniejszyła się do ilości prawie niedostrzegalnej i z każdym pokoleniem dąży do coraz zupełniejszego zaniku. Innem źródłem naszych oszczędności jest wyjście z użycia pieniędzy, oraz usunięcie tysiącznych zatrudnień, związanych z operacjami finansowemi wszelkiego rodzaju, dzięki którym dawniej odciągało się całą armię pracowników o i zajęć pożyteczniejszych. Zważ pan również, że i marnotrawstwo wielkich bogaczy na ich bezładny zbytek osobisty ustało także jakkolwiek, co prawda, to źródło oszczędności łącno może być przecenionem... Dalej, zważ pan, że nie ma obecnie próżniaków, ani bogatych, ani biednych, że nie ma trutniów. Jedną z bardzo ważnych przyczyn dawniejszego ubóstwa było wielkie marnowanie pracy i materiałów, wynikające z domowego prania, gotowania, oraz wykonywania osobno mnóstwa innych robót, do których teraz zastosowaliśmy plan kooperacyjny, to jest system współdzielczy... Większą jeszcze od tych wszystkich oszczędność, tak jest, większą od wszystkich razem, osiągnęliśmy przez organizację naszego systemu rozdzielczego, dzięki któremu praca, wykonywana niegdyś przez kupców, handlarzy, składników, z całą armiją ich przedstawicieli, hurtowników, sprzedawców detalicznych, agentów, komiwojażerów i pośredników tysiąca rodzajów, przyczem marnowało się niezmiernie dużo energii na niepotrzebne przewozy i nieskończone manipulacje, obecnie wykonywaną jest przez dziesiątą część owych rąk i bez jednego niepotrzebnego obrotu koła... Wie pan już, jakim jest mniej więcej nasz system rozdzielczy. Statystycy nasi obliczają, że jedna osmdziesiąta część naszych pracowników wystarcza do załatwienia wszystkich spraw podziału, które za dni waszych potrzebowały ósmiej części całej ludności, tyle bowiem odciągano od pracy produkcyjnej!

— Zaczynam już pojmować... — rzekłem — z kądem czerpicie wasze większe bogactwa...

— Przepraszam, ale pan jeszcze wszystkiego nie widzisz... Oszczędności, o jakich wspomniałem dotąd w całości, uwzględniając pracę zaoszczędzoną przez nie bezpośrednio lub pośrednio, przez zaoszczędzenie materiału, mogłyby mniej więcej powiększyć wasz dochód dawniejszy o połowę... Pozycje te jednak nie zasługują prawie na wzmiankę w porównaniu z innymi przykładami olbrzymiego marnotrawstwa, dzisiaj już nieistniejącego, a które wyływało nieuchronnie z pozostawienia narodowego przemysłu w rękach prywatnych. Jakkolwiek znaczne oszczędności mogłyby wprowadzać współcześni pana w spożyciu, jakkolwiek cudownymi byłyby postępy mechaniki, nigdy nie byłoby się wzniesło ono ponad poziom miernego ubóstwa, gdyby się trzymali swego systemu... Trudno wynaleść bardziej marnotrawny sposób użytkowywania energii ludzkiej, jakoż ku obronie umysłowości człowieka dodać należy, iż system ów nigdy nie był wynajdywanym, że stanowił on tylko objaw szcątkowy wieków barbarzyństwa, kiedy organizacja społeczna uniemożliwiała wszelkie współdziałanie...

— Łatwo się zgodzę, że nasz system przemysłowy był bardzo zły pod względem moralnym, ale, bez uwzględniania stopy moralnej, jako machina, wytwarzająca bogactwa, wydawał się on nam przedziwnym...

— Jakem już powiedział, przedmiot ten jest zbyt obszerny, abyśmy go teraz roztrząsać mogli w całości; jeżeli jednak pragniesz pan poznać główne zarzuty, jakie my, nowożytni, robimy waszemu systemowi przemysłowemu, zestawiając go z naszym, to dotknę tu niektórych z pomiędzy nich... Straty, wynikające z pozostawiania kierownictwa przemysłu nieodpowiedzial-

nym jednostkom bez jakiegokolwiek bądź porozumiewania się ich lub spójności działań, dadzą się sprowadzić do czterech głównych punktów: naprzód straty z przedsięwzięciw poronionych; powtóre ze współubiegania się i nastroju wrogiego przemysłowców; po trzecie straty z peryjodycznych zastojuw i przesileni, oraz wynikającej ztąd przerwy w robotach; po czwarte straty z martwych kapitałow i pracy w każdym czasie... Każda z tych czterech wielkich przeszkód, gdyby nawet wszystkie inne nie działały, wystarczyłaby do wytworzenia ogromnej różnicy w stanie majątkowym narodu... Na początek weźmy tu straty z przedsięwzięciw chybiomych. Za dni pana, kiedy wytwarzanie i podział towarow nie podlegały żadnej organizacyi lub zgodności, nie było sposobu dowiedzieć się dokładnie ani o tem, jaki mógł być popyt na daną klasę towarow, ani o tem, jaką była ich podaż. Tym sposobem wszelkie przedsięwzięcia prywatnego kapitalisty bywały doświadczeniem wątpliwem. Przedsiębiorca, nie ogarniając wzrokiem całego pola przemysłu i spożycia, jak to czyni teraz nasz rząd, nie mógł nigdy być pewnym ani tego, czego naród potrzebował, ani też tego, jakie środki obmyślają inni kapitaliści dla zaspokojenia owych potrzeb... Oto, dlaczego nie dziwi nas, gdy się dowiadujemy, że zwykle szansa nieudania się jakiegoś przedsięwzięcia bywała kilkakrotnie większa, niż szansa jego powodzenia, oraz, że osobom, którym wreszcie powiodło się jako tako, zdarzało się bankrutować raz po raz. Gdyby szewe, na każdą parę trzewikow, jaką mu się udało sprzedać zyskownie, musiał marnować materyjał czterech lub pięciu par niesprzedanych, nie licząc straconego na nie czasu, to właśnie miałyby takie same szanse z bogacenia się, jak wasi współczesi z ich systemem przedsięwzięciw prywatnych, oraz z ich cztero lub

pięcio-krotnem bankructwem na jedno powodzenie... Dalej, źródłem ogromnych strat było współzawodnictwo. Dziedzina przemysłu była polem walki, rozległem jak świat, gdzie pracownicy, napastując się wzajem, trwonili energiję, która, gdyby ją zużytkowano tak, jak dzisiaj, w usiłowaniu zgodnem, byłaby wzbogaciła wszystkich... W wojnie tej nie było nawet mowy o oszczędzaniu kogoś lub o darowaniu życia. Rozmyślne wchodzenie na owo pole i burzenie przedsiębiorstw, istniejących uprzednio, w celu usadowienia się na ich ruinach z przedsiębiorstwem własnem, stanowiło czyn bohaterski, budzący zawsze podziw ogółu. Nie masz w tem wcale przesady, gdy się porównywa ten rodzaj walki z wojną istotną, o ile porównanie to dotyczy męczarni duchowych i fizycznych cierpień, jakie towarzyszyły walce, oraz nędzy, która przytłaczała tak zwyciężonych, jak i tych, co od nich byli zależnymi. Odnośnie do waszych czasów, nie tak na pierwszy rzut oka nie zdumiewa człowieka nowożytnego, jak ten fakt, że ludzie, oddani jednemu jakiemuś przemysłowi, zamiast zbratać się ze sobą, jako towarzysze lub współpracownicy, dążący do jednego celu, spoglądali na siebie raczej, jak na współzawodników i wrogów, których należało zdławić i obalić. Bezwątpienia zakrawa to na wierutne szaleństwo, na scenę w domu waryjatów; ale przy bliższem rozejrzeniu się, wygląda zgoła inaczej... Współcześnicy wasi, z ich wzajemnem mordowaniem się, wiedzieli bardzo dobrze, co robili. Wytwórcy wieku XIX nie pracowali tak, jak nasi dzisiaj razem, ku utrzymaniu społeczności, ale każdy z nich kosztem społeczności pracował na wzbogacenie się własne. Jeżeli, pracując w ten sposób, którykolwiek z nich powiększał jednocześnie bogactwo już nagromadzone, to był to tylko przypadek. Równie łatwem i równie po-

spolitem bywało też powiększanie dóbr osobistych przez praktyki szkodzące dobrobytowi ogólnemu. Najgorszymi nieprzyjaciołmi każdego bywali z konieczności pracownicy jego zawodu, gdyż przy waszym systemie ciągłego zysków prywatnych pobudka wytwarzania, t. j. pewien brak wytwarzanego produktu, był przedmiotem pożądań każdego z poszczególnych wytwórców. W interesie jego było to, iżby nie produkowano więcej, aniżeli on sam mógł wyprodukować. Stałem jego usiłowaniem było zapewniać sobie, w miarę okoliczności, takie spożycie przez zabijanie i zniechęcanie tych, którzy oddawali się temu samemu przemysłowi. Kiedy już zabił wszystkich, kogo tylko mógł, wówczas polityka jego polegała na kojarzeniu się z tymi, których nie mógł zabić, oraz na zamianie walki wewnętrznej na walkę przeciwko całemu ogółowi, a to przez owładnięcie rynkiem, jakieście wy, o ile wiem, nazywali tę operację, oraz przez podniesienie cen do wysokości, jaką tylko mogli tolerować kupujący. Marzeniem wytwórcy wieku XIX było zdobycie bezwzględnej władzy nad podażą jakiegoś wytworu niezbędnego, tak, iżby mógł utrzymywać zawsze publiczność w obawie niedostatku i naznaczać ceny głodowe na swój wyrób. To właśnie, panie West, nazywało się w dziewiętnastym wieku systemem produkcji. Sam pan osądź, czy w znacznej mierze i pod wieloma względami nie było to raczej podobnem do jakiegoś systemu tamowania produkcji. Kiedyś, gdy będziemy mieli dość czasu, poproszę pana, abys usiadł ze mną i dopomógł mi do zrozumienia tego, czego nigdy pojąć nie mogłem, jakkolwiek przedmiotowi temu poświęciłem sporo uwagi: w jaki sposób tak mądry ludzie, jakimi byli pańscy współcześni, mogli tak często powierzać sprawę zaspakajania potrzeb społeczności osobom, w których interesie było głodzenie

jej. Zapewniam pana, iż dziwił się nie temu, że świat nie bogacił się przy takim systemie, ale temu, iż nie zginął on marnie z niedostatku. Zdziwienie to rośnie, gdy rozważamy inne jeszcze olbrzymie straty, jakie cechowały ów system... Oprócz marnowania pracy i kapitału przez złe kierownictwo przemysłu, oraz wskutek ciągłego wycieńczania się w waszej przemysłowej walce, system wasz podlegał co pewien czas konwulsyjom, pokonywającym zarówno mądrych, jak i głupich, zarówno szczęśliwego opryszka, jak i jego ofiarę. Mam tu na myśli przesilenia przemysłowe, zdarzające się w odstępach lat pięciu lub dziesięciu. druzgoczące przemysł narodu, obalające wszystkie przedsiębiorstwa słabsze i dające się we znaki nawet najsilniejszym, przesilenia, po jakich następowały długie, niekiedy wieloletnie okresy t. zw. zastoju, w ciągu których kapitaliści zbierali na nowo rozproszone swe siły, zaś klasy pracujące konały z głodu i burzyły się. Potem następowała znowu krótka doba pomyślności, a po niej z kolei nowe przesilenie oraz idące za niem lata wyczerpania się... W miarę rozwoju handlu, który sprowadzał zależność międzynarodową, przesilenia te stawały się wszechświatowymi, gdy tymczasem stan upadku przeciągał się zwykle z tem większym uporem, im szerszą bywała przestrzeń, objęta przez owe konwulsyje, a tem samem, im większy bywał brak centrów wiążących. W miarę tego, jak mnożyły się i komplikowały gałęzie przemysłu na świecie, jak się powiększał rozmiar wprowadzanego w grę kapitału, owe przewroty stawały się coraz częstszymi, aż nakoniec w ostatniej cząstce wieku dziewiętnastego przypadało dwa lata czasów złych na jeden rok dobry, systemowi zaś przemysłu, który nigdy przedtem nie był tak rozległym, ani tak imponującym, zdawało się grozić niebezpieczeństwo zapadnięcia się

pod własnym jego ciężarem. Po niezliczonych roztrząsaniach ekonomiści owocześni doszli, jak się zdaje, do rozpaczliwego wniosku, że zapobieżenie owym kryzysom lub kontrola ich były równie niemożliwe, jak o władnięcie powodzią albo huraganem. Pozostawało więc tylko poddawać się im, jako złu koniecznemu, zaś po przeminięciu ich rozpoczynać na nowo stawianie zgruchotanej budowy, tak samo, jak mieszkańcy kraju nawiedzanego przez trzęsienie ziemi odbudowywują swe miasta na tem samem miejscu... Spółcześnicy pana mieli niewątpliwie słuszość w ocenianiu przyczyn owych zaburzeń, właściwych ich przemysłowemu systematowi. Przyczyny te tkwiły u samych jego podstaw i musiały stawać się coraz szkodliwszemi, w miarę rozrastania się i komplikowania spraw przemysłowych. Jedną z takich przyczyn był brak kontroli wspólnej nad rozmaitemi gałęziami przemysłu, a ztąd niemożność porządku, czyli równomiernego ich rozwoju. Nieuchronnem owego braku następstwem było to, że ustawicznie zawadzały one sobie, oraz, że nie mogły przystosować się do popytu... Popyt nie miał żadnego takiego probierza, jaki my mamy dzisiaj, dzięki naszemu podziałowi zorganizowanemu; to też przy pierwszej wieści o tem, iż podaż przekroczyła gdziekolwiek wymagania popytu, zjawiał się zaraz spadek cen, bankructwo wytwórców, powstrzymanie produkcji, zmniejszenie płacy zarobkowej albo odprawianie pracowników... Proces ten odbywał się ciągle w rozmaitych dziedzinach przemysłu, nawet za tak zwanych czasów dobrych, przesilenie zaś zdarzało się tylko wtedy, gdy dotkniętymi bywały większe gałęzie przemysłu. Rynki przepełniały się towarami, których, ponad potrzebę swoją nikt brać nie chciał za cenę najniższą... Ponieważ płaca i zyski odnośnych wytwórców zmniejszały się lub ustawały cał-

kowicie, przeto ich siła kupcza, jako spożywców innych towarów, których nie było w nadmiarze, znikła również, w następstwie zaś tego takie nawet wyroby, którym nadprodukcja przyrodzona nie groziła, nagromadzały się sztucznie, aż w końcu ceny ich również spadały, wytwórcy zaś pozbawieni bywali pracy i dochodu. Przesilenie trwało wówczas w całej swej mocy i nie nie mogło powstrzymać go aż do chwili, gdy roztrwonio im został cały zasób danego narodu. Jedną z właściwych waszemu systemowi przyczyn, wywołujących często przesilenia, a zawsze pogarszających je straszliwie, była cała wasza machina pieniężno-kredytowa. Pieniądze stanowiły rzecz niezbędną, kiedy produkcja znajdowała się w wielu rękach prywatnych, oraz kiedy grupowanie i sprzedawanie było nieuniknionym środkiem zaspakajania potrzeb. Pomimo to jednak takie stawianie jakiejś fikcji urojonej na miejsce rzeczywistej żywności, odzieży albo innych przedmiotów, podlegało zarzutom oczywistym... Pogmatwanie pojęć, któremu sprzyjał taki stan rzeczy, pomięszanie w myśli towarów z ich pieniężną reprezentacją otwierało drogę systematowi kredytowemu, oraz jego potwornym złudzeniom. Ludzie, przyzwyczajeni już przyjmować pieniądze zamiast towarów, zaczęli rychło przyjmować obietnice zamiast pieniędzy i przestali zgoła doszukiwać się rzeczy reprezentowanej poza reprezentacją... Pieniądze były jakby znakiem towarów rzeczywistych, lecz kredyt był tylko znakiem znaku. Dla złota i srebra, t. j. dla pieniędzy właściwych istniała pewna granica przyrodzona, ale dla kredytu granicy żadnej nie było... W następstwie tego, rozmiary kredytu, t. j. obietnic pieniężnych, przestały jako tako odpowiadać zasobom pieniędzy, zaś jeszcze mniej zasobom istniejących naprawdę towarów. Przy takim systemie, częste i pery-

jodyczne przesilenia stały się nieuchronnem następstwem prawa, tak bezwzględne, jak to, dzięki któremu budowla wszelka po przesunięciu środka jej ciężkości upada na ziemię... Należało to do waszych urojeń, że tylko rząd, oraz banki przezeń upoważnione, wypuszczały pieniądze; ale każdy, kto tylko otwierał kredyt na jednego dolara, również wypuszczał pieniądze, które tak dobrze, jak i inne, rozdymały cyrkulację aż do czasu najbliższego przesilenia. Znaczne rozszerzenie się systemu kredytowego, stanowiło cechę charakterystyczną ostatniej części dziewiętnastego stulecia i w znacznej mierze tłumaczy nam owo nieustające prawie przesilenie w interesach, jakie cechowało ów okres. Jakkolwiek był zgubnym kredyt, nie mogliście się bez niego obejść, gdyż nie mając ani narodowej, ani żadnej innej publicznej organizacyi kapitałów krajowych, znajdowaliście w nim jedyny środek koncentrowania i kierowania ich ku celom przedsiębiorstw przemysłowych. W ten sposób kredyt stawał się najpotężniejszym środkiem powiększania głównego niebezpieczeństwa przemysłowego systemu przedsiębiorstw prywatnych, a to pozwalając przemysłom poszczególnym pochłaniać nieodpowiednie zasoby rozporządzalnego kapitału krajowego i przygotowywać w ten sposób klęskę. Przedsiębiorstwa były zawsze mocno zadłużone, dzięki kredytowi, tak jedne względem drugich, jakoteż względem banków i kapitalistów, a nagłe zamykanie tegoż kredytu przy najpierwszych oznakach przesileni było zazwyczaj przyczyną przyspieszania ich... Niestety też pańskich współczesników było to, iż musieli całą maszynę swych interesów spajać takim cementem, który w razie wypadku mógł w jednej chwili zamienić się na środek wybuchowy... Byli oni w położeniu człowieka, któryby budował dom, posługując się dynamitem zamiast wa-

ma, z niczem bowiem innym nie można porównać kredytu... Aby zobaczyć, o ile nie były koniecznością owe konwulsyje przedsiębiorstw, o jakich mówiłem, oraz, jak dalece wynikały one z faktu powierzania przemysłu kierownictwu prywatnemu i niezorganizowanemu, rozważ pan teraz sposób działania systemu naszego. Nadprodukcya w pewnych zakresach, która była istnym złym duchem pańskich czasów, obecnie jest niemożliwa, gdyż dzięki zespoleniu podziału i wytwarzania, tak przystosowano podaż do popytu, jak maszynę do regulatora, miarkującego jej szybkość... Co większa, wyobraźmy sobie, iż wskutek błędu w rachunkach, ukaze się nadmierna produkcya któregoś z towarów. Wynikłe ztąd osłabnięcie albo ustanie produkcji w danym zakresie nikogo nie pozostawi bez zajęcia... Zawieszeni w czynnościach pracownicy, natychmiast znajdują robotę w wielu oddziałach innych, olbrzymie pracownie stracą jedynie czas na zmianę zajęcia; z drugiej zaś strony, co do nagromadzania się towarów, to przedsiębiorstwo narodu jest dość wielkie, aby mogło znosić pewien nadmiar wytworu aż do chwili, kiedy popyt zapanuje znowu nad podażą. W takim przypuszczalnym wypadku nadprodukcji, żadna maszyneryja złożona nie wykoleja się u nas, tak jak to u was było, ze swojej drogi i nie powiększa przez to tysiąckrotnie zamieszania pierwiastkowego... Rzecz jasna, że, nie mając nawet pieniędzy, tembardziej nie posiadamy też kredytu... Wszelkie nasze oceny dotyczą przedmiotów rzeczywistych: mąki, żelaza, drzewa, wełny i pracy, których pieniądze i kredyt były przedstawicielami bardzo białymutnymi. W naszych obliczeniach kosztu nie może być żadnych nieporozumień. Od wytworu rocznego odejmuje się pewien zasób niezbędny do utrzymania ludzi, oraz pracę potrzebną do zaspokojenia przewidywanego spo-

zycia przyszło-rocznego. Pozostała część materyjału i pracy może już bezpiecznie użytą być na ulepszenia... Jeżeli żniwa są skape, to przewyżka na rok następny będzie mniejsza, niż zwykle, i na tem koniec. Z wyjątkiem pewnych przypadkowych skutków takich przyczyn naturalnych, sprawy nasze nie podlegają żadnym fluktuacyjom innym; materyjalna pomyślność narodu przepływa nieprzerwanie od jednego pokolenia do drugiego, jakby jakaś rzeka coraz szersza i coraz głębsza. Same te wasze przesilenia, panie West... — ciągnął dalej doktor — tak samo, jak każda z owych wielkich wzmiankowanych przezemnie strat, mogłyby zmusić was do ciągłego klepania biedy, ale mam tu wspomnieć jeszcze o innej wielkiej przyczynie waszego ubóstwa, a była nią bezczynność wielkiej części waszego kapitału i pracy... U nas rzeczą jest administracyi, aby najmniejsza odrobina rozporządzalnej pracy i kapitału ustawicznie była zajęta. Za dni waszych nie było żadnej ogólnej kontroli tak kapitału, jak i pracy, to też często jedno i drugie nie mogło znaleźć odpowiedniego zajęcia. Kapitał, mawialiście zwykle, jest z przyrody swej bojaźliwy, jakoż byłby on bezwątpienia niebacznym, gdyby nie zdradzał obawy w epoce, kiedy istniało wielkie prawdopodobieństwo, że wszelkie dane przedsięwzięcie może zakończyć się niepowodzeniem. Nigdy nie bywało tak, iżby w razie zapewnienia mu gwarancyi, kapitał, poświęcany przemysłowi produkcyjnemu, nie był się znacznie powiększył. Część jego zużytkowywana w ten sposób, podlegała ciągłym zmianom niezwykłym, odpowiednio do słabszego lub silniejszego odczuwania, niepewności albo trwałości w ogólnej sytuacji przemysłowej, tak, że wydajność narodowego przemysłu niezmiernie zmieniała się w różnych latach. Ale z tej samej przyczyny, dla jakiej ilość kapitału

zużytkowanego w czasach szczególnie niepewnych, była o wiele mniejszą, niż w czasach pewniejszych nieco, z tej samej przyczyny bardzo znaczna część jego nigdy nie podlegała zużytkowaniu, gdyż ryzyko nawet w czasach najlepszych było bardzo wielkie... Należy również zaznaczyć, że wielkie zasoby kapitału, szukającego zawsze zajęcia, gdy tylko przedstawiało się jakie takie bezpieczeństwo, straszliwie zaogniały współzawodnictwo pomiędzy kapitalistami, kiedy się otwierała jakaś możliwość zużytkowania go. Bezczynność kapitału, będąca wynikiem jego bojaźliwości, pociągała naturalnie za sobą bezczynność pracy, w stopniu odpowiednim. Co większa, wszelka zmiana w układzie interesów, wszelkie najłżejsze przeobrażenie warunków handlu i przemysłu, nie mówiąc już o niezliczonych bankructwach i niepowodzeniach, zdarzających się rok rocznie nawet w czasach najlepszych, ustawicznie pozabawiały zajęcia mnóstwo ludzi na czas kilku tygodni, miesięcy albo lat nawet. Wielka liczba owych poszukiwaczy pracy ustawicznie przebiegała kraj, stanowiąc z czasem zastęp naprzód zawodowych włóczęgów, a później przestępców. Pracy! pracy! taki był okrzyk całej armii owych niezajętych w każdej prawie porze roku, zaś w okresach zastoju, armija ta stawiała się zastępem tak wielkim i zrozpaczonym, iż groziła trwałości rządu. Czyż mógłby być bardziej zrozumiały i przekonywający dowód niedorzeczności systemu przedsiębiorstw prywatnych, mającego służyć ku wzbogaceniu narodu, niż ten fakt, iż w wieku tak powszechnego ubóstwa i wszelkiego braku, kapitaliści musieli się mordować wzajemnie, chcąc znaleźć bezpieczne umieszczenie kapitału, pracownicy zaś burzyli się i szczyli zniszczenie, nie mogąc znaleźć roboty...

— Teraz, panie West... — mówił dalej doktor Lecte

— muszę przypomnieć panu, że punkty, o jakich tu mówiłem, wskazują tylko negacyjnie korzyści narodowej organizacyi przemysłu, a to odstawiając pewne braki fatalne i potworne niedorzeczności systemu przedsiębiorstw prywatnych. Same już te wskazówki, musisz się pan zgodzić, mogłyby wytłomaczyć panu, dlaczego naród jest dzisiaj tak dalece bogatszym, niż za dni waszych... Ale o znaczniejszej części naszej przewagi nad wami, o stronie jej pozytywnej dotychczas prawie nie mówiłem. Przypuśćmy, że system prywatnych przedsiębiorstw przemysłowych nie przedstawiałby żadnego z owych wielkich, wzmiankowanych przezemnie braków; że nie byłoby tam żadnych strat z powodu złego skierowania wysiłków, płynącego z nieporozumień co do podaży, że nie byłoby owej nieudolności ogólnego ogarnięcia wzrokiem całego pola przemysłowego... Przypuśćmy również, że współzawodnictwo nie sprowadzałoby wówczas ani neutralizacyi, ani też niepotrzebnego podwajania usiłowań. Przypuśćmy, że nie byłoby strat z powodu popłochów, przesilen, bankructw i długich przerw w przemyśle, oraz owej bezczynności pracy i kapitału. Przypuśćmy, iż wszystkim tym wadom, tak właściwym systematowi prowadzenia przemysłu przy pomocy kapitałów prywatnych, zapobieżono w jakiś sposób cudowny, zatrzymując jednak sam system; otóż nawet wówczas, wyższość nowożytnego systemu przemysłowego o kontroli narodowej byłaby olbrzymią... Miewaliście już za dni waszych dość znaczne fabryki wyrobów tkackich, jakkolwiek nie dające się porównać z naszymi. Bezwątpienia zwiędzałeś pan niekiedy owe ogromne współczesne panu zakłady, pokrywające sobą całe akry gruntu, zatrudniające wiele setek rąk i jednoczące pod tym samym dachem, pod jedną kontrolą setki odrębnych spraw technicznych: bele bawełny, oraz paki lśniących

perkalów... Podziwiałeś pan wielką oszczędność pracy i siły mechanicznej, wynikającą z należytego ustosunkowania pracy każdej ręki, każdego kółka do części pozostałych... Niewątpliwie, myślałeś pan sobie, o ile mniej dokonałaby w tym samym budynku ta sama siła pracowników, gdyby byli oni rozproszeni i gdyby każdy pracował niezależnie. Czy uważałbyś za przesadę twierdzenie, że nawet najznaczniejszy wytwór ich roboty, gdyby pracowali oddzielnie i w stosunkach bodajby najbardziej przyjacielskich, powiększył się nietylko o pewien procent, ale kilkakrotnie, kiedy wysiłki ich zorganizowane zostały pod jedną kontrolą? Otóż właśnie, panie West, organizacja pod kontrolą narodową, tak, iżby wszystkie sprawy przemysłu spletały się wzajem, powiększyła całkowity jego wytwór ponad najwyższą skalę wytwórczości systemu dawniejszego, a jeśli nawet pominiemy cztery główne przyczyny strat, o jakich mówiłem, powiększenie to odbyło się w takim samym stosunku, w jakim spotęgowaną bywała przez kooperację wytwórczość pracowników pojedynczych w owych wielkich fabrykach tkackich. Sprawność robotczej siły narodu pod tysiącogłowem przywództwem kapitału prywatnego, gdyby nawet przywódcy nie byli sobie wrogami, można, w zestawieniu ze sprawnością jej pod przywództwem jednogłowem, przyrównać do wojskowej sprawności motłochu albo hordy barbarzyńskiej z tysiącem drobnych wodzów, w zestawieniu ze sprawnością wyćwiczonego wojska pod rozkazami jednego wodza, z taką np. machiną walczącą, jaką była armija niemiecka w czasach Moltkiego...

— Po tem, coś mi pan powiedział... — rzekłem — nietyle się już dziwię temu, że naród jest dzisiaj bogatszy, lecz że wszyscy nie jesteście krezusami...

— Dobrze... — odpowiedział doktor Leete — nie da-

lęcy jesteśmy od tego... Stopa naszego życia jest tak zbyt kowną, jak tylko możemy tego pragnąć... Sadzenie się na przepych, które za dni waszych prowadziło do wybryków, nie powiększających bynajmniej wygody życia, nie ma już naturalnie miejsca w społeczeństwie ludzi, posiadających środki całkiem jednakie, to też ambycja nasza zwraca się do naszego otoczenia, służącego uciechom życiowym. Istotnie, każdy u nas osobiście mógłby mieć dochody o wiele większe, gdybyśmy w taki sposób chcieli zużytkować nadwyżkę naszego wytworu, ale wolimy wydawać to na roboty publiczne, oraz uciechy, w których wszyscy biorą udział, na publiczne sale i gmachy, galeryje sztuk, mosty, pomniki, środki przewozu, wygody naszych miast, na wielkie popisy muzyczne i teatralne, oraz na szerokie umożliwienie uciech zbiorowych. Jeszcześ pan nie widział, jak my żyjemy, panie West. W domu mamy wygodę, ale świetność naszego życia leży po jego stronie społecznej, tej, którą dzielimy z naszymi współobywatelami. Gdy je pan poznasz więcej, spostrzeżesz, gdzie się podziewają nasze pieniądze, jakeście wy mawiali. Zgodzisz się jak sądzę, że dobrze czynimy, wydając je w ten sposób.

— Przypuszczam... — zauważył dr. Leete, gdyśmy już powracali z jadalni do domu — iż żadna uwaga nie byłaby tak razila ludzi waszego, złoto czczonego stulecia, jak napomknienie, iż nie wiedzieli oni, w jaki sposób robić pieniądze. Niemniej wszakże podobny wyrok słusznie wydała na nich historyja... Ich system niezorganizowanych i wrogich sobie gałęzi przemysłu był równie niedorzecznym ekonomicznie, jak wstrętnym moralnie; samolubstwo było jedyną ich wiedzą, a w produkcji przemysłowej samolubstwo jest samobójstwem.. Współzawodnictwo, będące instynktem samolubstwa,

jest znowu inną zagadką trwonienia energii, gdy tymczasem skojarzenie stanowi tajemnicę wytwarzania skutecznego; ale dopóki idea napchania kieszeni osobnika, nie ustąpi miejsca idei powiększania zasobów wspólnych, dopóty zjednoczenie przemysłowe nie może się urzeczywistnić i dopiero wówczas rozpoczyna się naprawdę nabywanie bogactw... Gdyby nawet zasada równego udziału wszystkich ludzi nie była jedyną, ludzką i racjonalną podstawą społecznego ustroju, mybysmy ją byli narzucili, jako prawidło wygodne pod względem ekonomicznym, gdyż dopóki by się nie stłumiło rozkładowego wpływu pogoni samolubnej, dopóty niemożliwym byłoby żadne istotne zjednoczenie działań przemysłowych...

Rozdział XXIII-ci.

Wieczorem siedziałem z Edytą w pokoju muzycznym słuchając niektórych utworów z programu dnia, jakie zwzróciły były moją uwagę. Skorzystawszy z przerwy, zacząłem rozmawiać z moją towarzyszką.

— Chciałbym zrobić pani jedno zapytanie, ale obawiam się, że będzie niedyskretne...

— Jestem pewna, że takim nie będzie... — odparła ona, dodając mi odwagi.

— Znajduję się w położeniu jakiegoś podsłuchiacza.... — ciągnąłem dalej — który, usłyszawszy coś z rozmowy, nie przeznaczonej dla niego, jakkolwiek widocznie do niego się stosującej, jest o tyle zuchwałym, iż prosi mówiącego o dokończenie...

— Podsłuchiacza?.. — powtórzyła ona w pomieszaniu.

— Tak, ale mogącego się usprawiedliwić, z czem się pani zapewne zgodzi...

— To coś bardzo tajemniczego...

— Tak... — odrzekłem — o tyle tajemniczego, że często zdejmowała mnie wątpliwość, czym istotnie sły-
szał to, o co się pani mam zapytać, czy też mi się to
tylko śniło... Bez pani rozstrzygnąć tego nie mogę..
Sprawa jest taka: kiedym przychodził do siebie z owe-
go snu wiekowego, doznałem naprzód wrażenia jakichś
rozmawiających dokoła mnie głosów; były to, jakem
przekonał się później, głosy ojca pani, matki i pani
samej. Naprzód, przypominam sobie, ojciec pani powie-
dział: zaraz otworzy oczy, lepiej będzie, gdy zobaczy
kogoś jednego z pomiędzy nas. Wówczas pani, jeżeli
mi się nie śniło, rzekłaś: obiecaj mi więc, że mu nie
powiesz... Ojciec pani zdawał się ociągać z obietnicą,
pani nalegałaś, a kiedy matka wstawiła się za nią,
ojciec wreszcie obiecał; to też, gdym otworzył oczy,
zobaczyłem tylko jego jednego...

Jak najzupełniej poważnie mówiłem, że nie był
pewnym, czy mi się nie przyśniła ta rozmowa, którą
niby miałem podsłuchać, tak dalece bowiem niezrozu-
miałem było dla mnie, iżby ci ludzie, których nie zna-
łem, mogli coś wiedzieć o mnie współczesniku ich pra-
dziadów. Kiedym jednak spostrzegł, jakie wrażenie
zrobiły słowa moje na Edycie, przekonałem się, iż nie
był to sen, ale nowa jakaś tajemnica, bardziej zdumie-
wiająca jeszcze, niż wszystkie, z jakimi spotykałem się
dotąd. Z chwilą bowiem, kiedy kierunek mego pytania
stał się widocznym, poczęła ona zdradzać objawy naj-
wyższego zakłopotania... Oczy jej, zawsze o wyrazie
tak szczerym i prostym, z jakimś panicznym strachem
skryły się przedemną, a cała twarz oblała się purpuro-
wym rumieńcem.

— Proszę mi darować... — rzekłem — gdym jako
tako ochłonął ze zdumienia; zdaje mi się, że to nie

był sen. Jest jakaś tajemnica, coś, co mnie dotyczy, a co pani ukrywa przedemną. Istotnie, czyliż nie jest trochę okrucieństwem, aby człowiekowi, znajdującemu się w mojem położeniu nie udzielić wszystkich, dotyczących go wiadomości.

— To nie dotyczy pana... to jest nie bezpośrednio... Nie idzie tu właściwie o niego... — odrzekła głosem ledwie dostłyszalnym.

— Ale bądź co bądź, w jakiś sposób mnie dotyczy... — nalegałem dalej. — Musi to być coś, coby mnie było obeszło...

— Nie wiem nawet tego... — odpowiedziała ona, odwazając się spojrzeć mi przelotnie w oczy, zapłoniona okropnie; jednocześnie jednak dokoła jej ust igrał dziwny uśmiech, zdradzający, iż pomimo zakłopotania, sytuacja ta miała dla niej swoją stronę humorystyczną. — Nie jestem nawet pewna, czy byłoby to pana zajęło...

— Ojciec pani byłby mi powiedział... — nalegałem dalej z odcieniem wyrzutu. — Pani mu na to nie pozwoliła... Ojciec sądził, żem ja powinien być wiedzieć.

Nie odpowiedziała nic. Była tak zachwycającą w swem pomieszaniu, że teraz zarówno chęć przedłużenia tej sytuacji, jak i moja ciekawość pierwiastkowa, skłaniały mnie do nalegania na nią w dalszym ciągu.

— Więc nigdy się nie dowiem, nigdy mi pani nie powie?..

— To zależy... — odrzekła po długiej przerwie.

— Od czego?.. — zapytałem jeszcze.

— Ooo... zanadtoś pan ciekawy... — odezwała się, a utkwivszy we mnie oczy z wyrazem jakimś niezbadanym, z zarumienionymi policzkami i z uśmiechem, co wszystko razem było czarujące, dodała:

— Cóżbys pan pomyślał, gdybym powiedziała, że zależy to od pana samego...

— Odemnie?.. W jakiż to sposób?..

— Panie West, straciliśmy jakąś piękną muzykę...— odpowiedziała mi tylko. Zwróciwszy się do telefonu, dotknęła go palcem, a fale powietrzne poruszać się zaczęły rytmem adagio'a. Potem już starała się pilnie, aby muzyka nie pozostawiała nam czasu na rozmowę. Twarz odwróciła odemnie, utrzymując, że oddana jest aryjom, ale była to tylko wymówka, którą zdradzała wyraźnie purpura zalewająca jej policzki.

Kiedy wreszcie oznajmiła mi, że m sły sza ł ju ż wszy-
tko, o co mi na razie chodzi ło i kiedyś my wstali, by
wyjść z pokoju, zbliżyła się prosto do mnie i nie pod-
nosząc oczu, rzekła :

— Panie West, mówisz pan, że m była dobrą dla
pana. Nie zrobiłam nic nadzwyczajnego, lecz jeżeli pan
tak utrzymujesz, to proszę mi obiecać, że nie będziesz
pan nigdy usiłował skłonić mnie do powiedzenia sobie
tego, o coś mnie pytał i że nie będziesz próbował do-
wiedzieć się o tem zkađinąd, np. od ojca mego lub
matki...

Na prośbę taką jedna tylko odpowiedź była możliwą.

— Przebacz mi pani, że m cię zmartwił... Rozumie
się, że obiecuję... Nigdybym się nie był pytał, sądząc,
że to może panią zasmucić... Ale czy mnie pani potę-
pia za ciekawość?..

— Nie potępiam pana wcale...

— Kiedyś... — dodałem — gdy nie będę pani do-
kuczał, powie mi pani z własnej woli. Czy mogę się
tego spodziewać?..

— Być może... — szepnęła.

— Tylko być może?..

Spojrzawszy na mnie, czytała w mej twarzy, głęboko wpatrując się we mnie.

— Tak... — rzekła — sędzę, że będę mogła powiedzieć to panu kiedyś...

Na tem też zakończyła się nasza rozmowa, gdyż Edyta nie dała mi możności powiedzenia czegokolwiek bądź więcej.

Owej nocy, jak sędzę, nawet doktorowi Pillsbury nie udałoby się usnąć mi przed świtem. Tajemnice były teraz zwykłym moim pokarmem, ale żadna z nich nie wydawała mi się tak głęboką, i zarazem tak kuszącą, jak ta, której nawet rozwiązania nie pozwoliła mi szukać Edyta. Była to tajemnica podwójna. Naprzód, w jaki sposób dałoby się pojąć, iż wiedziała ona coś o mnie, obcym przybyszu obcego wieku?.. Powtóre, gdyby nawet wiedziała, to jak wytłomaczyć wzruszenie, w jakie widocznie wprawiała ją ta ciekawość. Istnieją zagadki tak trudne, iż nie podobna nawet zapomocą domysłów zbliżyć się do ich rozwiązania; ta właśnie wydawała mi się jedną z takich. Zazwyczaj byłem zbyt praktyczny, aby trwonić czas na takie dziwactwa; ale trudność nie odbierała obecnie uroku tej zagadce, ukazującej mi się w postaci młodej, pięknej dziewczyny... Wogóle, przypuścić można bezwątpienia, że rumieńce dziewcząt opowiadają zawsze jedną opowieść młodzieńcom wszystkich wieków i plemion, ale nadawać takie tłumaczenie rumieńcom Edyty, uwzględniając położenie moje i krótkotrwałość naszej znajomości, a jeszcze bardziej ten fakt, że tajemnica jej sięgała czasów, kiedyśmy się wcale nie znali, byłoby to popełniać najwyższą niedorzeczność... A jednak, była ona cudowną... to też ja nie byłbym chyba młodym mężczyzną, gdyby rozum i zdrowy rozsądek mogły być ze snów moich owej nocy zupełnie wygnać barwy różowe.

Rozdział XXIV-ty.

Nazajutrz rano zszedłem na dół dość wcześnie, w nadziei znalezienia Edyty samej; zawiodłem się jednak. Nie znalazłszy jej w domu, zacząłem szukać w ogrodzie, ale i tam jej nie było. Błądząc tak odwiedziłem mój pokój podziemny i usiadłem tam, aby odpocząć. Na biurku leżało kilka dzienników i gazet; sądząc, że doktor Leete zechce zobaczyć, jak wyglądał dziennik bostoński z roku 1887, wzięłem jedną z gazet ze sobą. Przy śniadaniu spotkałem się z Edytą. Zarumieniła się, witając mnie, ale najzupełniej już nad sobą panowała. Gdyśmy usiedli, doktor Leete zabawiał się widokiem przyniesionej przezemnie gazety. Tak samo, jak we wszystkich dziennikach owoczesnych, znajdowało się w niej sporo wiadomości o zaburzeniach robotniczych, bezrobociach, zamknięciu fabryk, bojkotowaniu, o programach robotniczych partyj oraz o groźbach anarchistów.

— Ale, ale... — rzekłem, gdy doktor czytał nam głośno niektóre z owych ustępów — jaką też rolę w ustanowieniu nowego porządku rzeczy odegrali stronnicy chorągwi czerwonej?.. Wiem tylko, że robili oni dużo chałasu...

— Naturalnie, że rola ich była wielką... — odrzekł doktor Leete. — Nawet ci, którzy z nimi nie zgadzali się, zmuszeni byli przyznać im, że obudzona krytyka i wzrastająca świadomość ludu ich było dziełem...

— Za moich czasów... wtrąciłem — zaczęły się formować różne stronnictwa socyjalne, jak: monarchiczne, chrześcijańskie, narodowe, patryjotyczne, które miały na celu przeciwdziałać międzynarodowym socyjalistom. Czy to one dokonały zmiany w urządzeniach społecznych?..

— Jużci nie one... — brzmiała drwiąca odpowiedź mojego nowego gospodarza.— O ile my pojmujemy to, wszystkie owe stronnictwa tuszyły sobie, że zamącą w mózgach ludu obudzoną przez międzynarodowych socyjalistów świadomość o konieczności zmiany w porządkach społecznych... Wszystkie owe narodowe socyjalizmy były spekulacją ze strony przedsiębiorców, by wnieść zamęt w umysły... Zresztą... — dodał doktor Leete po pewnym namyśle — widzisz pan nasze porządki i rozumiesz dobrze, że odpowiadają one najwięcej tym teoryjom, które międzynarodowi socyjaliści głosili...

Doktor Leete podniósł się i wyjął ze szafy pakiet zbutwiałych gazet, które mi wręczył z uśmiechem i rzekł:

— Widzisz pan te szpargały?.. Są to polskie gazety, które za pańskich czasów wychodziły w Ameryce. Jeden z uczonych moich kolegów zrobił mi niedawno streszczenie tych piśmideł.. Otóż oburzony byłem na wszystkie te niecne kłamstwa i oszczerstwa, któremi za waszych czasów starano się tumanić biednych pracowników. I co dziwnego, to to, że nawet jacyś księża, którzy nibyto mianowali się sługami boga i opiekunami biednych, wprost byli narzędziami kapitalistów i to zapewne płatnymi, bo za waszych czasów wszystko się kupowało... Zanotowałem sobie jedno przysłowie z waszych czasów: „Za pieniądze ksiądz się modli, za pieniądze lud się podli...“ Jest to wstyd dla ludzkości, że mogły być takie porządki...

— I socyjalistów wtedy prześladowano... — dodałem zawstydzony.

— Jak wogóle prześladowano wszystko, co się nie chciało ugiąć przed uciskiem... Ale... — dodał doktor

Leete — porzućmy te wspomnienia i przypatrzmy się lepiej temu, co jest dziś...

Rozdział XXV-ty.

Rzecz naturalna, że osobistość Edyty Leete zrobiła na mnie silne wrażenie od czasu, kiedy w sposób tak dziwny stałem się domownikiem jej ojca; można się też było spodziewać, że po tem, co zaszło nocy uprzedniej, myśl moja bardziej niż kiedykolwiek ku niej zwracać się będzie. Naprzód uderzyła mnie pogodna szczerłość oraz prostota jakaś rzumna w jej obcowaniu, przypominająca raczej szlachetnego i niewinnego chłopca, niż którąkolwiekbądź ze znajomych mi dziewcząt. Ciekawy byłem przekonać się, o ile ten przymiot ujmujący był właściwością jej samej, o ile zaś był on wynikiem zmian w towarzyskiem położeniu kobiety, jakie mogły zdarzyć się od moich czasów. Jakoż, upatrzwszy odpowiednią sposobność, gdyśmy się znaleźli sam na sam z doktorem, skierowałem rozmowę na ten przedmiot.

— Przypuszczam... — rzekłem — że kobiety dzisiejsze, uwolnione od ciężaru zajęć domowych, nie mają nic lepszego do roboty nad pielęgnowanie swoich powabów i wdzięków.

— O ile to dotyczy nas mężczyzn... — odpowiedział doktor — powinniśmy byli uznawać, iż spłacałyby one w zupełności swój dług, że użyję tu jednego z waszych zwrotów, gdyby ograniczały się do tego tylko zajęcia, ale możesz pan być pewnym, iż posiadają zbyt wiele rozumu, aby zechciały być darmozjadkami społeczeństwa w zamian za to, iż są jego ozdobą. Witaj

one istotnie z radością wyzwolenie swe od zajęć domowych, gdyż była to rzecz nietylko sama w sobie nużąca, ale nadto, w porównaniu z planem kooperacyjnym, przedstawiała straszne marnowanie energii; jednakże, wyzwolenie od tego rodzaju pracy przyjęły one tylko po to, aby w inny, bardziej skuteczny, a zarazem bardziej przyjemny sposób mogły przyczynić się do pomysłności ogólnej. Kobiety nasze tak samo, jak mężczyźni, są członkami armii przemysłowej, którą opuszczają tylko wtedy, gdy odwołują je obowiązki macierzyństwa. Wynik tego jest taki, że większa część kobiet w takim lub innym okresie swego życia służy w szeregach przemysłowych przez jakieś lat pięć, dziesięć albo piętnaście, te zaś, które nie mają dzieci, służą przez cały okres odpowiedni.

— Więc kobieta nie porzuca służby przemysłowej przy wstąpieniu w związki małżeńskie?.. — zapytałem.

— Tak samo, jak i mężczyzna... — odrzekł doktor — (dlaczegożby to miała czynić?.. Mężatki nie ponoszą już dzisiaj, jak pan wiesz, odpowiedzialności za gospodarstwo domowe, mąż zaś nie jest dzieciakiem, któregooby trzeba pielęgnować...

— Za najsmutniejszą cechę naszej cywilizacji uważano to, żeśmy wymagali tak wiele trudu od kobiet, zdaje mi się jednak, że wy wymagacie od nich jeszcze więcej...

Doktor Leete uśmiechnął się.

— Istotnie, wymagamy tyle, co i od mężczyzn. Pomimo to jednak, kobiety dzisiejsze są bardzo szczęśliwe, gdy tymczasem przedstawicielki wieku dziewiętnastego, jeżeli świadectwo współczesnych w błąd mnie nie wprowadza, były bardzo godne pożałowania. Przyczyną, dla której kobiety dzisiejsze są o wiele dzielniejszymi współpracownicami mężczyzny, a jednocześnie są tak szczę-

śliwe, jest to, że tak samo w odniesieniu do ich pracy, jak i do pracy mężczyzn, my przestrzegamy zasady dostarczania każdemu lub każdej takiego rodzaju zajęcia, do jakiego są najlepiej przystosowani. Ponieważ kobiety ustępują mężczyznom pod względem siły, a nadto nie nadają się również do niektórych zajęć przemysłowych, przeto fakty te uwzględnia się przy wyborze rodzajów albo warunków ich pracy. Roboty cięższe pozostawia się wszędzie mężczyznom, lżejsze kobietom. W żadnym wypadku nie pozwala się kobiecie wykonywać robót, któreby pod względem rodzaju lub stopnia pracy nieodpowiednie były dla jej płci. Co większa, dzień roboczy kobiet jest znacznie krótszy, częstsze miewają one wakacje, a w razie potrzeby, jak najskrzętniej pamięta się o tem, aby mogły wypocząć... Mężczyźni dzisiejsi tak dobrze rozumieją, iż piękność i wdzięk kobiety stanowią najglówniejszą okrasę ich życia, oraz główny bodziec wysiłków, że jeśli zgoła pozwalają im pracować, to tylko dlatego, iż wszyscy rozumiemy, że pewne regularne ćwiczenie się w pracy, odpowiadającej naszym siłom, pożyteczne jest zarówno dla ciała, jak i dla ducha, w okresie największej siły cielesnej. Sądzymy, iż wspaniałe zdrowie, odróżniające nasze kobiety od waszych, które, jak się zdaje, tak powszechnie podlegały chorobom, zawdzięczać należy w znacznej mierze temu, że wszystkie one mają dziś zdrowe i orzeźwiające zajęcia...

— O ile rozumię pana... — wtrąciłem — pracownice należą również do armii przemysłowej, ale w jakież sposób mogą one podlegać takiemu, jak i mężczyźni, systemowi awansów oraz dyscyplinie, skoro warunki pracy są tak odmienne?..

— To też znajdują się one pod dyscypliną całkiem inną i stanowią raczej siłę sprzymierzoną, nie zaś skła-

dową część armii męskiej... Mają swego naczelnego wodza-kobietę i podlegają rządowi wyłącznie kobiecym. Wódz ten, jak również wyżsi oficerowie, wybierani są przez grupę kobiet, które już przeszły okres swej służby, a to w sposób podobny do obioru wodza armii męskiej i prezydenta. Naczelną dostojnicą armii kobiecej należy do gabinetu prezydentury i posiada prawo weta z odwołaniem się do kongresu w rzeczach, dotyczących pracy kobiet. Mówiąc o sądownictwie, powinien byłbym dodać, że wśród sędziów mamy tak dobrze mężczyzn, jak i kobiety, te zaś mianowane są przez owego naczelnego wodza. Sprawy, w których obie strony są kobietami, rozstrzygają sędziowie kobiety, kiedy zaś kobieta i mężczyzna występują w sprawie, wyrok wydany być musi zgodnie przez sędziów płci obojga...

— Przy waszym systemie kobiety, jak się zdaje, tworzą pewien rodzaj państwa w państwie...

— Do pewnego stopnia... — odrzekł doktor — ale państwo wewnętrzne jest takie, od którego, jak pan osądzisz, nie grozi wielkie niebezpieczeństwo narodowi. Brak takiego jak gdyby uznania odrębnej indywidualności płci, stanowił jedną z niezliczonych wad waszego społeczeństwa. Pociąg zmysłowy pomiędzy mężczyznami a kobietami zbyt często przeszkadzał w dostrzeżeniu owych głębokich różnic, jakie sprawiają, iż członkowie danej płci stają się w wielu razach obcymi dla przedstawicieli płci innej, zaś zdolnymi do sympatyzowania tylko z płcią swoją. Właśnie pozostawiając raczej wolną grę owym różnicom płciowym, nie zaś starając się o zatarcie ich, co jak się zdaje, było usiłowaniem niektórych waszych reformatorów, potęguje się zarówno pomysłność każdej płci z osobna, jak i wzajemne ich dla siebie znaczenie. Za dni pana, kobiety nie miały żadnej przed sobą drogi, z wyjątkiem tylko nienaturalnej ry-

walizacyi z mężczyzną. Myśmy otworzyli im świat ich własny, z właściwem im współzawodnictwem, ambycjami i zawodami i zapewniam pana, że są one w nim bardzo szczęśliwe. Zdaje nam się, że kobiety, więcej niż jakakolwiek inna klasa ludzi, były ofiarami waszej cywilizacyi. Nawet dziś, z odległości znacznego czasu, czuje się coś przejmującego w owem ich życiu nudnem, zatechłem, przykutem do małżeństwa, w ich ciasnych widnokręgach, ograniczanych tak często fizycznie czterema ścianami domu, moralnie zaś szczupłem kołem interesów osobistych. Nie mówię tu o kobietach klas uboższych, które zapracowywały się zwykle na śmierć, ale również o zamożnych i o bogatych. Zarówno przed smutkiem wielkim, jak i przed małymi kłopotami codziennego życia nie miały one żadnej ucieczki w pozadomowym przestworzu spraw ludzkich, nie miały żadnych interesów, oprócz familijnych. Istnienie takie doprowadziłoby mężczyznę do rozmiękczenia mózgu albo do waryjacyi. Wszystko to zmieniło się dzisiaj. Nie słyhać już teraz, aby kobieta jakaś pragnęła być mężczyzną, lub też, aby rodzice woleli mieć syna niż córkę. Dziewczęta nasze w zawodach swoich mają także zaspokojenie ambicyi, jak i chłopcy. Małżeństwo nie bywa już dla nich więzieniem, nie oddziela ich bynajmniej od szerszej areny spraw społecznych, od wiru świata szerszego. Tylko wtedy, gdy macierzyństwo zbudzi w duszy kobiecej nowe uczucia, usuwa się ona od świata na czas jakiś, później w każdym czasie może powrócić do swych towarzyszek i nie ma potrzeby zresztą kiedykolwiek zrywać z niemi stosunków. Kobiety są dzisiaj rodzajem szczęśliwym w porównaniu z ich poprzednim losem w dziejach świata, a odpowiednio do tego zwiększyła się też ich moc uszczęśliwiania mężczyzn.

— Wyobrażam sobie, że zajęcie się zawodami w armii przemysłowej, oraz kadytura do jej dostojenstw, mogłyby odstręczać kobiety od małżeństwa...

Doktór Leete uśmiechnął się.

— Nie bój się pan, panie West, natura pilnie postarała się o to, aby jakimkolwiek zmianom ulegną z biegiem czasu usposobienia mężczyzn i kobiet, ich wzajemny pociąg do siebie pozostawał jednakim. Już sam ten fakt, że nawet w waszym wieku, kiedy walka o byt pozostawiała ludziom mało czasu na myśli inne, kiedy przyszłość bywała tak niepewną, iż branie na siebie obowiązków rodzicielskich musiało wydawać się czemś występem, ten fakt, że pomimo to wszystko żeniono się i wychodzono za mąż, mogłyby być tutaj dosyć przekonywającym. Co do miłości dzisiejszej, to jeden z naszych pisarzy powiada, że próżnia, jaka się wytworzyła w umysłach naszych mężczyzn i kobiet z powodu pozbycia się wzajemnej troski o byt, została całkowicie zajęta przez tkliwą namiętność. Jest w tem jednakże, wierz mi pan, trochę przesady. Zresztą małżeństwo tak dalece nie jest przeszkodą w zawodach kobiecych, że nawet wyższe stanowiska kobiece w armii przemysłowej powierza się jedynie takim niewiastom, które były już żonami i matkami, gdyż te tylko w zupełności przedstawiają płć swoją.

— Czy karty kredytowe wydaje się tak samo kobietom, jak i mężczyznom?..

— Niewątpliwie...

— Kobietom, jak sędzę, otwiera się kredyt na mniejsze sumy, a to z powodu częstego przerywania ich pracy dla obowiązków rodzinnych?..

— Mniejsze?!.. — zawołał doktor Leete. — O, nie... Utrzymanie wszystkich naszych obywateli jest jednakie. Nie ma pod tym względem wyjątku, ale gdyby miano

robić tutaj jakieś wyróżnienia z powodów, o jakich pan mówisz, to raczej powiększonoby, nie zaś zmniejszono ich kredyt... Czy możesz pan wyobrazić sobie usługę, nadającą większe prawo do wdzięczności narodu, niż rodzenie i karmienie jego dzieci?.. Według nas nie w świecie nie przewyższa zasługi dobrych rodziców. Nie masz zadania tak niesamolubnego, tak nieuchronnie pozbawionego zapłaty, chociaż serce ma tutaj swoją nagrodę, jak pielęgnowanie dzieci, które będą stanowiły świat odrębny wtedy, gdy nas już nie będzie.

— Z tego, co pan mówi, zdaje się wynikać, że żony pod względem utrzymania nie są zależne od swoich mężów...

— Naturalnie, że nie; jak również dzieci nie zależą pod tym względem od swoich rodziców, chociaż, rzecz jasna, doznają od nich dowodów przywiązania... Praca to dziecka, gdy urośnie ono, powiększać będzie wspólne zasoby, nie zaś praca rodziców jego, którzy już pomrą; właściwem też jest, aby karmiono je z owych zasobów wspólnych. Musisz pan zrozumieć, że rachunki każdego człowieka, mężczyzny, kobiety lub dziecka, załatwiane są u nas bezpośrednio pomiędzy nim a narodem, nigdy zaś przy udziale pośredników, z wyjątkiem tylko tego wypadku, kiedy rodzice występują do pewnego stopnia jako opiekunowie dziecka. Widzisz pan, że jedynie dzięki tylko związkowi jednostek z narodem, dzięki temu, iż są one jego częstkami, zdobywają sobie prawo do utrzymania; prawo zaś to nie zależy bynajmniej od stosunków ich z jednostkami innymi, które wraz z niemi są tylko współobywatelami swojego narodu. Zależność jednej jednostki od drugiej w sprawie środków utrzymania zarówno raziłaby zmysł moralny, jako też i wszelką racjonalną teorię socjologiczną... Coby się też stało z wolnością i godnością.

osobistą przy takim ustroju?.. O ile wiem, nazywaliście się wolnymi w waszym wieku XIX-tym. Jednakże, albo znaczenie tego wyrazu było zgoła inne, aniżeli dzisiaj, albo też z pewnością nie stosowalibyście go do takiego społeczeństwa, którego każdy prawie członek znajdował się w osobistej zależności od innych pod względem najniezbędniejszych środków utrzymania; biedni zależeli od bogatych, najemnik od pracodawcy, kobieta od mężczyzny, dziecko od rodziców. Zdawało się, że zamiast rozdzielać bezpośrednio wytwór pracy narodowej pomiędzy współobywatelami, co byłoby rzeczą najprostszą i najbardziej naturalną, wyście wysilali wasz umysł na wynajdywanie systemu podziału z rąk do rąk, systemu, przedstawiającego najwięcej poniżenia godności osobistej dla wszystkich klas odbiorców...

— Co do zależności kobiet od mężczyzn... — mówił dalej doktor Leete -- w sprawie utrzymania, jaka wówczas była rzeczą zwykłą, to naturalnie w wypadku małżeństwa z miłości wzajemne przywiązanie mogło częstokroć czynić zależność taką dość znośną, jakkolwiek sądzę, że dla kobiet podnioslejszych bywała ona zawsze upokarzającą. Czem więc musiała być owa niezależność w niezliczonych wypadkach, kiedy kobiety, pod osłoną lub bez osłony małżeństwa, zniewolone były sprzedawać się mężczyznom dla zdobycia utrzymania?.. Nawet współcześni wasi, jakkolwiek zahartowani na najbardziej oburzające objawy waszego społecznego ustroju, mieli, jak się zdaje, pojęcie o tem, iż działo się tu inaczej, niż było powinno; jednakże tylko z litości uzalali się nad losem kobiet... Nie przychodziło im na myśl, że owo pochwycenie przez mężczyzn całego wytworu świata i pozostawianie kobiet na łasce żebractwa i upodlenia było niety'ko okrucieństwem, ale i rabunkiem. Przebacz mi jednak, panie West, zem się

zapędził tak bardzo, jak gdyby rabunek, zmartwienia i wstyd, jakie przenieść musiały te biedne kobiety, nie należały już do dalekiej przeszłości i jak gdybyś pan odpowiedzialnym był za to, nad czem ubolewałeś bezwątpienia nie mniej odemnie...

— Muszę ponieść właściwą część odpowiedzialności za ówczesny ustrój świata... Jedno tylko mogę powiedzieć ku złagodzeniu zarzutów, że dopóki naród nie dojrzał był jeszcze do obecnego systemu zorganizowanej produkcji i podziału, doputy niemożliwą była żadna radykalna poprawa położenia kobiet. Źródłem ich niepowodzenia, jak pan powiadasz, była osobista ich zależność od mężczyzn w sprawie utrzymania; to też nie wyobrażam sobie innego, niż wasz, systemu organizacji społecznej, który uczyniłby kobietę wolną wobec mężczyzny, a jednocześnie dałby wolność wszystkim mężczyznom w ich stosunkach wzajemnych. Przypuszczam nadto, że tak całkowita zmiana w położeniu kobiet nie mogła nie oddziaływać wybitnie na towarzyskie stosunki obu płci. Będzie to dla mnie wielce ciekawy przedmiot badania...

— Zmiana, jakąś pan zauważył... — odrzekł doktor Leete — zasadać się będzie głównie, jak sądzę, na zupełnej szczerości i niekępowaniu się, jakie cechują dziś owe stosunki w przeciwstawieniu do sztuczności, która, jak się zdaje, cechowała obcowanie wasze. Obie płcie obcuja z sobą dzisiaj ze swobodą istot zupełnie sobie równych, starając się o względy swe tylko dla miłości... Za waszych czasów ten fakt, że kobiety zależały od mężczyzn, w sprawie utrzymania, dawał mężczyznom, zwłaszcza przy zawieraniu małżeństwa, przywileje wszelakie, co też, o ile wnosić możemy ze świadectw owoczesnych, dość szorstko występowało na jaw szczególnie w klasach niższych, gdy tymczasem w to-

warzystwach bardziej ogładzonych ku maskowaniu tej sprawy posiadano system konwenansów, mających na celu przekonanie, że dzieje się wprost przeciwnie, a mianowicie, że mężczyzna jest tutaj obowiązany za dobrodziejstwa. Dla zachowania tego pozoru mężczyzna właśnie musiał występować w roli starającego się... Uważano przeto za rzecz wysoce rażącą, gdy kobieta zdradziła się z przywiązaniem swem do mężczyzny, zanim tenże objawił chęć żenienia się z nią. Posiadamy obecnie w bibliotekach naszych książki napisane przez współczesnych wam autorów, nie w innym celu, jak tylko dla roztrząśnięcia pytania, czy w jakichkolwiek-bądź warunkach kobieta może, nie dyskredytując płci swojej, wyjawić miłość mężczyźnie, który ją o to nie prosił. Wszystko to wydaje się nam jak najzupełniej niedorzecznem dzisiaj, jakkolwiek wiemy, że w warunkach waszych zagadnienie to mogło mieć swoją stronę poważną. Kiedy przyznanie się do miłości przed mężczyzną było dla kobiety właściwie tem samym, co zaproszenie go, iżby wziął na siebie ciężar jej utrzymania, wówczas, jak łatwo dostrzedz, duma i delikatność mogły tamować popędy jej serca... Gdy pan wejdiesz do naszego towarzystwa, panie West, musisz się pan przygotować do tego, iż często będziesz badany pod tym względem przez naszą młodzież, która naturalnie interesuje się wielce tą stroną dawnych obyczajów *)...

*) Przekonałem się później dowodnie, iż przestroga doktora Leete była całkiem uzasadnioną. Młodzi mężczyźni dzisiejsi, a szczególnie młode kobiety znajdują nieskończenie wiele przyjemności w rozpytywaniu się o to, co podoba im się nazywać dziwactwami zalotów dziewiętnastego wieku.

- A więc dziewczęta wieku XX-go same oświadczają się z miłością?..

— Gdy tego zapragną; nie idzie im o ukrycie swych uczuć tak samo, jak i ich kochankom... Kokieterija byłaby pogardzaną zarówno w kobiecie, jak w mężczyźnie. Udana obojętność, która za dni waszych oszukiwała zakochanego, dzisiaj mogłaby go zwieść w zupełności, gdyż nikt nie myśli o praktykowaniu jej...

— Jednym z wyników niezależności kobiet, o ile mogę sądzić, musi być to, iż nie ma dziś innych małżeństw, jak z wzajemnej skłonności... Wyobrazić tu sobie świat, na którym się spotyka same tylko objawy bezinteresownej miłości!.. Ach, doktorze, ani pan możesz pojąć, jak dziwnem zjawiskiem musi być świat taki dla człowieka wieku XIX!..

— Mogę to jednak poniekąd wyobrazić sobie... — odparł doktor — ale fakt, przez pana wystawiany, ma większą jeszcze doniosłość, aniżeli się panu zdaje. Oznacza on, że po raz pierwszy w dziejach ludzkości działać dziś może bez przeszkód zasada doboru płciowego, wraz ze swoją dążnością zachowywania i przelewania lepszych typów rasy, oraz skazywania na wymarcie typów niższych. Więzy ubóstwa, potrzeba dachu nad głową nie zniewalają już dzisiaj kobiet do wybierania za ojców ich dzieci takich mężczyzn, których ani kochać, ani szanować nie mogą. Bogactwo i dostojność nie odwraca już uwagi od przymiotów osobistych... Złoto dziś „nie pochyla czoła tłumów.“ Przymioty danej osoby, umysł jej i usposobienie, piękność, dowcip, wymowa, uczucie, szlachetność, genialność, odwaga niechybnie przekazywanemi być mogą potomstwu.. Każde nowe pokolenie przesiewanem jest, jak gdyby przez sito, cokolwiek bardziej doskonałe, od pokolenia poprzedniego Budzące podziw cechy przyrody ludzkiej

zostają przechowane, te zaś, które budzą odrazę, pozostają za nami... Istnieje naturalnie wielka liczba kobiet, u których miłość musi jednoczyć się koniecznie z podziwem i które marzą o świetnym zamażpójściu, ale i one ulegają temu samemu prawu, gdyż świetnie wyjść za mąż nie znaczy dziś dostać męża z wielką fortuną lub tytułem, ale takiego, który wzniósł się ponad swych towarzyszy, dzięki trwałości lub świetności zasług swych względem człowieczeństwa. Tacy tworzą dziś jedyną arystokrację, z którą związek staje się wyróżnieniem. Wczoraj czy onegdaj mówiłeś pan o cielesnej wyższości naszych ludzi nad twymi współczesnikami. Może najważniejszą ze wszystkich, wzmiankowanych wówczas przezemnie przyczyn takiej poprawy rasy, był wpływ niepaczonego niczem doboru płciowego na dwa lub trzy idące po sobie pokolenia. Sądzę, że kiedy pan dokładnie zbadasz współczesnych nam ludzi, znajdziesz pan w nich nietylko fizyczną, ale umysłową i moralną poprawę. Zresztą i nie mogło być inaczej: nietylko bowiem jedno z wielkich praw przyrody działa dzisiaj swobodnie ku pomyślności narodu, ale nadto wpływ ten jest powiększony przez głębokie uczucie moralne. Indywidualizm, który za dni waszych był najbardziej żywotną ideą w społeczeństwie, nietylko stawał na zawadzie wszelkiemu żywsemu poczuciu braterstwa lub wspólności interesów wśród ludzi żyjących, ale równie uniemożliwiał wszelką odpowiedzialność względem pokoleń przyszłych... Obecnie owo uczucie odpowiedzialności, nieuznawane faktycznie w ciągu wieków ubiegłych, stało się jedną z wielkich idei moralnych naszej rasy, potęgującą żywym poczuciem obowiązku wrodzony popęd do szukania w małżeństwie najlepszych i najszlachetniejszych przedstawicieli płci innej. Wynik tego jest taki, że wszystkie zachęty i pobudki wszelkiego

rodzaju, jakieśmy wynaleźli dla rozwoju przemysłu, talentów, genijnszu i wszelkiej jakiegokolwiek bądź dzielności, mają na naszą młodzież mężką bez porównania mniej wpływu, uż ten fakt, że kobiety nasze zasiadają ponad nami, jako sędziowie całej rasy i oddają siebie w nagrodę zwycięzcom. Z pomiędzy wszystkich bodźców, przynęt i nagród nic nie działa tak jak myśl, że promienne oblicza odwróca się od maruderów...

- W celibacie... — prawił dalej doktor Leete — żyją dziś prawie sami tylko tacy mężczyźni, którym nie udało się zjednać sobie odpowiedniego kredytu w walce życiowej. Kobieta musiałaby być bardzo odważną i to odważną w złem znaczeniu, aby litość dla jednego z tych nieszczęśliwych popchnęła ją do pogardzenia opinią jej spółczesnych, gdyż inaczej nic nie zmusza jej do wybrania go sobie za męża... Muszę dodać, że największe wymagania i opór największy owej opinii napotkałaby ona wśród płci swojej własnej; kobiety nasze wzniosły się całkowicie do poziomu swojej odpowiedzialności strażniczek pokoleń przyszłych, którym powierzono klucze przyszłości. Ich poczucie obowiązku pod tym względem sięga wyżyn namaszczenia religijnego, jest to kult, w którym wychowują one swe córki od dziecka.

Przyszedłszy do sypialni mojej owego wieczora, siedziałem do późna, czytając dany mi przez doktora Leete romans Berriana. Intryga powieściowa dotyczyła właśnie sytuacji, o jakiej napomknęły ostatnie słowa doktora, a mianowicie nowożytnego poglądu na odpowiedzialność rodzicielską. Powieściopisarz wieku XIX byłby niewątpliwie przedstawił sytuację podobną w taki sposób, iżby obudzić w czytelniku chorobliwą sympatię dla sentymentalnego samolubstwa kochanków, oraz wywołać w nim niechęć dla niepisanego prawa, które

oni przekraczali. Nie będę tu opisywał — któż bowiem nie czytał „Ruth Elton“ — jak odmiennemi drogami kroczy Berrian, oraz jak potężnie uwydatnia on postawioną przez siebie zasadę: „względem nieurodzonych władza nasza jest władzą największą, odpowiedzialność zaś nasza niemniejszą być powinna. Jak my uścimy się względem nich, tak niechaj historyja względem nas się uści...“

Rozdział XXVI-ty.

Sądzę, że jeżeli ktokolwiek i kiedykolwiek mógł się usprawiedliwić z tego, iż stracił rachubę dni tygodnia, to właśnie usprawiedliwienie takie mnie przysługiwało. Istotnie, gdyby mi powiedziano, że całkowicie zmienił się porządek oryjentowania się w czasie, że dni rachowano obecnie piątkami, dziesiątkami lub piętnastkami, nie zaś siódemkami, nie byłbym się zdziwił bynajmniej po tem, com już słyszał i widział odnośnie do wieku XX. Po raz pierwszy zdarzyło mi się zapytywać o dzień tygodnia i to nazajutrz po rozmowie, przytoczonej w rozdziale ostatnim.

Przy śniadaniu doktor Leete zagadnął mnie, czy chciałbym posłuchać kazania?..

— A więc to dziś niedziela?.. — zawołałem.

— Tak... — odrzekł doktor. — Widzisz pan, w piątek przeszłego tygodnia zrobiliśmy szczęśliwe odkrycie podziemnej komnaty, odkrycie, któremu zawdzięczamy pańskie obecne towarzystwo... W sobotę zrana, zaraz po północy, ocknąłeś się pan po raz pierwszy, a w niedzielę po południu obudziłeś się drugi raz, już odzyskawszy wszystkie swe władze...

— Więc miewacie jeszcze niedziele i kazania?.. — pytałem. — Myśmy mieli proroków, którzy przepowiedali, iż na długo przed dołą obecną świat będzie się obchodził bez kościoła i bez kazań... Bardzo byłbym ciekawy dowiedzieć się, w jaki sposób instytucje kościelne dopasowały się do reszty waszych urządzeń społecznych. Przypuszczam, iż macie pewien rodzaj kościoła narodowego z urzędowym duchowieństwem.

Doktór Leete uśmiechnął się, zaś panią i pannę Leete słowa moje zdawały się bardzo bawić.

— Ależ, panie West... — zawołała Edyta — za jakichże starych ludzi musisz nas pan uważać. Wszak wyście już byli załatwili się z narodowymi urządzeniami religijnymi w XIX-tym wieku. Czyż wyobrażasz pan, żeśmy do nich powrócili?..

— Ale w jakiż sposób można pogodzić wolny kościół i duchowieństwo nieurzędowe z narodowym władaniem wszelkimi budowlami oraz ze służbą przemysłową, jakiej się od wszystkich wymaga.

— Praktyki religijne ludzi zmieniły się znacznie w ciągu stulecia, ale gdyby nawet pozostały one bez zmiany, to i wówczas nasz system społeczny znakomicieby się do nich nadawał. Naród daje jakiejś osobie lub pewnej liczbie osób budynki z rękojmnią pobierania za nie renty; osoby zaś te pozostają ich posiadaczami, dopóki płacą. Co do księdza, to jeżeli pewna liczba osób pragnie korzystać z usług jednostki dla jakichś celów własnych, niezależnie od ogólnej religijnej posługi narodowej, może ona zawsze osiągnąć tego celu, rozumie się za zgodą owej jednostki, zupełnie tak samo, jak zapewniamy sobie usługi naszych redaktorów, wykreślając z ich kart kredytowych pewne odszkodowanie dla narodu za utratę ich usług w przemyśle ogólnym. Odszkodowanie to, wypłacone narodowi za jednostkę,

odpowiada pensyi waszych czasów, którą wypłacano jednostce samej, rozmaite zaś zastosowania tej zasady pozostawiają wolną grę inicjatywie prywatnej we wszystkich takich szczegółach, do jakichby się nie dało zastosować kontroli narodowej... A teraz, co do dzisiejszego kazania, to, chcąc go posłuchać, możesz pan albo pójść do kościoła, albo też pozostać w domu...

— A jakże będę słyssał, pozostawszy w domu?..

— Oto, po prostu, towarzysząc nam do pokoju muzycznego o właściwej godzinie i usadowiwszy się na wygodnem krześle. Istnieją jeszcze ludzie, którzy wolą słuchoać kazania w kościele, ale większość naszych przemówień, tak samo jak i utworów muzycznych, odbywa się dziś nie przed publicznością, ale w pokojach urządzonych akustycznie i połączonych drutem z domami przedpłacicieli. Jeżeli pan wolisz iść do kościoła, to miło mi będzie towarzyszyć mu, ale w istocie, nie sądzę, abys pan gdziekolwiek mógł słyssać lepiej i lepsze kazanie, niż tutaj w domu. Z gazety widzę, że tego poranku kazanie będzie miał pan Barton, który przemawia zwykle tylko przy pośrednictwie telefonu, a liczba słuchaczy jego dosięga częstokroć 150,000.

Nowość doświadczenia, sama możność wysłuchania mowy w takich warunkach musiałaby, nawet w braku wszelkiej pobudki innej, skłonić mnie do zapisania się na listę słuchaczy pana Bartona.

W godzinę lub dwie później, kiedym siedział w bibliotece nad książką, Edyta przyszła po mnie i razem udaliśmy się do pokoju muzycznego, gdzie oczekiwali nas państwo Leete.

Zaledwieśmy się usadowili wygodnie, gdy rozległ się dzwonek, a w kilka chwil później zwrócił się do nas jakiś głos męzki o nateżeniu zwykłej rozmowy,

jak gdyby pochodzący od jakiejś niewidzialnej osoby w tym samym pokoju.

Oto, co głos ów mówił:

Kazanie Mr. Bartona.

„W ciągu ubiegłego tygodnia mieliśmy pośród siebie krytyka z wieku XIX, żywego przedstawiciela epoki naszych pradziadów. Dziwnem byłoby, gdyby fakt tak niezwykle nie oddziałał silnie na naszą wyobraźnię. Być może, większość z pomiędzy nas usiłowała z tego powodu wyobrazić sobie społeczeństwo z przed lat stu, oraz przedstawić, jakim musiało być wówczas życie. Zapraszając was teraz, abyście roztrząsnęli wraz ze mną pewne, tyżące się tego przeciągu uwagi moje, przypuszczam, że idę w tem raczej za biegiem, nie zaś przeciwko prądowi waszych myśli własnych.“

W tem miejscu Edyta szepnęła coś ojcu, a ten skłaniając głowę, zwrócił się do mnie:

— Panie West, Edyta zwraca moją uwagę, iż treść kazania Bartona może być dla pana nieco żenująca, jeśli tak, to, nie pozbawiając siebie możności wysłuchania innego kazania, możesz pan nie słuchać Bartona. Jeśli pan zechcesz, Edyta połączy nas z pokojem pana Sweetsera, a i w takim razie mogę zapowiedzieć panu kazanie bardzo dobre.

— Nie, nie... — rzekłem — wierzajcie mi państwo... o wiele bardziej wolałbym słyszeć, co powie pan Barton...

— Jak się panu podoba?... -- pytał mój gospodarz.

W czasie rozmowy ojca, Edyta dotknęła się była szrubki, a głos pana Bartona umilkł nagle. Teraz za drugim jej dotknięciem pokój znowu napełnił się sympatycznymi tonami, które już zrobiły były na mnie wrażenie jak najkorzystniejsze.

„Poważę się przypuścić, iż jeden wynik ogólny owego wysiłku spojrzenia wstecz był wspólny nam wszystkim, oraz, że wprawił on nas w większe, niż kiedykolwiekbądź, zdumienie na widok potężnej zmiany, jaką jedno krótkie stulecie sprowadziło w materyjalnem i moralnem położeniu ludzkości.

„Jeszcze co do różnicy pomiędzy ubóstwem narodu i wogóle świata wieku XIX, oraz bogactwem ich dzisiejszem, to różnica ta, być może, nie jest większą od takiej, jaką już napotymano nieraz w dziejach ludzkości, nie jest większą np. niżli różnica pomiędzy ubóstwem tego kraju w ciągu najwcześniejszego okresu osadnictwa w wieku XVII, oraz wielkimi bogactwami, jakich dosięgnął on ku końcowi XIX stulecia, albo też Anglię z czasów Wilhelma Zdobywcy a z czasów Wiktorji. Jakkolwiek ogólny zasób bogactw narodowych nie był wówczas, tak jak dziś, dokładnym probierzem ekonomicznego położenia, to jednak przykłady powyższe pozwalają choć w części rozumieć różnicę stanu materyjalnego pomiędzy wiekiem dziewiętnastym a dwudziestym. Ale dopiero wtedy, gdy na przeciwieństwo tych dwóch stuleci spojrzemy od strony ich moralnej, znajdziemy się wobec zjawiska, któremu równego nie przedstawia historia najdalszej nawet przeszłości. Usprawiedliwionym napewno byłby ten, ktoby wykrzyknął: jest w tem coś cudownego. Niemniej wszakże, gdy, zaniechawszy płonnego podziwu, poczniemy badać krytycznie owo zjawisko, znajdziemy, iż nie zawiera ono w sobie nic tak dziwnego, a tem bardziej nic tak cudownego. Nie potrzeba przypuszczać jakiegoś moralnego odrodzenia się ludzkości, całkowitej zagłady złych i ostantia się przy życiu dobrych, aby fakt ten sobie wytłomaczyć. Proste i oczywiste jego objaśnienie znajdujemy w oddziaływaniu zmienionego otoczenia na przyrodę ludzką.

Znaczy on tylko, że owa forma społeczności, wsparta na interesie samolubstwa i odwołująca się jedynie do antyspołecznej i brutalnej strony ludzkiej przyrody, zastąpioną została przez urządzenia, mające u podstawy swej istotny pożytek racjonalnej bezinteresowności i odwołujące się do społecznych i szlachetnych instynktów ludzkich.

„Przyjaciele moi, gdybyście chcieli ujrzeć znów ludzi również dzikimi zwierzętami, jakimi byli oni w wieku dziewiętnastym, to należałoby tylko przywrócić dawny system społeczny i przemysłowy, który kazał widzieć w bliżnim zdobycz ich naturalną i znajdować zysk w stracie innych. Niewątpliwie sądzicie, iż żadna, najsrozsza konieczność nie skusiłaby was do utrzymywania się kosztem tego, co większa jakaś biegłość lub siła pozwoliłaby wam wydrzeć innym ludziom, równie potrzebującym. Wiem dobrze, że wśród naszych przodków było wielu takich ludzi, którzy, gdyby chodziło tylko o ich życie własne, byłiby raczej postradali je, lecz nie żywiliby się chlebem wydartym innemu... Ale nie wolno było im tak postąpić. Zależało od nich życie innych, drogich im istot. Mężczyźni kochali kobiety tak samo, jak dzisiaj. Bóg raczy wiedzieć, z kąd czerpali oni odwagę być ojcami, lecz bądź co bądź miewali dzieci, niewątpliwie tak miłe dla nich, jak nasze są dla nas, a które potrzeba było żywić, ubierać i kształcić. Najłagodniejsza istota stanie się okrutną, gdy musi zdobywać utrzymanie dla swego potomstwa, w owej zaś społeczności wileczej walka o chleb nadawała cechę rozpaczłą najtkliwszym uczuciom. Dla dobra istot od siebie zależnych człowiek, nie chcący nawet, musiał wówczas pograżać się w zaciętej walce: oszukiwać, zdradzać, udawać, przemycać, kupować niżej wartości, sprzedawać ponad wartość, podkopywać przed-

siębiorstwa, przy pomocy których sąsiad jego karmił swoje dzieci, kusić ludzi do kupowania tego, czego kupować nie byli powinni, do sprzedawania tego, czego by nie sprzedali, krzywdzić swych pracowników, uciskać dłużników, zarywać wierzycieli. Szukając, bodaj z płaczem, środków zarobienia na życie i utrzymanie rodziny, mężczyzna z wielką trudnością znajdował je inaczej, jak chyba tylko zdławiwszy jakiegoś słabszego współzawodnika i odjąwszy mu od ust jego pokarm... Nawet studzy religii nie byli wolnymi od tej srogiej konieczności. Podczas kiedy sami oni przestrzegali swoją trzodę przed miłością mamony, względ na ich rodzinę własną zmuszał ich oglądać się na pieniężne wynagrodzenie ich posług... Biedacy, ciężką była ich sprawa: kazać ludziom o szlachetności i bezinteresowności, które, jak sami oni i wszyscy zresztą widzieli, w ówczesnym stanie rzeczy musiały doprowadzać do ubóstwa każdego, ktoby je praktykował; przedstawiać ludziom prawidła postępowania, do gwałcenia których zmuszało każdego prawo samozachowania. Patrząc na nieludzki obraz ówczesnej społeczności, godni ci mężowie gorzko się uzalali na nieprawość przyrody ludzkiej, jak gdyby anielska nawet przyroda nie byłaby się zniepamiętała w takiej szkole djabelskiej.

„Ach, przyjaciele moi! wierzajcie mi, nie w naszym to wieku szczęśliwym ludzkość składa dowody, iż ma w sobie pierwiastek boskości. Stwierdziła to ona raczej za owych dni niedobrych, kiedy nawet zapasy wzajemne o życie, walka o samo istnienie, w której miłosierdzie byłoby szaleństwem, nie zdołały całkowicie wygnać szlachetności i miłości z powierzchni ziemi.

„Nietrudno jest zrozumieć, z jaką rozpaczą ci z pomiędzy mężczyzn i kobiet, którzy w innych warunkach byłiby pełni prawdy i łagodności obyczajów, musieli

walczyć i szarpać się wzajem w zapasach o złoto, nie-trudno zrozumieć to, gdy przedstawimy sobie, czem była wówczas przegrana, czem było ubóstwo. Dla ciała było ono głodem i pragnieniem, męką upału i chłodu, opuszczeniem w chorobie, znojem nieustannym w zdrowiu; dla moralności znaczyło tyle, co ucisk, pogarda, cierpliwe znoszenie poniewierki, bydlęcego towarzystwa od pierwszych dni życia, tyle, co utrata wszelkiej niewinności od dziecka, utrata kobiecego wdzięku i godności męskiej; dla umysłu było ubóstwo śmiercią niewiadomości, zamarciem wszystkich zdolności, odróżniających nas od zwierząt, sprowadzeniem całego życia do samych tylko czynności cielesnych.

„Ach, przyjaciele moi! gdyby wam i dzieciom waszym ofiarowano los taki, jako jedyną drogę dla zdobywania bogactw, to czyż sądzicie, że długo moglibyście nie zniżyć się do moralnego poziomu waszych przodków?..

„Przed jakiemiś dwoma lub trzema wiekami popełniono w Indyjach pewien akt barbarzyństwa, któremu, chociaż liczba jednostek wówczas zamordowanych była nieznaczna, towarzyszyły takie okropności, iż pamięć o nich chyba się uwieczni. Pewną liczbę jeńców angielskich zamknięto w pokoju, zawierającym powietrza mniej, niż potrzeba było dla dziesiątej ich części. Nieszczęśliwi ci byli to dzielni ludzie, towarzysze oddani sobie w potrzebie, ale kiedy męki duszenia się poczęły im grozić z bliska, zapomnieli oni o wszystkim i wszczęli potworną walkę, w której każdy, idąc przeciwko pozostałym, usiłował zdobyć dla siebie dostęp do jedyne go małego otworu, przez który można było zaczerpnąć świeżego powietrza. Była to walka, w której ludzie stawali się zwierzętami, opowiadanie zaś o jej okropnościach przez kilku pozostałych przy życiu

tak dalece raziło zmysł moralny naszych praótców, iż w sto lat później znajdujemy w piśmiennictwie ich odnośne sprawozdanie, jako typowy przykład najskrajniejszej, zarówno fizycznej, jak i moralnej nędzy ludzkiej. Nie przewidywali oni zapewne, że owa Czarna Jama kalkucka z jej natłokiem oszalałych ludzi, szarpiących się i tratujących wzajem w walce o dostęp do przewiewnego otworu, będzie dla nas właśnie uderzającym odtworzeniem społeczności ich czasów. Porównanie to jednak nie byłoby dokładnem, gdyż w Czarnej Jamie Kalkuty nie było ani wątłych kobiet, ani dzieci drobnych, ani starców płci obojga, ani ułomnych. Wszyscy, którzy tam cierpieli, byli przynajmniej ludźmi dość silnymi.

„Gdy pomyślimy, że dawny porządek rzeczy, o jakim właśnie mówiłem, panował aż do końca wieku dziewiętnastego, kiedy tymczasem nowy ustrój, który nastąpił po nim, wydaje się nam dzisiaj starym, gdyż nawet rodzice nasi nie znali innego, to nie możemy nie zdumiewać się nad szybkością, z jaką nastąpić musiała ta zmiana tak głęboka, iż podobnej nie pamiętają dzieje ludzkości. Jednakże, niejaki zastanowienie się nad stanem umysłów z ostatniej ćwierci wieku dziewiętnastego w znacznej mierze rozproszy owo nasze zdumienie. Jakkolwiek nie można powiedzieć, iżby istniało wówczas wśród jakiejkolwiek społeczności wykształcenie ogólne w nowożytnym tego wyrazu znaczeniu, to jednak w porównaniu z pokoleniami ubiegłymi, ówczesne pokolenie było inteligentne. Nieuchronnem następstwem tej względnej nawet inteligencji było dostrzeganie braków społecznego ustroju tak powszechne, jak nigdy jeszcze przedtem. Prawda, że braki owe w wiekach dawniejszych były jeszcze o wiele większe; ale teraz odsłoniła je spotęgowana intelligen-

cyja maś tak samo, jak świt odśłania przed nami brudy naszego otoczenia, które w ciemnościach mogły jeszcze uchodzić. Górującą nutą w piśmiennictwie owego okresu było współczucie dla biednych i nieszczęśliwych, oraz krzyk oburzenia przeciwko nieudolności urzędowania maszyny społecznej, gdy szło o poprawę nędz ludzkich... Z tych wylewów uczuć widocznem było, że moralną przyrodę owych nędz, tu i owdzie przynajmniej, w zupełności uprzytomniali sobie najlepsi ludzie owego czasu, oraz, że życie najtkliwszych i najszlachetniejszych z pomiędzy nich stawało się wprost nieznośnem dla nich ze względu na męczarnie współczującego serca.

„Jakkolwiek idea pewnej jedności życiowej wśród wielkiej rodziny ludzkiej, jakkolwiek rzeczywistość ludzkiego braterstwa nie uchodziły wówczas jeszcze bynajmniej za taki pewnik, jakimi są dzisiaj dla nas, to jednak błędem byłoby przypuszczać, iż nie istniały wówczas odpowiadające jako tako tym ideom uczucia. Mógłbym wam przeczytać niektóre prześliczne ustępy z ich pisarzy, świadczące, iż niektórzy byli już wytworzyli sobie odnośne pojęcia z całą wyrazistością, wielu zaś blizkimi byli ich wytworzenia. Co większa, nie należy zapominać, że wiek dziewiętnasty był z nazwy wiekiem socyjalizmu.

„Gdy zbadamy, dlaczego fakt ten nie miał większej doniosłości, dlaczego wogóle już znacznie później, kiedy ogromna większość ludzi zgadzała się co do krzyżujących nadużyć istniejącego porządku społecznego, znoszono go jednak lub spierano się o drobne reformy, kiedy poczniemy badać to wszystko, natrafimy na pewien fakt niezwykły. Nawet najlepsi ludzie owej epoki wierzyli wówczas, że jedynie stałymi pierwiastkami przyrody ludzkiej, na jakich bezpiecznie można było oprzeć ustrój społeczny, były jej skłonnaści najgorsze.

Uczono ich i wierzyli też, że chciwość i samolubna pogoń za zyskiem były jedynem spoidłem ludzkości, oraz że wszelkie stowarzyszenia ludzkie rozpadłyby się zaraz, gdyby uczyniono cokolwiek w celu stępienia ostrości tych pobudek lub pohamowania ich wpływu. Słowem wszyscy, nawet ci, którzy mówili inaczej, wierzyli w coś całkiem przeciwnego temu, co nam wydaje się tak oczywistem dzisiaj, wierzyli oni, że antyspołeczne przymioty ludzi, nie zaś ich przymioty społeczne, były źródłem sił spajających społeczeństwo. Wydawało się im rzeczą słuszną, iż ludzie żyli ze sobą jedynie w celu wzajemnego uciskania się i oszukiwania, oraz że podczas gdy społeczeństwa, dające wolne ujście owym skłonnościom, mogły być trwałe, to natomiast niewielką możność ostania się przy życiu miałyby społeczność, wspierająca się na idei współdziałania — ku dobru wszystkich. Wydaje się niedorzecznością przypuszczać, iżby kiedykolwiek ludzie mogli bronić przekonań podobnych, jednakże faktem jest jak najzupełniej przez historję stwierdzonym, że nie tylko praojcowie nasi mieli takie poglądy, ale że nadto były one przyczyną długiego odraczania przeobrażeń społecznych nawet wówczas, gdy powszechnie uznawano, iż wady starego porządku są nie do zniesienia. W tem właśnie znajdziecie wytłomaczenie głębokiej rozpaczycy w piśmiennictwie ostatniej ćwierci wieku dziewiętnastego, źródło melancholii ich utworów poetyckich, oraz cynizmu ich humoru.

„Czując, że położenie rodu ludzkiego jest nieznośnem, nie mieli jednak ludzie żadnej wyraźnej nadziei czegoś lepszego. Mniemali oni, że rozwój ludzkości wprowadził ją ostatecznie w jakąś matnię ślepa, z której nie można się było wydostać. O nastroju umysłów owoczesnych w uderzający sposób świadczą pewne księgi, które do-

trwały do naszych czasów, a z któremi ciekawsi mogą zapoznać się nawet w naszych księgozbiorach; w rozprawach tych pracowicie zbiera się dowody dla wykazania, iż na przekór wszelkim nędzom ludzkim, życie, dzięki słabej przewodze stron dobrych, było prawdopodobnie czemś lepszem, niż niebyt. Pogardzając sobą, pogardzili też oni naturą. Zaledwie blade i nieśmiałe odbłyśki spadały na ziemski chaos z nieba, grubo przysłoniętego zwątpieniem i strachem. Nam dzisiaj wydaje się to godnem pożałowania szaleństwem, iż ludzie mogli wątpić o naturze, której technienie tkwiło w ich piersiach, lub obawiać się rąk, które ich kształtowały; ale musimy przypomnieć sobie, że dzieci odważne w dzień, żywią niekiedy niedorzeczną obawę w nocy. Po owej dobie mrocznej zapanował już świt.

„Pobieżnie, jak na to pozwalał charakter mego przemówienia, zwróciłem tu uwagę na niektóre z przyczyn, co przygotowały umysł ludzki do zmiany starego porządku na nowy, jak również wskazałem przyczyny owego rozpaczego konserwatyzmu, który przez chwilę powstrzymywał ludzi od reform nawet wtedy, gdy czas ich nadszedł. Dziwić się szybkości, z jaką zmiana się odbyła, kiedy po raz pierwszy zrozumiano jej możliwość, byłoby to zapominać o zaraźliwym wpływie nadziei na umysły ludzkie, zdawna przyzwyczajone do rozpaczy. Blask słoneczny po tak długiej a ciemnej nocy musiał nieuchronnie olśniewać. Z chwilą, kiedy ludzie pozwolili sobie uwierzyć, że ludzkość ostatecznie nie jest przeznaczoną na zmarnienie, że jej skurczona postawa nie dawała jeszcze miary możliwego jej rozrostu, lecz, że stała ona na wyżynach nieograniczonego rozwoju, wówczas z konieczności musiano wpaść w zachwyty... Oczywiście jest, że nic nie mogło po-

wstrzymać entuzjazmu, jakim ich natchnęła nowa wiara.

„Tutaj nareszcie ludzie musieli to uczuwać, miano do czynienia z przyczyną, w porównaniu z którą wszystkie największe przyczyny historyczne były czemś trywialnem. Zapewne dlatego, iż mogłaby była ona powołać miliony męczenników, ani jednego z nich nie było potrzeba. Zmiana dynastji w jakimś drobnem królestwie starego świata kosztowała częstokroć więcej istnień ludzkich, niżli przewrót, który nakoniec postawił stopy ludzkości na właściwej drodze.

„Každy, komu dozwolonem jest korzystać z dobrodziejstw życia naszej świetnej epoki, uważałby niewątpliwie za szaleństwo pragnienie jakiegoś innego losu; a jednak, co do mnie, to często myślałem sobie, że byłbym śmiało zamienił mój udział w tym złotym, pogodnym wieku na miejsce w owej burzliwej epoce przejściowej, kiedy bohaterowie zdobywali szturmem zaparte wrota przyszłości, odsłaniając zdumionemu oku ludzkości beznadziejnej, zamiast niemej ściany, zamykającej jej drogę, widoki postępu, którego koniec samym nadmiarem swego światła, olśniewa nas dziś jeszcze...

„O, przyjaciele moi! któż powie, że życie wówczas kiedy wpływ najślabszy był dźwignią, za dotknięciem której drżały stulecia, że życie takie nie było warte udziału nawet w tej naszej epoce owocodajnej?..

„Znacie historję owej ostatniej największej rewolucyi. W ciągu jednego pokolenia ludzie zarzucili społeczne tradycyje i praktyki barbarzyńców i przybrali porządek społeczny, godny istot rozumnych i prawdziwie ludzkich. Zaniechawszy zwyczajów łupieżczych, stali się oni współpracownikami i w braterstwie znaleźli jednocześnie naukę z bogacenia się i szczęśliwości.

„Co będę jadł i pił, czem się przyodziewać będę? — takie zamknięte w sobie zagadnienie nie miało ani rozwiązania ani końca; ale z chwilą, gdy tylko postawiono je na gruncie nie indywidualizmu, lecz braterstwa: „co będziemy jedli i pili i w co się przyodziewać będziemy?..“ — trudności jego znikły.

„Ubóstwo i uciemnienie ogółu ludzkości, były następstwem usiłowań, podejmowanych w celu rozwiązania ze stanowiska indywidualnego zagadnień o utrzymaniu bytu, ale gdy tylko naród stał się jedynym kapitalistą i pracodawcą, natychmiast dostatek zajął miejsce ubóstwa, a nadto, ostatnie ślady niewoli człowieka u człowieka znikły z oblicza ziemi. Niewolnictwo tak często rażone napróżno, otrzymało cios śmiertelny. Środki utrzymania nie przechodząc już jak jałmużna od mężczyzny do kobiety, od bogatych do biednych, od pracodawcy do najemnika, płynęły raczej ze wspólnego zasobu, jak pośród dzieci znajdujących się u stołu rodzicielskiego. Niemożliwością stało się dla człowieka używanie bliźnich jako narzędzi jego własnego zysku. Szacunek stał się jedynym rodzajem zapłaty, na jaką mógł się on zdobyć. Nie było ani arogancyi, ani służalczości we wzajemnych stosunkach ludzkich. Po raz pierwszy od czasu stworzenia każdy człowiek stał się równym wobec innych. Obawa niedostatku i pragnienie zysku przestały być pobudkami działania z chwilą, gdy obfitość zapewniono wszystkim, zaś nieumiarkowane posiadanie wszystkim uniemożliwiono. Nie było już ani żebraków, ani rozdawców jałmużny. Wobec sprawiedliwości miłosierdzie nie miało nic do roboty. Dziesięcioro przykazań stały się niemal rzeczą przestarzałą w świecie, gdzie nie było pokusy do kradzieży, sposobności do kłamstwa, bądź z obawy, bądź też z pochlebstwa, gdzie nie było miejsca dla

zawiści, gdyż wszyscy byli równi, oraz gdzie słabą była zachęta do gwałtów, gdyż ludzie pozbawieni zostali władzy krzywdzenia siebie. Dawne marzenie człowieczeństwa o wolności, równości i braterstwie, wyśmiewane przez tyle wieków, urzeczywistniło się w końcu.

„Tak samo, jak w społeczności dawnej jednostki szlachetne, sprawiedliwe, o sercu dobrem, znajdowały się w położeniu niekorzystnym z powodu posiadania tych przymiotów, tak w nowym społeczeństwie ludzie oziębli, chciwi i samolubni, widzą się wyłączonymi z pośród świata swych bliźnich. Dzisiaj, kiedy po raz pierwszy warunki życia przestały działać, jako czynniki, sprzyjające rozwojowi brutalnych cech ludzkiej przyrody, kiedy nagroda, zachęcająca dotąd do sobkostwa, nie tylko została mu odjęta, ale stała się udziałem przymiotów przeciwnych, po raz pierwszy można się przekonać, czem istotnie jest niespaczona natura ludzka. Ujemne skłonności, które dawniej przerastały sobą i zaciemniały tak bardzo lepszą część ludzkiej istoty, teraz zwiędły, jak grzyby piwniczne na otwartem powietrzu, zaś przymioty szlachetniejsze zakwitły nagle z takim przepychem, iż cynicy stali się chwalcami człowieka; po raz pierwszy w dziejach ludzkość doznała pokusy zakochania się w sobie. Niebawem też objawiło się to, czemu nigdy nie byliby uwierzyli prorocy i myśliciele świata starego, że przyroda ludzi w samej istocie swojej dobrą jest, nie złą, że ludzie z przyrodzonych skłonności swoich i ustroju są szlachetni, nie zaś samolubni, litościwi, nie zaś okrutni, przyjacielscy, nie zaś kłótniwi. Stały, w ciągu pokoleń niezliczonych trwające, ucisk warunków życia, który aniołów mógłby znieprawić, nie był jednak zdolnym zmienić zasadniczo przyrodzonej szlachetności

rodu ludzkiego, kiedy zaś warunki owe usunięto, ludzkość natychmiast, jak drzewo uprzednio zgięte, odzyskała właściwą sobie postawę wyprostowaną.

„Przedstawiając rzecz całą w formie przypowieści, porównam ludzkość dawniejszą do krzewu róży, zasadzonego na wilgotnym, przesiąkniętym wodą bagnistą gruncie, oddychającego w dzień mgłą, nasyconą miazmatami, a w nocy ziębionego rosą trującą. Niezliczone pokolenia ogrodników dokładały wszelkich starań, aby go doprowadzić do kwitnięcia, ale oprócz ukazującego się tu i owdzie, nawpół rozchylonego pączka z robakiem we wnętrzu, usiłowania ich nie dawały żadnych a żadnych owoców. Wielu twierdziło, że roślina ta nie była wcale krzewem rozanym, lecz że był to chwast szkodliwy, godny jedynie wyplenienia i spalenia go. Orodnicy jednakże utrzymywali najczęściej, że krzak ów należał do rodziny różowatych, lecz że miał on w sobie jakąś skazę niewykorzenioną, co przeszkadzała mu wydawać pączki i była przyczyną jego niemocy ogólnej. Byli jednak i tacy, którzy oświadczaali, że sam szczep był dosyć dobry, że przyczyna złego tkwiła w bagnie, oraz że w warunkach bardziej przyjaznych roślina, należało się tego spodziewać, byłaby lepsza. Ale osoby takie nie były urzędowymi ogrodnikami, że zaś ci ostatni patrzyli na tamtych z pogardą, nazywając ich teoretykami i marzycielami. więc najczęściej i ludność cała zapatrywała się na nich tak samo. Co większa, niektórzy z wybitnych moralistów utrzymywali, iż nawet zgadzając się z tem, iż krzew mógłby się rozwijać lepiej na innym gruncie, należało mniemać, że lepszą będzie szkołą dla pączków owo usiłowanie zakwitnięcia w bagnisku, niż w warunkach bardziej przyjaznych. Pączki, którym udawało się rozwinąć, bywały wprawdzie bardzo rzadkie, kwiaty zaś blade i

bez zapachu, ale przedstawiały one o wiele więcej moralnego wysiłku, niż byłyby przedstawiały wówczas, gdyby samorzutnie zakwitły sobie w ogrodzie.

„Ogrodnicy przysięgli i moralisci postawili na swoim. Krzew korzenił się dalej w bagnisku, podlegając takiemuż, jak dawniej, pielęgnowaniu. Ustawicznie dawano korzeniom coraz to nowe rodzaje mikstur pokrzepiających, a dla zabicia robactwa i usunięcia rdzy przepisywano coraz to inne recepty niezliczone, z których każda, zdaniem swego obrońcy, miała być najlepszą i jedynie praktyczną. Trwało to przez czas bardzo długi. Niekiedy jaki taki oznajmiał, iż spostrzega pewną poprawę w zewnętrznym wyglądaniu krzewu, ale było również wielu takich, którzy oznajmiali, iż wygląda on gorzej, niż zwykle. Ostatecznie, trudno było zaznaczyć jakąś zmianę wybitniejszą. Nakoniec, w okresie powszechnego zwątpienia co do przyszłości krzewu na tym samym gruncie, podjęto na nowo myśl przesadzenia go; tym razem znalazła ona uznanie. „Spróbujmy tego — wołano ogólnie. Może lepiej chować się będzie gdzieindziej; tutaj nawet wątpić wolno, czy go warto uprawiać dłużej.“ Stało się w ten sposób, że drzewo ludzkości przesadzonem zostało na rolę pulchniejszą, ogrzaną, suchą, gdzie się kąpać mogło w promieniach słońca, gdzie uśmiechały się doń gwiazdy, gdzie pieścił je wiatr południowy. Okazało się wówczas, że był to istotnie krzew różany. Robactwo i rdza znikły, a krzew okrył się najpiękniejszymi różami czerwonymi, których woń świat zalewała.

„Rękojmią przeznaczeń naszych na ziemi jest to, iż natura w sercach naszych złożyła niedościgły ideał doskonałości, w zestawieniu z którym przeszłe nasze dzieła wydają się nam zawsze nieznaczniemi, zaś cel przyszłości jednako zawsze odległym. Gdyby praojcowie

nasi mogli wyobrazić sobie taki stan społeczeństwa, w którym ludzie żyją razem, jak bracia, w zgodzie i zjednoczeniu, bez zawiści i swarów, bez gwałtów i oszustwa, gdzie za cenę pracy w obranym przez nich zawodzie, nie większej niż ta, jakiej domaga się zdrowie, mogą oni być całkiem wolnymi od troski o jutro i nie więcej kłopotać się o utrzymanie życia od drzew, zraszanych stale przepływającym strumieniem, gdyby, powiadam, wyobrazili sobie taki stan rzeczy, wydawałby się on dla nich rajem. Braliby go za jedno ze swoim wyobrażeniem nieba i nie śniłoby się im nawet, że poza tem może istnieć coś jeszcze, czego można byłoby pragnąć, lub do czego by jeszcze dążyć było można!

„Tymczasem jednak, jakże jest z nami, którzyśmy już dosięgli owych wyzyn, na jakie oni mogli tylko spoglądać? Jużemy prawie zapomnieli — z wyjątkiem takich wypadków, kiedy coś szczególnego przywiedzie nam to na myśl — że nie zawsze było tak ludziom, jak jest dzisiaj. Przedstawienie sobie urządzeń społecznych naszych przodków bezpośrednich wymaga już od nas pewnego wysiłku wyobraźni. Znajdujemy, iż były one zbyt pierwotnymi. Takie rozwiązanie sprawy fizycznego utrzymania się, iż wygnaną została i troska i zbrodnia, nietylko nie wydaje nam się jakimś kresem ostatecznym, ale wygląda w naszych czasach, jako przygotowanie do czegoś, co naprawdę będzie istotnym postępem ludzkim. Uwolniliśmy się tylko przez to od nieznosnej i niepotrzebnej zawady, przeszkadzającej niegdyś naszym przodkom w ściganiu istotnych celów życia. Tylkośmy się rozebrali do wyścigu, nie więcej. Jesteśmy, jak dziecko, które dopiero co nauczyło się stać prosto i chodzić. Ze stanowiska dziecka pierwsze jego kroki są wydarzeniem wielkiem. Wyobraża ono

sobie może wówczas, że poza tem niewiele już pozostaje do zrobienia, ale po roku już zapomina, że nie zawsze chodzić mogło. Tylko widnokrąg jego się rozszerza w miarę rośnięcia i ustępuje przed niem, gdy się ono porusza. W pewnem znaczeniu pierwszy krok jego był wypadkiem istotnie wielkim, lecz tylko jako początek, nie zaś jako koniec. Dopiero wówczas rozpoczyna ono swój zawód. Uwolnienie się ludzkości w stuleciu ostatniem od nadmiaru pracy umysłowej i fizycznej, od myślenia litylko o potrzebach ciała można uważać, jak gdyby za powtórne narodziny rodzaju ludzkiego, bez których pierwsze jego urodzenie się, rozpoczęcie istnienia, będącego tylko ciężarem, byłoby pozostało na zawsze rzeczą nieusprawiedliwioną; dziś otrzymała za nią ludzkość sowite odszkodowanie. Tak więc, ludzkość weszła w nową fazę duchowego rozwoju, w fazę ewolucyi zdolności wyższych, których nawet istnienia w ludzkiej przyrodzie nasi przodkowie prawie nie podejrzewali. Zamiast okropnej rozpaczki wieku XIX-go, zamiast głębokiego pesymizmu co do przyszłości człowieczeństwa, ożywczą ideą obecnego wieku jest entuzjastyczna koncepcyja łatwości naszego ziemskiego istnienia i nieskrępowanej możności rozwoju ludzkiej przyrody. Doskonalenie się ludzkości z każdym nowem pokoleniem pod względem fizycznym, umysłowym i moralnym, uznanem zostało za rzecz wielką, godną w najwyższym stopniu wysiłków i ofiar. Wierzmy, iż rodzaj ludzki po raz pierwszy począł urzeczywistniać ideę doskonałości, oraz że każde pokolenie musi być teraz krokiem naprzód.

„Zapytacie mnie, czego spodziewać się możemy w przyszłości, po przeminięciu pokoleń niezliczonych? Odpowiem, iż droga daleko ścięła się przed nami, ale kres jej ginie w potokach światła. Dwojakim bowiem

może być powrót człowieka do natury, „która jest domem naszym“: powrót jednostki drogą śmierci, oraz powrót rodzaju ludzkiego przez wypełnienie przeznaczeń jego, kiedy ukryta w zarodku boska tajemnica weźmie już na się kształt doskonały. Żegnając przeto łąką współczucia mroczną przeszłość, zwróćmy się do olśniewającej przyszłości i, przystłoniwszy oczy nasze, zdążajmy naprzód.

„Długa i męcząca zima ludzkości już się skończyła. Rozpoczęło się jej lato. Ludzkość przerwała już oponę poczwarki. Niebo jest przed nią !..

Rozdział XXVII--my

Nie wiem dlaczego, ale niedzielne popołudnie w moim życiu dawniejszem bywało dla mnie zawsze taką porą, kiedym szczególnie podlegał melancholii, kiedy bez widomego powodu wszystkie uroki życia traciły dla mnie swą barwę i kiedy nie budziło we mnie zajęcia. Godziny, lecące zawsze dla mnie tak chyżo, traciły siłę lotu, a opadając ku wieczorowi zupełnie na ziemię, wlokły się z wysiłkiem. Być może, wskutek utrwalenia i skojarzenia wyobrażeń, pomimo zupełnej zmiany warunków, popadłem w stan głębokiego przygnębienia, gdy nadeszło popołudnie tej mojej pierwszej niedzieli w wieku XX.

Teraz jednakże już nie melancholija nieokreślona, o jakiej mówiłem, była powodem tego stanu; nie brakło tu przyczyny wyraźniejszej, a było nią uczucie, wywołane i usprawiedliwione z pewnością przez moje położenie obecne. Kazanie Bartona z jego ciąglem wska-

zywaniem owej olbrzymiej przepaści moralnej pomiędzy mojem stuleciem dawniejszem a obecnem wpłynęło silnie na spotęgowanie we mnie mego uczucia osamotnienia. Jakkolwiek filozoficznie i względnie się on wyrażał, słowa jego jednakże nie mogły chyba nie odślonić mi owej mieszaniny ciekawości, litości i odrazy, jaką ja, przedstawiciel epoki wstrętnej, musiałem budzić we wszystkich, co mnie otaczali.

Niezwykła uprzejmość, jaką okazywali mi doktor Leete i jego rodzina, szczególnie zaś dobroć Edyty, nie pozwalały mi dotąd uprzytomnić sobie jasno, że istotne ich dla mnie uczucie musiało być takim samem, jak i uczucie całego pokolenia, do którego oni należeli. Uznanie tego faktu, odnośnie do doktora Leete i jego uprzejmej małżonki, jakkolwiek przykre dla mnie, nie przewyższało jednak sił moich; ale przekonanie, że Edyta również musi dzielić ich uczucia, było dla mnie nie do zniesienia.

Przygnębiające wrażenie, jakie wywarło na mnie spóźnione odkrycie tego faktu, tak widocznego, otworzyło mi oczy na jedną okoliczność, której może domyślał się już czytelnik: kochałem Edytę...

Cóż w tem było dziwnego?..

Wzruszający wypadek, od którego rozpoczęło się nasze zbliżenie, kiedy ręce jej wyrwały mnie wprost z wiru obłąkania, ten fakt, że sympatya jej była technieniem żywem, budzącem mnie do tego nowego życia i dającym siły do zniesienia go, mój nałóg patrzenia na nią, jak na pośrednika pomiędzy mną a światem otaczającym, pośrednika, jakim nie był nawet jej ojciec, takie oto okoliczności spowodowały ów wynik, który dałby się wytłomaczyć już nawet ze względu na niezwykły powab i usposobienie samej jej osoby. Było rzeczą całkiem nieuchronną, iż musiała ona wy-

dawać mi się jedyną kobietą na świecie, a to w znaczeniu odmiennem, niż wszystkim innym kochankom. Dziś, kiedy nagle uczułem całą płonność owych nadziei, jakimi zaczynałem się już ludzi, cierpiałem nietylko tak, jak każdy z zakochanych, ale nadto uczułem rozpaczliwe osamotnienie i opuszczenie ostateczne, jakiego żaden inny najnieszcześniejszy kochanek nie mógłby uczuwać.

Gospodarze moi widzieli, iż byłem podupadł^{ym} na duchu, robili więc wszystko, co można, aby mnie rozerwać. Zwłaszcza Edyta niepokoiła się widocznie o mnie; ale z właściwą kochankom przewrotnością, ja, pomimo iż niedawno marzyłem o dostąpieniu czegoś więcej od niej, obecnie widziałem w tem tylko wyraz zwykłej sympatyi i uprzejmości.

Za zbliżeniem się nocy, przesiadawszy w moim pokoju większą część popołudnia, wyszedłem do ogrodu. Dzień się kończył, a w ciepłym, spokojnym powietrzu unosił się jakiś zapach jesieni. Znalazłszy się w pobliżu rozkopu, wszedłem do podziemnej komnaty swojej i usiadłem tam.

— Tutaj... — szeptałem do siebie — tutaj jest jedynie dom mój... Powiniennem tu zostać i nie wychodzić nigdzie więcej...

Szukając jakiegoś ratunku w znajomem mi otoczeniu, chciałem znaleźć jakby smutną pociechę jakąś we wskrzeszeniu przeszłości, w odtworzeniu sobie kształtów i twarzy, jakie otaczały mnie za mego istnienia dawniejszego. Napróżno jednak. Nie było w nich już życia. Prawie od wieku już gwiazdy spoglądały na grób Edyty Bartlett i na groby wszystkich moich współczesników.

Przeszłość umarła, zdławiona ciężarem stulecia, a teraźniejszość była przedemną zamknięta. Nie było dla

mnie miejsca nigdzie, nie byłem ani umarłym, ani też naprawdę żywym.

— Przebacz mi pan, żem za nim tu przysłała.

Spojrzałem w górę. Edyta stała we drzwiach komnaty podziemnej, patrząc na mnie z uśmiechem, ale oczami pełnymi współczucia i niepokoju.

— Niech mnie pan odprawi, jeśli mu przeszkadzam... — rzekła — ale widzieliśmy, że byleś pan jakoś smutny; a przecie pan mi obiecał powiedzieć, gdy się zdarzy coś podobnego... Nie dotrzymał pan słowa.

Powstałem, by zbliżyć się do drzwi i usiłując się uśmiechnąć, ale, jak sędzę, nieszczęśliwie wywiązywałem się z tego zadania, gdyż widok tej miłej istoty znowu, tylko w sposób bardziej dojmujący, uprzytomnił mi przyczynę mojej nędzy...

— Czułem się tylko nieco osamotnionym... Czy nigdy nie przychodziło pani na myśl, iż położenie moje jest tak dalece jedynem, że dla określenia go potrzebaby było stworzyć nowy wyraz...

— O, nie powinieneś pan tak mówić, ani też nie powinieneś pan sobie pozwalać na takie uczucia... — zawołała ona z oczami zwilżonemi. — Czyliż my nie jesteśmy pańskimi przyjaciółmi?... Pańska to wina, że nie pozwalasz nam być nimi... Pan nie powinien się czuć samotnym...

— Jesteś pani dobrą dla mnie w stopniu niepojętym; ale czyż sądzisz pani, iż nie wiem, że to tylko litość, słodka litość, ale zawsze litość... Byłbym szaleńcem, gdybym nie wiedział, iż nie mogę wydawać się pani takim samym, jak inni ludzie jej pokolenia, ale jak jakaś dziwnie bezsilna istota, jak stworzenie jakieś wyrzucone na brzeg nieznanego morza, stworzenie, którego niemoc budzi wasze współczucie, pomimo jego potworności... Ja byłem tak szalonym, a pani tak do-

bra, iż prawie zupełnie zapomniałem, że tak właśnie być musi i wyobrażałem sobie, że z czasem będę mógł naturalizować się w tem stuleciu, jakeśmy to mawiali, tak, iż będę się mógł czuć jednym z pomiędzy was i wam wydawać się takim, jak i inni ludzie, was otaczający. Ale kazanie Bartona nauczyło mnie, jak płonem było owo złudzenie, jak wielką musi wydawać się wam dzieląca nas otchłań...

— Och, to przebrzydłe kazanie... — zawołała Edyta, głośnym krzykiem wyrażając teraz swoją sympatyję. — Nie trzeba było pozwalać panu słuchać go... Co on tam wie o panu?.. Czytał gdzieś w starych zapleśnionych książkach o waszych czasach i koniec... Co się masz pan troszczyć o niego, albo dręczyć się czemkolwiekbądź, co on powie?.. Czyż nie to dla pana nie znaczy, że my, którzy go znamy, inaczej czujemy?.. Czyż nie więcej idzie panu o to, co my o panu myślimy, niż o to, co myśli on, który pana nigdy nie widział?.. O, panie West, pan nie może sobie wyobrazić, co ja czuję, widząc pana tak wątpiącym. Ja nie mogę tego tak pozostawić... Cóżby tu panu powiedzieć?.. Jak przekonać pana, o ile odmiennemi są nasze względem niego uczucia od tego, co pan o nich myśli...

Tak samo, jak i w owej innej chwili krytycznej, gdy przychodziła do mnie, wyciągnęła teraz ku mnie ręce z ruchem, niosącym pokrzepienie, tak samo też jak wtedy, pochwyliłem je i zatrzymałem w mych dłoniach. Pierś jej falowała silnem wzruszeniem, a lekkie drżenie palców, które ścisakałem, uwydatniało jeszcze bardziej jej uczucia. Na twarzy jej litość staczała jakąś boską walkę z przeszkodami, które ją ubieżwładniały. Współczucie kobiety nigdy z pewnością nie przywdziewało wyrazu bardziej powabnego.

Pod wrażeniem piękności takiej i dobroci, serce mi

zupełnie ztajało; sądziłem też, że najwłaściwszą tutaj odpowiedzią byłoby wyznanie jej całej prawdy. Rzecz prosta, nie miałem ani iskierki nadziei, ale z drugiej strony nie mogłem się też obawiać jej gniewu. Była na to zbyt litościwą.

To też naraz rzekłem :

— Bardzo niewdzięczny jestem, że się nie zadowolił uprzejmością, jaką pani mi okazywała i okazuje teraz. Ale czyż pani jest o tyle ślepa, że nie widzi, dlaczego uprzejmość ta nie wystarcza do mego szczęścia. Czy nie widzi pani, iż byłem dość szalony, aby cię pokochać...

Przy ostatnich słowach zarumieniła się mocno i opuściła oczy, ale nie uczyniła żadnego wysiłku w celu usunięcia rąk swoich z mych dłoni. Przez kilka chwil stała tak, drżąc z lekka. Później, pokraśniawszy jeszcze mocniej, ale z uśmiechem czarującym, podniosła wzrok na mnie.

— Jest-żeś pan pewny, że nie pana to dotknęła ślepotą?.. — zapytała.

To było wszystko, ale też dość tego było, gdyż słowa te oznajmiały mi, że jakkolwiek niewytłomaczonym, niewiarogodnymby się zdawało, promienne to dziecię złotego wieku obdarzyło mnie nie tylko litością swoją, ale i miłością.

A jednak, nawpół wierząc prawie, iż jestem we władzy jakiejś halucynacji błogosławionej, pochwywszy ją w moje ramiona, krzyknąłem :

— Jeslim postradał zmysły, pozwól mi tak pozostać...

— O mnie to chyba pan pomyśli, że zmysły postradała... — zawołała, wrywając się z mych objęć, gdym za ledwie zdołał zakosztować słodczy jej ust. — Ach, co pan musi myśleć o mnie, że się prawie rzuciła w objęcia człowieka, którego znam za ledwie od

tygodnia?.. Nie myślałam, byś pan to odkrzył tak wcześnie, ale takem się smuciła z powodu pana, że nie pamiętałam, co mówię. Nie, nie, nie śmiesz pan dotykać się mnie, póki się nie dowiesz, kim jestem. Później, mój panie, będziesz mnie pan bardzo pokornie przeproszał za to, żeś myślał, jak tego jestem pewna, iż zbyt pośpiesznie zakochałam się w panu. Kiedy się pan dowiesz, kim jestem, zmuszony będziesz wyznać, że wprost obowiązkiem moim było pokochać cię przy pierwszym wejrzeniu i że każda dziewczyna z sercem nie byłaby postąpiła inaczej na mojem miejscu.

Jak można przypuszczać, chętniebym się zgodził na pominięcie wszelkich objaśnień, ale Edyta okazała się stanowczą co do tego, iż nie będzie żadnych pocałunków, dopóki obalonemi nie zostaną wszelkie podejrzenia, że zbyt pośpiesznie mogła ona darzyć mnie swemi uczuciami; musiałem też pójść za nią do domu po rozwiązanie słodkiej zagadki.

Przyszedłszy do pokoju matki, szepnęła jej coś zarumieniona do ucha i wybiegła z pokoju, pozostawiając nas samych.

Okazało się wówczas, że jakkolwiek dziwną była moja przygoda, dopiero teraz miałem zapoznać się z rysem jej najdziwniejszym. Od pani Leete dowiedziałem się, że Edyta była prawnuczką nie kogo innego, jak tylko mojej pierwszej kochanki Edyty Bartlett.

Opłakawszy mnie, po latach czternastu zawarła ona małżeństwo, oparte tylko na szacunku i dała życie synowi, który był ojcem pana Leete. Pani Leete nigdy nie widziała swej babki, lecz słyszała o niej wiele i kiedy urodziła się jej córka, dała jej również imię Edyty. Fakt ten mógł przyczynić się do rozbudzenia w dziewczynie, gdy urosła, większego zajęcia się tem wszystkim, co dotyczyło jej prababki, a szczególnie

tragicznych dziejów domniemanej śmierci w płomieniach palącego się domu kochanka jej, którego miała poślubić. Była to opowieść, mogąca łatwo obudzić sympatyję romantycznej dziewczyny, zaś ten fakt, że krew nieszczęśliwej bohaterki płynęła również i w jej żyłach, potęgował naturalnie zajęcie się Edyty ową opowieścią. Portret Edyty Bartlett, niektóre z jej papierów, a między nimi paczka moich własnych listów, znajdowały się w liczbie pamiątek rodzinnych. Obraz przedstawiał bardzo piękną młodą kobietę, dokoła której bardzo łatwo było snuć wszelkie tkliwe i romantyczne opowieści. Moje listy dały Edycie pewien materiał do wytworzenia sobie jasnego wyobrażenia o mojej osobie, a zarazem dopomagały jej do żywego uprzytomnienia smutnej, dawnej historii. Mawiała zwykle rodzicom swym półzartem, iż nigdy nie wyjdzie za mąż, dopóki nie znajdzie kochanka takiego, jak Julian West, oraz, że teraz takich już nie było.

Otóż to wszystko było, rzeczą prostą, marzeniem tylko młodej dziewczyny, której umysłu nie zaprzętała nigdy żadna sprawa sercowa i nie miałoby też następstw poważnych, gdyby nie odkrycie owego poranku podziemnej komnaty w ogrodzie jej ojca, gdyby nie sprawdzenie tożsamości osoby jej mieszkańca. Kiedy bowiem martwe na pozór ciało przeniesiono do domu, wówczas w medalijonie, znalezionym na piersiach uspiętego, poznano natychmiast portret Edyty Bartlett, zaś fakt ten, w połączeniu z innymi okolicznościami, wskazał im, że ja był nie kto inny, jeno Julian West.

Gdyby nawet, jak się to działo na razie, nie miano żadnej myśli wskrzeszenia mnie, to, jak utrzymywała pani Leete, wypadek ten musiałby wywrzeć stanowczy a długotrwały wpływ na jej córkę. Przypuszczenie, jak gdyby jakiejś subtelnej woli przeznaczeń, splatają-

cej losy jej z moimi, byłoby w danych okolicznościach posiadało władzę nieprzepartą nad umysłem każdej prawie kobiety.

Teraz, jak mówiła dalej jej matka, sam mogłem osądzić, czy zbyt skwapliwą była ona w obdarowaniu mnie swoją miłością przy najpierwszych oznakach uczucia z mojej strony, kiedy w kilka godzin później powróciłem już był do życia i kiedy, jak się zdawało, od początku zaraz popadłem w osobliwą zależność od niej i znajdowałem ukojenie szczególnie w jej towarzystwie. Jeślim jeszcze tak myślał, to powinienem być przypomnieć, że było to stulecie XX-te, nie zaś XIX, oraz, że miłość rosła teraz bezwątpienia prędszej i szerszą była w objawach swoich, niż wtedy.

Od pani Leete poszedłem do Edyty.

Kiedym ją odnalazł, przedewszystkiem wziąłem ją za obie ręce i stałem tak przed nią przez czas długi, wpatrując się z zachwytem w jej oblicze. Gdym na nią patrzył, pamięć tamtej drugiej Edyty, znieczulona niejako straszliwem wstrząśnieniem, które nas rozdzieliło, odżyła we mnie na nowo i serce moje tajało od wzruszeń tkliwych i żałosnych, ale nieskończenie błogich. Ta sama bowiem, która tak dotkliwie dawała mi uczuwać moją stratę, czyniła stratę ową dobrodziejstwem. Zdawało się, jak gdyby jej oczami Edyta Bartlett patrzyła w moje z uśmiechem ukojenia.

Los mój był nietylko najdziwniejszym, ale i najszcześliwszym z tych, jakie kiedykolwiek kogo spotkały. Stał się nademną cud podwójny. Nie zostałem wyrzucony na brzeg tego dziwnego świata tak, iżbym miał być samotnym i pozbawionym towarzysza. Kochanka moja, którą miałem już za straconą, wcieliła się ponownie ku memu pocieszeniu.

Kiedy, nakoniec, w uniesieniu wdzięczności i tkliwo-

ści, wziąłem to lube dziewczę w ramiona, dwie Edyty zmieszały się w myśli mojej i odtąd już nigdy nie rozdzielały się w niej zupełnie. Niebawem też okazało się, że i w myślach Edyty nastąpiło takie same po-
gmatwanie dwóch osobistości.

Napewno, nigdy pomiędzy dwojgiem świeżo połączonych kochanków nie bywało rozmów dziwniejszych, niż te, jakie myśmy prowadzili owego popołudnia. Zda-
wało się, iż więcej szło jej o to, abym opowiadał o Edycie Bartlett, niż o niej samej, więcej o to, jak kochałem tamtą, niż jakem ją kochał, a tkliwsze moje słowa, ściągające się nie do niej, lecz do tamtej, nagradzała tkliwymi uśmiechami i uściśnieniem ręki.

— Nie powinienesz mnie pan kochać zanadto dla mnie samej... — wyrzekła — będę bardzo zazdrosna za nią... Nie pozwolę panu o niej zapomnieć... Powiem panu coś takiego, co może mu się wydać dziwnem... Czy nie wierzysz pan, że duchy powracają czasem na ziemię, aby spełnić coś, co szczególnie leży im na sercu?.. Cobyś pan zrobił, gdybym powiedziała, iż myślałam niekiedy, że duch jej żyje we mnie, że istotne imię moje Edyta Bartlett, nie zaś Edyta Leete... Nie mogę tego wiedzieć, naturalnie nikt z nas nie może wiedzieć, kim jesteśmy istotnie, ale mogę to odczuwać. Czyż będziesz się pan dziwił, że miałam takie uczucia, wiedząc, jak dalece na życie moje wpłynęła ona i pan, nawet przed swoim przyjściem?.. Tak, nie powinienesz się pan trwożyć zupełnie, kochając mnie, jeśli tylko pozostaniesz jej wiernym... Nie potrafiłabym być zazdrosną...

Doktór Leete wyszedł był z domu owego popołudnia i mogłem z nim zobaczyć się dopiero później. Jak się zdaje, nie był on całkowicie nieprzygotowanym do

wiadomości, jakiej mu udzieliłem i serdecznie uściśnął mnie za rękę.

— W zwykłych okolicznościach, panie West, powie działbym, że krok ten jest może nieco za pośpieszny; ale okoliczności stanowczo nie są tu zwyczajne...

— W przystępie szczerości... — dodał jeszcze, śmiejąc się — powinien byłbym powiedzieć panu, że jakkolwiek z radością przystaję na wasz układ, to jednak nie potrzebujesz pan poczuwać się do wielkiej ku mnie wdzięczności, gdyż przyzwolenie moje uważam tylko za formalność... Sądzę, że z chwilą wydania się tajemnicy medalijonu, przyzwolenie to musiało już być dane. Toć gdyby nie było tutaj Edyty dla spełnienia przeznaczeń jej prababki, obawiam się doprawdy, że lojalność mojej żony względem mnie byłaby wystawiona na ciężką próbę.

Owego wieczora ogród tonął w świetle księżycowem i do północy myśmy chodzili z Edytą po nim, usiłując oswoić się z naszym szczęściem.

— Co jabym poczęła, gdybyś pan mnie nie był pokochał?.. — odezwała się ona. — Obawiałam się, że do tego nie przyjdzie... Co jabym robiła wtedy, skoro czułam, że jestem poświęcona panu... Gdyś tylko pan przyszedł do siebie, byłam tak pewna, jak gdyby ona mi to powiedziała, że będę dla pana tem, czem ona być nie mogła, ale że to się stanie nie inaczej, jak tylko za zgodą pana. O jakżem pragnęła owego poranku, kiedyś pan czuł się tak straszliwie obcym wśród nas, powiedzieć panu, kim byłam, ale nie śmiałam ust otworzyć o tem, ani też pozwolić na to ojcu albo matce...

— To o tem pewno nie pozwoliłaś pani mówić ojcu swemu... — zawołałem, przypominając rozmowę podsłuchaną w chwili obudzenia się z letargu.

— Naturalnie... — odrzekła z uśmiechem. — Czyś pan dopiero teraz tego się domyślił?.. Ojciec, jako mężczyzna, sądził, że najlepiej dopomoże panu czuć się wśród przyjaciół, gdy powie mu, kim jesteśmy. Nie myślał on wcale o mnie. Ale mama wiedziała, co się święci i w ten sposób ja postawiłam na swoim... Nie mogłabym nigdy spojrzeć panu w oczy, gdybyś wiedział, kim byłam. Byłoby to z mej strony zbyt śmiałym narzucaniem się; lękam się, że i dzisiaj może się panu to tak wydawać. Jestem pewna, że postąpiłam niewłaściwie, gdyż, jak wiem, za dni pana dziewczęta obowiązane były ukrywać się ze swemi uczuciami, to też straszliwie bałam się, aby nie zrazić pana... Ach, boże, jak ciężkiem musiało być dla nich owo wiekuiste ukrywanie swojej miłości, jak winy jakiej!.. Dlaczego uważały one za rzecz tak haniebną kochać kogoś przed otrzymaniem pozwolenia?.. Jakie to dziwne, gdy się pomyśli o czekaniu na pozwolenie czyjeś, aby się można było zakochać... Czyżby mężczyźni gniewali się wówczas za miłość dziewcząt?.. Nie tak, doprawdy, kobiety i mężczyźni czują dzisiaj... Nie rozumiem tego zupełnie... Będzie to należało do ciekawych szczegółów, dotyczących kobiety owoczesnej, jakie pan będzie musiał mi wyjaśnić. Nie sądzę, żeby Edyta Bartlett była równie niedorzeczną, jak i inne.

Po wielu próbach rozstania się, Edyta wymogła na koniec, abyśmy powiedzieli sobie dobranoc.

Przed wyciśnięciem na ustach jej naprawdę już ostatniego pocałunku, rzekła do mnie z nieopisaną figlarnością:

— Jedno mnie zatrwaza... Czyś pan jest zupełnie pewny tego, iż przebaczyłeś Edycie Bartlett jej zamążpójście. Książki, jakie z czasów waszych nam pozostały, przedstawiają kochanków, jako istoty bardziej zazdro-

sne, niż kochające, dlatego też o to się pytam... Byłoby dla mnie wielką ulgą, gdybym mogła być pewną, żeś pan ani trochę nie jest zazdrosny o mego pradziadka za to, że poślubił twoją kochankę... Czy będę mogła obrazowi mojej prababki przyszedłszy do pokoju, powiedzieć, żeś pan zupełnie przebaczył jej niewierność?

Czy uwierzy czytelnik, że zalotny ten żart, bez względu na to, czy sama jego autorka domyślała się tego, istotnie wzruszył mnie, a wzruszywszy wyleczył z niewczesnego bólu, przypominającego, jak gdyby zazdrość, jakiego niewyraźnie doznawałem od chwili, gdy pani Leete powiełała mi o małżeństwie Edyty Bartlett. Nawet kiedy trzymał jej prawnuczkę w moich objęciach, aż do owej chwili, tak nielogicznymi są bowiem niektóre z naszych uczuć, nie uprzytomniałem sobie wyraźnie, że bez owego małżeństwa nigdybym tego nie mógł uczynić. Nedorzeczność takiego nastroju ducha, jakkolwiek wielka, z niemniejszą jednak szybkością znikła, gdy figiarnie zapytanie Edyty uwolniło myśl moją od zamglenia.

Zaśmiałem się, całując ją.

— Możesz zapewnić ją o zupełnem mem przebaczeniu, chociaż, gdyby wyszła za kogo innego, nie za twego pradziadka, sprawa byłaby całkiem inna.

Gdy przyszedł owej nocy do mego pokoju, nie otwierałem telefonu muzycznego, aby ukołysać się do snu tonami łagodnej muzyki, jak to było weszło mi w zwyczaj. Myśli moje bowiem darzyły mnie muzyką lepszą, aniżeli nawet popis orkiestry XX-go wieku, a muzyka ta utrzymała mnie w zachwycie prawie aż do rana, kiedy nakoniec zasnął.

Rozdział XXVIII-my.

— Jest już trochę później, niż kiedy się pan kazał obudzić, proszę pana... Nie przyszedł pan do siebie tak szybko, jak zwykle...

Był to głos mego sługi Sawyera.

Porwałem się na łóżku, patrząc dokoła w osłupieniu. Znaj'owałem się w mojej komnacie podziemnej. Łagodne światło lampy, płonącej zawsze w pokoju, gdy ja go zajmowałem, oświetlało znajome mi ściany i sprzęty. Przy łóżku stał Sawyer ze szklanką kseresu w ręku, którego wypicie zaraz po ocknięciu się ze snu mesmerycznego zalecał mi zawsze doktor Pillsbury, a to dla rozbudzenia przytłumionych czynności fizycznych.

— Niech pan napije się tego prędeży, proszę pana.. — napierał Sawyer, gdy patrzył na niego wyblady.— Wygląda pan, jak pijany, to panu ulży...

Odrzuciłem napój i począłem uprzytomniać sobie, co zaszło. Naturalnie, rzecz była bardzo prosta. Wszystko, co dotyczyło wieku XX-go, było snem. Śnił mi się tylko ów rodzaj ludzki oświecony, wolny od trosk, śniły mi się tylko jego przedziwne, a proste urządzenia nowego pełnego chwały Bostonu, z jego kopułami i wieżycami, z jego ogrodami i wodotryskami, z jego powszechnem panowaniem wszelkich udogodnień życia. Uprzejma poufałość, z którą mi było tak dobrze, mój niepospolity gospodarz i mentor doktor Leete, jego żona, córka ich, drug. i jeszcze piękniejsza od pierwszej Edyta, narzeczona moja, wszystko to również było tylko przywidzeniem.

Przez długi czas pozostawałem w takiej postawie, w jakiej zastało mnie owo przeświadczenie, to jest, siedząc na łóżku i wpatrując się w przestrzeń, pochło-

nięty cały przypominaniem sobie scen i wydarzeń mego fantastycznego widzenia.

Sawyer tymczasem, strwożony moim wyglądem, dopytywał się niespokojnie, co mi się stało?..

Rozbudzony wreszcie jego natręctwem i przywieziony do świadomości otoczenia, wysiłkiem zebrałem jakoś myśli i upewniłem wiernego sługę, że wszystko było dobrze.

— Miałem po prostu niezwykły sen, Sawyerze... — uspokajałem go — sen bardzo niezwykły...

Ubrałem się mechanicznie, czując jakąś dziwną lekkość głowy i dziwną jakąś niepewność siebie; wreszcie usiadłem do kawy z bułkami, jaką Sawyer częstował mnie zawsze przed wyjściem mojem z domu. Na stole przedemną leżała gazeta poranna; wziąłem ją i oczy moje padły na datę 41 maja 1887 r. Naturalnie, od chwili otwarcia oczu, wiedziałem, że długie moje i szczegółowe zapoznawanie się z innym stuleciem, było tylko snem; pomimo to jednak, dziwnym mi się wydawał ten tak stanowczy dowód, że od chwili mego zaśnięcia świat postarzał tylko o kilka godzin.

Spojrzawszy na spis rzeczy, znajdujący się na czele gazety, podającej nowiny ranne, przeczytałem co następuje:

„Sprawy zagraniczne.

„Grozba wojny pomiędzy Francją a Niemcami. — Żądanie nowego kredytu na wojsko od Izb francuskich w odpowiedzi na powiększenie armii niemieckiej. — Możliwość wciągnięcia w grę całej Europy w wypadku wojny. — Wielkie cierpienia wśród warstw nie mających zajęcia w Londynie; żądają one pracy. — Przewidywanie olbrzymiej demoustracyi. — Niepokój władzy. — Wielkie bezrobocie w Belgii. — Rząd gotuje

się do stłumienia wybuchów. — Rażące fakty w sprawie posługiwania się dziewczętami w belgijskich kopalniach węgla. — Ryczałtowe wywłaszczenia w Irlandyi.

„Sprawy krajowe.

„Niepowstrzymana epidemija oszukaństwa. — Sprzeniewierzenie się na pół milijona w Nowym Jorku. — Przywłaszczenie funduszu depozytowego przez wykonawców testamentu. — Doszczętne ograbienie sierot. — Sprytny sposób złodziejstwa agenta bankowego; zniknięcie 50,000 dolarów. — Właściciele kopalń węgla postanawiają podnieść jego cenę i zniżyć produkcję. — Spekulanci budują wielki magazyn pszenicy w Chicago. — Klika podnosząca sztucznie ceny kawy. — Olbrzymie zmony syndykatów zachodnich. — Wykrycie rażącej sprzedajności wśród urzędników Chicago. — Systematyczne przekupstwo. — Blizkie sądenie sprawy rajców z Boodle w Nowym Jorku. — Wielkie bankrutstwa domów handlowych. — Obawy handlowego przesilenia. — Powódź kradzieży z włamaniem i łotrstw. — Zamordowanie kobiety dla pieniędzy w New-Haven. — Zabicie mieszkańca Bostonu przez złoczyńcę nocy dzisiejszej. — Samobójstwo człowieka z Worcester z powodu niemożności znalezienia pracy; liczna rodzina pozostaje bez chleba. — Sędziwa para ludzi w New Jersey poniosła śmierć, nie chcąc iść do domu ubogich. — Straszna nędza wśród najemnic w wielkich miastach. — Uderzający wzrost ciemnoty w Massachusetts. — Potrzeba większej liczby domów dla obłąkanych. — Przemówienia z powodu święta narodowego. — Mowa profesora Browna o moralnej wielkości cywilizacji XIX-go wieku.“

Istotnie, nie było wątpliwości, powróciłem do wieku

XIX. Ten spis wydarzeń jednego dnia był jego dokładnym obrazem nawet w tem, co dotyczy owego płaskiego samochwalstwa. Ukazując się po takim potępiającym wyroku całego stulecia, jaki zawierał się w jednodniowej kronice wszechświatowego rozlewu krwi, chciwości i tyranii, samochwalstwo owo zakrawało na bezczelność Mefistofelesa, a jednak ze wszystkich tych, których oczy spotkały się z niem owego poranku, ja, być może, byłem jedyną istotą, dostrzegającą cynizm, cłóć wczoraj nie byłbym go dostrzegł, tak samo, jak i inni. Dziwny mój sen sprowadził całą tę różnicę. Nie wiem bowiem, jak długo zapomniałem potem o mojem otoczeniu i w marzeniach mych poruszałem się znowu w owym żywym świecie snów, w tem mieście, pełnem chwały, wśród skromnie wytwornych domów jego mieszkańców i przepysznych gmachów publicznych. Dokoła mnie były znowu twarze, nie napiętnowane zuchwalstwem lub służalczą, chciwością albo zawiścią, niepokojną troską albo ambycją gorączkową i otaczały mnie znowu wyniosłe postacie mężczyzn i kobiet, którzy nigdy nie znali obawy wobec bliźniego, nie zależeli od jego łaski, ale zawsze, mówiąc słowami rozbrzmiewającego dotąd w moich uszach kazania, byli równymi wobec siebie.

Z głębokiem westchnieniem, z uczuciem straty niepowetowanej, niemniej dojmującym z powodu, iż była to strata tego, co nigdy nie istniało rzeczywiście, ocknąłem się nakoniec z moich marzeń i rychło potem wyszedłem z domu.

Na drodze od drzwi moich do ulicy Waszyngtońskiej kilkanaście razy musiałem zatrzymywać się i zbierać myśli, tak dalece bowiem ów obraz Bostonu przyszłości czynił mi obcem miasto dzisiejsze.

Gdym tylko znalazł się na ulicy, niechlujstwo jej i

woń niemiła uderzyły mnie tak, jak fakty jakieś, których dawniej nie widziałem nigdy. Ale, co większa, wczoraj zdawało mi się rzeczą całkiem naturalną, iż jedni z moich współobywateli ubierali się w jedwab, inni zaś byli w łachmanach, że jedni wyglądali syto, drudzy zaś głodno. Teraz przeciwnie, rażące nierówności ubioru i wejrzenia mężczyzn i kobiet, przemykających się koło siebie na chodnikach, raziła mnie na każdym kroku, a jeszcze bardziej raziła mnie całkowita obojętność, jaką szczęśliwsi okazywali względem nieszczęśliwych. Czyliż były to istoty ludzkie, skoro mogły znosić nędzę swych bliźnich, nie okazując w postępowaniu najłżejszego zajęcia?

A jednak z tem wszystkiem widziałem dobrze, iż to ja zmieniłem się raczej, nie zaś moi współcześnicy. Śniło mi się miasto, którego ludności całej powodziło się, jak dzieciom jednej rodziny, gdzie ludzie wspierali się wzajemnie we wszystkim.

Innym rysem rzeczywistego Bostonu, przybierającym teraz pozór niezwyklej dziwności, jaki cechuje rzeczy znajome nam, lecz oglądane w oświetleniu nowem, była obfitość ogłoszeń. W Bostonie wieku XX-go nie było ogłoszeń osobistych, gdyż nie potrzebowano ich wcale; tutaj zaś ściany budynków, okna, łamy gazet we wszystkich rękach, same bruki nawet, wszystko, cokolwiek było widocznem, z wyjątkiem tylko nieba, okryte było odezwami jednostek, które pod niezliczonymi pozorami usiłowały zjednać dla siebie udział innych w swem utrzymaniu. Bez względu na zmianę formy, treść wszystkich tych odezw była jednaka: „Popierajcie Johna Jonesa. Nie myślcie nigdy o innych, są to oszuści. Ja, John Jones, jedynie jestem sprawiedliwy, kupujcie u mnie. Najmujcie mnie. Odwiedzajcie mnie. Słuchajcie mnie, Johna Jonesa. Przypatrzcie mi

się. Nie omylcie się, John Jones tylko jest człowiekiem, ale nikt inny. Niech przypadną inni, ale przez boga żywego pamiętajcie o John Jonesie.“

Nie wiem, czy uniesienie, czy moralny wstręt widowiska wpłynęły na mnie, żem tak nagle stał się obcym memu rodzinnemu miastu.

— Nędzni ludzie... — chciałem już krzyknąć — którzy me chcąc nauczyć się, jak pomagać jeden drugiemu, wołają być wzajemnie żebrakami od pierwszego do ostatniego!..

Ta okropna wieża Babel bezwstydnego samochwalstwa i wzajemnego poniżania się, ten odurzający gwar sprzecznych ze sobą klątw, nawoływań i przysięg, ten straszliwy system bezczelnej żebraniny, czemże było to wszystko, jak nie koniecznością w społeczeństwie, w którym potrzeba było wywalczać dopiero możliwość służenia światu podług uzdolnień swoich, zamiast tego, coby możliwość taka zapewnioną mogła być każdemu, jako najpierwsza troska w społecznej organizacyi.

Doszedłem do najruchliwszego miejsca ulicy Waszyngtońskiej i stanąwszy tam, roześmiałem się głośno ku zgorszeniu przechodniów. Klnę się na życie, iż nie mogłem się od tego powstrzymać, tak dalece bowiem uniósł mnie humor na widok owych nieskończonych rzędów magazynów, ciągnących się z obu stron ulic, jak daleko wzrok mógł sięgnąć wstecz i naprzód, a dla większego ośmieszenia widowiska, dziesiątki tych dziur poświęcone były sprzedaży towarów jednego rodzaju. Składy, składy, składy, całe mile składów, dziesięć tysięcy składów dla zaopatrzenia w towary jednego tylko tego miasta, które w snach moich zaopatrywało się we wszystko z jednego jedyne tylko magazynu przy pomocy odpowiedniej wystawy wzorów w każde, dzielnicy, gdzie kupujący, bez straty czasu i pracyj

znajdował wszelkie możliwe wyroby wszechświatowego przemysłu. Tam praca podziału była tak lekka, że jej koszt stanowił niedostrzegalną prawie część ceny towarów. Kupujący ponosił prawie jedynie tylko koszt wytwarzania. Tutaj natomiast sam podział towarów, samo ich przesyłanie podnosiło o czwartą część, o trzecią, o połowę i więcej nawet ich cenę. Wszystkie te dziesięć tysięcy sklepów musiały opłacać komorne, kosztą swego zarządu, brygady swych sprzedawców, dziesięć tysięcy swych rachmistrzów, subjektów i pracowników, a oprócz tego wydawać mnóstwo na ogłoszenia, na wzajemną walkę, zaś spożywcy mieli ponosić koszty tego wszystkiego.

— Cóż za pyszny sposób przyprowadzania narodu do torby żebraczej!

Byliż to ludzie poważni, ci, których koło siebie widziałem, czy też dzieci, że sprawy swoje prowadzili podług takiego planu? Byliż to istoty rozumne, nie widzące głupoty w tem, kiedy wytwór, gotowy już do użytku, trwoni tyle wartości swojej w drodze niepożytecznej? Gdyby ludzie jedli łyżką, któraby straciła połowę zawartości swojej między talerzem a ustami, to czyliż nie łącno byliby głodni?..

Przechodziłem poprzednio tysiące razy przez ulicę Waszyngtońską i widziałem siedliska sprzedawców, ale teraz ciekawość moja zwracała się ku nim, jak gdybym ich nigdy nie widział. Widziałem pyszne wystawy sklepowe w oknach, napełnione towarami pracowicie i artystycznie, ku zwabieniu oka. Widziałem tłumy pań, przyglądających się im, oraz właścicieli, chciwie śledzących wrażenie swoich sklepów. Wchodziłem do wnętrza i widziałem ludzi, którzy okiem jastrzębia czuwali nad całym przedsiębiorstwem, pilnowali subjektów, przynaglając ich do roboty, do zachęcania kund-

manów, aby kupowali, kupowali i jeszcze raz kupowali... za pieniądze, jeśli je mieli, na kredyt, jeśli nie mieli ich, aby kupowali to, czego im nie było potrzeba. więcej, niżli potrzeba było, albo to, czemu nie mogli podołać.

Chwilami traciłem wątek myśli; widok ten mącił moje pojęcia. Do czegoż ten wysiłek w nakłanianiu ludzi, aby kupowali?.. Bezwątpienia, nie ma to nic wspólnego z należytą sprawą podziału wytworów pomiędzy tych, którzy ich potrzebują. Bezwątpienia było to najrzetelniejszem marnotrawstwem narzucać ludziom to, czego nie potrzebowali, leez co mogło być pożytecznem dla innych. Przy każdej takiej operacyi, naród stawał się biedniejszym. Dalej, cóż sobie myśleli ci subjekci? Przypomniałem sobie wówczas, że nie działali oni w charakterze rozdzielców, jak ci, których widziałem w składzie Bostonu wysnionego. Nie służyli oni sprawie publicznej, ale swej osobistej sprawie i nie obchodziło ich zgoła to, jak ostatecznie wpłynie na pomysłność ogólną ich postępowanie, jeśli tylko sami oni powiększą swe skarby, gdyż towary te były ich własnością, a im sprzedadzą ich więcej, im więcej za nie dostaną, tem większym zysk ich będzie. Im bardziej marnotrawnymi będą ludzie, im łatwiej będzie nakłonić ich do kupowania rzeczy niepotrzebnych, tem lepiej będzie dla tych sprzedawców. Zachęcanie do rozrzutności było więc wyraźnym celem działania dziesięciu tysięcy sklepów bostońskich!

Nadto, ani właściciele owi, ani ich subjekci nie byli wcale gorszymi od innych mieszkańców Bostonu. Musieli oni zdobywać sposób do życia i utrzymywać rodziny, a jakże mogliby znaleźć taki środek dokonania tego, który nie zmuszałby ich do postawienia interesów osobistych przed interesami innych i ogółu? Nie podo-

bną było żądać od nich, aby umierali z głodu, czekając nadejścia nowego porządku rzeczy, o jakim mi się śniło, a w którym interes każdego i wszystkich był jednaki. Ale, wielki boże, cóż dziwnego, że przy systemie takim, jak ten oto dokoła mnie, miasto było tak liche, ludzie tak biednie ubrani, a wielu z pomiędzy nich w łachmanach i głodnych.

Po pewnym czasie zwróciłem się znowu w stronę Bostonu południowego i znalazłem się pośród zakładów rękodzielniczych. Bywałem w dzielnicy tej setki razy, tak samo jak i na ulicy Waszyngtońskiej, ale i tutaj, podobnie jak tam, dopiero teraz zrozumiałem należyte znaczenie tego, co oglądałem. Dawniej dumny byłem, przypominając sobie, że podług obliczeń dzisiejszych, Boston posiadał około 4 tysięcy zakładów rękodzielniczych, ale teraz w samej tej liczebności i odrębności wykryłem tajemnicę zbyt małych rozmiarów ogólnego wytworu ich przemysłu.

Jeżeli ulica Waszyngtońska wyglądała, jak szopka, to tutaj widok przedstawiał się o wiele smutniej, gdyż wytwarzanie jest czynnością bardziej żywotną od podziału. Nietylko bowiem owe cztery tysiące zakładów nie pracowały zgodnie i już tem samem działały z swą wielką stratą, lecz, jak gdyby to jedno nie było już źródłem olbrzymich uszczerbków, przespigały się one wzajem w udaremnianiu swych wysiłków, modląc się w nocy i pracując w dzień na to, aby wzajemnie podkopywać swe przedsiębiorstwa.

Huk i zgrzytanie kół i młotów, rozlegające się ze wszystkich stron, nie było tu echem spokojnej pracy przemysłowej, lecz jak gdyby szczękaniem mieczów, którymi walczyli wrogowie. Te fabryki i pracownie były to wszystko forty, z których każdy walczył pod własnym znakiem z działami, skierowanymi na fabryki

i pracownie okoliczne, z zastępem saperów, podkopujących się pod nie.

Wewnątrz tych fortów przestrzegano jak najściślej szej organizacyi przemysłu, kompanije pojedyncze pracowały pod jedną władzą centralną. Żadne utrudnianie lub powtarzanie niepotrzebnej roboty nie było dozwolone. Każdy miał wyznaczone sobie zadanie i nikt nie próżnował. Dzięki jakiemu więc brakowi logiki, dzięki pominięciu jakiego ogniwa w rozumowaniu, można było wytłomaczyć to, iż nie umiano uznać tam nieodzowności zastosowania tej samej zasady do organizacyi wszystkich gałęzi narodowego przemysłu, jako całości, nie umiano dostrzedz, że skoro brak organizacyi tamował skuteczność jednej pracowni, to musiał on mieć tem straszniejsze skutki, obezwładniając w ten sposób przemysł narodowy w ogólności, jako większy objętością swą i odznaczający się bardziej zawitym stosunkiem części.

Ludzie skłonni by byli do ośmieszenia armii, któraby nie miała ani kompanii, ani batalijonów, pułków, brygad lub korpusów — słowem żadnej większej jednostki organizacyjnej nad pluton kaprałski i żadnego wyższego oficera ponad kaprała i w którejby wszyscy kaprale mieli równą władzę. A jednak, taką właśnie armiją były przemysłowe kohorty Bostonu wieku XIX; armiją, złożoną z 4 tysięcy niezależnych kaprali, z których każdy miał odrębny plan kampanii.

Tu i owdzie widzieć można było gromadki ludzi próżnujących, jedni z nich próżnowali, nie mogąc znaleźć pracy za żadną cenę, inni dlatego, iż nie mogli dostać zapłaty, jaką uważaliby za dostateczną.

Zbliżałem się do niektórych z pomiędzy nich, a oni opowiadali mi o swych kłopotach. Bardzo niewiele mogłem ich pocieszyć.

— Smucę się wraz z wami... — mówiłem. — Otrzymujecie bezwątpienia zbyt mało, a jednak, co do mnie, to dziwię się nie temu, że przemysł tak oto prowadzony może wam dawać coś zaledwie na życie, ale raczej temu, że może on dawać cokolwiekbądź.

Powracając później około godziny 3-iej do dzielnicy na półwyspie, zatrzymałem się na ulicy Stanowej, przypatrując się, jak gdyby po raz pierwszy, bankom, giełdom i innym instytucjom finansowym, których w widzeniu mojem na ulicy Stanowej nie pozostało było ani śladu. Interesanci, agenci, posłańcy skupiali się tu i owdzie w bankach i pod bankami, gdyż brakowało już tylko paru minut do godziny zamknięcia ich.

Przedemną znajdował się bank, w którym ja sam zwykle załatwiałem interesy, to też, przeszedłszy w poprzek ulicę, wraz z tłumem wstąpiłem tam i stanąłem w zagłębieniu ściany, przyglądając się całej armii urzędników, mających do czynienia z pieniędzmi, oraz szeregowi depozytaryjuszów przy oknach kasyjerskich. Stary dżentelman, którego znałem, dyrektor banku, przechodząc koło mnie, a spostrzegłszy moją postawę zamyśloną, przystanął na chwilę.

— Czyż nie zajmujący widok, panie West?.. — pytał. — Przedziwny mechanizm; sam to znajduję. Lubię niekiedy stanąć tu sobie i popatrzeć tak, jak pan teraz. Jest to poemat, panie, poemat, tak panu powiem. Czyś pan się kiedy zastanawiał, panie West, że bank jest sercem całego systemu spraw handlowo-przemysłowych. Z niego i do niego podąża ustawicznie odpływ i przyływ soków odżywczych. Teraz oto mamy przyływ, zrana będziemy mieli znów odpływ.

Zadowolony ze swego konceptu, starzec poszedł dalej, śmiejąc się.

Wczoraj byłbym uważał owo porównanie za dość udatne, ale wszak od wczoraj zwiedziłem już był świat o wiele płodniejszy od tego, w którym jednak pieniądze były nieznane i nie mogłyby mieć żadnego użytku. Dowiedziałem się, że w otaczającym mnie świecie używano ich tylko dla tego, iż zamiast uważać sprawę zaspokojenia bytu narodowi za rzecz najbardziej publiczną i ze wszystkich trosk najbardziej wspólną, a tem samem, zamiast powierzyć kierownictwu narodowemu, pozostawiano ją na łasce wysiłków jednostek. Ten błąd zasadniczy pociągał za sobą z konieczności nieskończenie długi szereg wymian, gdy chodziło o podział ogólny jakiegokolwiek bądź z wytworów. Wymian owych dokonywano — o ile sprawiedliwie, można widzieć, przechodząc po dzielnicach bankierskich ku Back-Bay — kosztem pracy całej armii ludzi, wziętych od zajęć produkcyjnych, przyczem sprawie tej towarzyszą wypadki ciągłego, rujnującego psucia się jej maszyneryi, oraz ogólnie demoralizujący wpływ na ludzi, usprawiedliwiający ów starożytny opis spraw finansowych, jako „źródła wszelkiego złego.“

Biedny stary dyrektor banku ze swoim poematem!.. Wziął on drgania wrzodu za bicie serca. To, co on nazywał przedziwnym mechanizmem, było tylko niedoskonałym środkiem zaradzenia brakowi niepotrzebnemu, niezgrabną kulą dla dobrowolnie wyrządzonego kalectwa.

Minawszy banki, błądziłem bez celu po dzielnicy przemysłowej z jakie dwie godziny, później zaś usiadłem na chwilę na jednej z ławek przed magistratem, przypatrując się przechodzącym tłumom z taką ciekawością, z jaką ktoś byłby badał ludność cudzoziemskiego miasta, tak dalece obcymi stali się dla mnie od

wczoraj moi współobywatele, oraz ich sprawy. Przez 30 lat żyłem pomiędzy nimi, a jednak zdawało się, iż nigdy nie byłem zauważył, o ile skłopotane i niespokojne są ich twarze, zarówno bogatych, jak i ubogich, zarówno delikatne, subtelne oblicza wykształconych, jak i tępe fizyjonomije ciemnych. A jednak, tak być musiało, gdyż teraz z taką, jak nigdy, jasnością spostrzegłem, że każdy z nich idąc, łowik uchem szept jakiegoś widma, widma Niepewności.

— Nigdy się tak bardzo nie zapracowuj... — szeptało widmo, — wstawaj wcześniej i rób do późna; obdzieraj przebiegle albo służ wiernie, a nigdy nie zaznasz pewności. Jakkolwiek możesz być bogatym teraz, wkońcu opadnie cię ubóstwo. Nie pozostawiaj zbyt dużo bogactw twoim dzieciom, nie możesz kupić pewności, że twój syn nie będzie sługą twojego sługi, lub że córka twa nie będzie się musiała sprzedawać dla chleba...

Jakiś przechodzień wsunął mi w rękę ogłoszenie, wysławiające zalety nowego jakiegoś planu ubezpieczeń na życie. Wypadek ten przypomniał mi o jedynym środku, wzruszającym z tego, iż uznawał powszechną potrzebę, którą jednak zaspakajał tak skąpo! Środek ten dawał owym znużonym i ściganym kobietom i mężczyznom przynajmniej częściową osłonę przed niepewnością. Przypominam sobie, iż dzięki tym środkom, ludzie już zamożniejsi mogą kupować jaką taką pewność, że po ich śmierci ukochani ich, przez chwilę przynajmniej, nie będą stratowani pod stopami ludzkiemi. Ale na tem też był koniec, bo i to przyśługiwało tylko takim, którzy mogli dobrze zapłacić. Jakież wyobrażenie o istotnem ubezpieczeniu życia mogli mieć ci nędzni mieszkańcy krainy Izmaela, gdzie ręka każdego podnosiła się przeciwko wszystkim, a ręka wszystkich przeciwko każdemu, czyż mogli mieć oni pojęcie o ta-

kiem ubezpieczeniu życia, jakie ja widziałem wśród ludzi kraju wyśnionego, gdzie każdy, już tylko w moc swego należenia do wielkiej rodziny narodowej, zabezpieczony był tem samem przeciwko potrzebom wszelkiego rodzaju, a to dzięki wyrokowi podpisanemu przez sto milionów jego współobywateli.

W jakiś czas potem, kiedy przyszedł do siebie, ujrzałem się na schodach pewnego gmachu przy ulicy Tremont, z kądem patrzyłem na przegląd wojska. Pułk przechodził właśnie przede mną. Był to owego okropnego dnia pierwszy widok, który wywołał u mnie uczucia inne, niż zdziwienie, litość i osłupienie. Tutaj przynajmniej był porządek i rozum, uzmysłowienie tego, co może zrobić inteligentne współdziałanie. Czyliż być mogło, iżby dla ludzi, którzy stojąc patrzyli na to z uradowaną twarzą, nie miało to żadnego innego znaczenia nad zwykłe widowisko? Czyliż nie dostrzegali oni, że to właśnie doskonała zgodność ich działania, zorganizowanie się ich pod jedną kontrolą czyniło z owych ludzi straszliwą maszynę, zdolną pokonać motłoch dziesięć razy liczniejszy. Widząc to tak wyraźnie, czyliż nie mogli oni porównać naukowego sposobu, jakim się posługuje naród w wojnie, z nienaukowym sposobem jego pracy. Czyliż nie pytali oni siebie, od jakiego to czasu zabijanie ludzi było sprawą tak dalece ważniejszą, niż żywienie ich i odziewanie, że jedynie do pierwszej sprawy uważano za stosowne używać wyćwiczonego wojska, gdy tymczasem to drugie pozostawiano motłochowi.

Miało się już ku wieczorowi i ulice napełniły się tłumem pracowników sklepowych, warsztatowych i fabrycznych. Uniesiony silniejszym prądem tłumy, znalazłem się, kiedy już mrok zapadał, pośród siedliska brudu i takiego upośledzenia ludzkiego, jakie tylko

przedstawiać może dzielnica South-Cove, złożona z domów wynajmowanych. Oglądałem już szalone marnotrawstwo pracy ludzkiej, tutaj widziałem nędzę w postaci jej najsroźszej, jaką marnotrawstwo owo zrodziło.

Od czarnych progów i okien tych siedzib, z każdej strony, dochodziły wyziewy smrodliwego powietrza. Ulice i aleje kurzyły się potokami cuchnącego gnoju. Przechodząc, widziałem wybladłe dzieci, których życie marniało wśród dusznych zapachów, beznadziejne twarze kobiet, wykrzywionych mrozem, nie zachowujących z kobiecości swojej żadnego rysu, oprócz niemocy, gdy tymczasem z okien wyglądały dziewczęta o czołach miedzianych. Jak stada głodnych psów - mieszkańców, zarazających ulice miast muzułmańskich, roje nawpół przyodzianych zbydłconych dzieci napełniały powietrze krzykami i przekleństwami, bijąc się i tarzając wśród śmietnisk, okrywających podwórka.

Nic w tem wszystkiem nie było dla mnie nowego; częstokroć przechodziłem przez tę część miasta, patrząc na jej obrazy z uczuciem niesmaku w połączeniu z pewnem zdziwieniem filozoficznym, że ludzie, znosząc takie ostateczności, mogą być jednak przywiązani do życia. Ale od chwili owego widzenia innego wieku z oczu moich spadło bielmo, zakrywające nietylko ekonomiczne szaleństwa naszego stulecia, ale i jego obrzydliwości moralne. Już nie patrzyłem na nędznych mieszkańców tego piekła z obojętną ciekawością, jako na istoty prawie nieludzkie. Widziałem w nich braci moich i siostry, rodziców moich, dzieci me, kość moich kości i krew krwi mojej. Ropiąca się rana ludzkiej nędzy, otaczającej mnie, zaraziła już nietylko moje zmysły, ale przeszływała serce, jak nożem, tak, że nie mogłem powstrzymać westchnień i jęków. Nietylko wi-

działem, ale i czułem w mem ciele wszystko to, com widział.

Nadto, przyjrzawszy się nędznym tym istotom bliżej, spostrzegłem, że wszystko to było zupełnie martwe. Ciała ich były to same żywe groby. Na każdym czole zbydłconem napisane było wyraźnie: *hic jacet* — umarłej duszy, tkwiącej wewnątrz każdego z nich.

Gdym przenosił wzrok przerażony z jednej trupiej głowy na drugą, doznałem dziwnej halucynacji. Jakieś, jak gdyby mgławiczne, przejrzyste oblicze ducha opływało każdą z tych twarzy zbydłconych; widziałem ideał, widziałem twarz ich istotną, jaka byłaby możliwą, gdyby umysł ich i dusza żyć mogły. Dopiero wtedy, gdym dojrzał owe twarze upiorów i wyrzut nieopisany, z jakim patrzyły ich oczy, dopiero wówczas odstłoniła się przedemną cała nędza dokonanej tutaj ruiny. Uczułem skruczę i mękę wielką, gdyż byłem jednym z tych, którzy znosili taki stan rzeczy. Byłem jednym z tych, którzy, wiedząc dobrze o klęskach owych, nie chcieli ani słyszeć, ani zbyt wiele o nich myśleć, lecz pomijali je, jak gdyby rzecz nieistniejącą, szukając tylko własnych swych uciech i korzyści. Teraz więc na szatach moich znajdowałem krew tego wielkiego mnóstwa zdławionych braci moich. Krew ich wołała przeciwko mnie z ziemi. Każdy kamień cuchnących bruków, każda cegła siedzib zarażonych zdobywała mowę i wołała za mną uciekającym:

— Coś uczynił z bratem twoim Ablem?..

Nie pamiętam już dobrze, co się działo później, aż do chwili, gdym znalazł się na rzeźbionych schodach kamiennych wspaniałego domu mojej narzeczonej w alei Commonwealth. Wśród natłoku myśli dnia owego prawiem nie przypomniał sobie o niej, ale teraz, ulegając jakiejś pobudce bezwiednej, nogi moje odnalazły drogę

do jej domu. Powiedziano mi, że państwo są u stołu. — ale zarazem wydano rozkaz, abym się z nimi połączył

Oprócz rodziny, znalazłem kilka osób z gości, samych moich znajomych. Stół, zastawiony był srebrem i kosztowną porcelaną chińską, panie ubrane były w cenne suknie i miały na sobie klejnoty, istic królewskie. Cały obraz cechował się kosztowną wytwornością i nieopatrzonym zbytkiem.

Towarzystwo było w wybornem usposobieniu, pełno też było słyhać śmiechu, oraz iskrzącego się dowcipu.

Ja uczułem się tak, jak gdybym, chodząc po jakimś miejscu potępionem z krwawemi łzami, z duszą przygnębioną smutkiem, litością i rozpaczą, natrafił nagle na wesołą kompaniję biesiadników. Siedziałem milczący, aż Edyta zaczęła żartować ze mnie z powodu mego ponurego wejrzenia. Co mi dolega, wypytywała. Inni też połączyli się z nią w żartobliwym szturmie i ja stałem się celem dowcipów i żartów.

Gdziem był i co takiego widziałem, co uczyniło ze mnie tak niewesołego towarzysza?

— Byłem na Golgocie... — odezwałem się w końcu. — Widziałem ludzkość, wiszącą na krzyżu. Czyliż nikt z was nie wie, na co patrzą słońce i gwiazdy w tem mieście, iż możecie mówić i myśleć o czemkolwiek bądź innem. Czyliż nie wiecie, że tuż u drzwi waszych wielkie mnóstwo mężczyzn i kobiet, kość z kości waszych, żyją życiem, które jest jedną męczarnią od urodzenia do śmierci. Słuchajcie, siedziby ich są tak blisko, że gdy uciszycie śmiech wasz, posłyszycie bolesne ich głosy, żałośne krzyki niemowląt, karmiące się ubóstwem przekleństwa ochryple ludzi zmiażdżonych nędzą, napół zbydlęconych, targowanie się całego zastępu kobiet, sprzedających siebie za kawałek chleba... Czem

przysłoniliście uszy wasze, że nie słyszycie tych dźwięków, pełnych bólu?.. Co do mnie, to nie mogę słyszeć nic innego...

Cichość zapanowała po moich słowach.

Litość wstrząsała mną, kiedym mówił, lecz, spojrzawszy teraz dokoła siebie na towarzystwo, spostrzegłem, iż nietylko bynajmniej nie wzruszyło się ono tak, jak ja, ale że twarze ich wyrażały chłodne i przykre zdziwienie, które w oczach Edyty mieszało się ze zmartwieniem najwyższym, we wzroku zaś jej ojca z gniewem. Panie zamieniały ze sobą spojrzenia zgorszenia, gdy tymczasem jeden z młodzieńców, uzbroiwszy oko szkiełkiem, począł badać mnie z wyrazem naukowego zaciekawienia. Kiedym zobaczył, iż rzeczy, które były dla mnie tak nieznośnemi, nie wzruszają ich zgoła, że słowa, które stapały mi serce, gdym mówił, ich obraziły tylko na mówcę, zrazu zostałem jakby ogłuszony, a następnie ogarnęła mnie rozpaczliwa niemoc i bezsilność serca. Jaką nadzieję mogli mieć nędzarze i cały świat, skoro mężczyźni myślący i tkliwe kobiety nie wzruszały się takimi oto rzeczami. Wtedy przyszło mi na myśl, że może nie mówił właściwie. Bez wątpienia, źle postawiłem sprawę. Gniewali się, gdyż sądzili, że chciałem ich szykanować, gdy tymczasem, bóg mi świadkiem, myślałem tylko o okropności owych faktów, nie mając bynajmniej zamiaru wkładać odpowiedzialności na nich.

Zapanowałem nad wzruszeniem i starałem się mówić spokojnie i logicznie, aby poprawić wrażenie pierwsze. Powiedziałem im, że nie myślałem ich oskarżać o to, iż oni sami albo ludzie bogaci w ogólności odpowiedzialnymi byli za nędzę świata. Prawda istotnie, że nadmiar trwoniony przez nich, gdyby był użyty inaczej, ulżyłby znacznie gorzkich cierpień. Te koszty-

wne potrawy, te wina drogie, wspaniałe materyje, lśniące klejnoty, przedstawiały cenę niejednego życia ludzkiego. Byli oni zaiste nie bez winy, jako ludzie marnotrawni w kraju, który cierpiał pod brzemieniem głodu. Niemniej jednak roztrwonione zasoby wszystkich bogaczy, w razie większej ich oszczędności, niewiele tylko przyczyniłyby się do zaradzenia nędzy świata... Tak mało było do dzielenia, że gdyby nawet bogaty zgodził się na równy udział z ubogim, mielibyśmy tylko wspólną misę okruchów, którym zresztą słodczy dodawałaby miłość braterska.

Głupota ludzi, nie zaś ich okrucieństwo, była wielką przyczyną ubóstwa świata. Nie zbrodnia to człowieka lub jakiegokolwiek klasy ludzi czyniła rodzaj ludzki tak nędznym, ale ohydne, okropne nieporozumienia, olbrzymia, ogarniająca świat ślepotą. Dalej wykazałem im, jak cztery piąte pracy ludzkiej szło najzupełniej na marne przez wzajemną walkę, przez brak organizacyi i zgodności pomiędzy pracownikami.

Usiłując wyjaśnić, im przedmiot jak najlepiej, przytoczyłem przykład gruntów nieplodnych, gdzie rola stawała się jako tako żyźniejszą jedynie za sprawą nawadniania.

Wykazałem, jak w krajach takich za najważniejszą czynność rządu uważanoby nadzór nad tem, aby woda nie marnowała się wskutek samolubstwa lub ciemnoty jednostek, gdyż inaczej mianoby do czynienia z głodem. W tym celu użytkowanie z niej byłoby ściśle regulowanem i systematyzowanem, zaś jednostkom, dla próżnego ich kaprysu, nie pozwalanoby tamować jej, zmieniać kierunku jej prądów, lub w jakikolwiek-bądź sposób rozporządzać się nią.

— Praca ludzka... — tłumaczyłem im — jest użyźniającym prądem, który jedynie czyni ziemię mieszkal-

na... Prąd ten jest w każdym razie nadzwyczaj skąpy i użytkowanie z niego musi być regulowane zapomocą systemu, wydatkującego każdą kroplę z pożytkiem największym, jeżeli świat nie ma doznawać niedostatku... Ale daleką od wszelkiego systemu była praktyka obecna. Każdy zużytkowywał płyn drogocenny stosownie do usposobienia, żywiąc jednaką pobudkę zaoszczędzenia własnych zbiorów i zrabowania zbiorów sąsiada, aby jego mogły być sprzedane zyskowniej. Z jakąż chciwością i przekorą zroszone były pola niektóre, gdy tymczasem inne kamieniały na słońcu, a połowa zasobów wody szła na marne. W takim kraju, jakkolwiek przebiegłość i siła mogłaby zapewnić nawet zbytek niektórym, to jednak udziałem masy wielkiej musi być ubóstwo, dolą zaś słabych i ciemnych gorzka nędzka i głód ustawiczny... Niech tylko naród głodem nękany weźmie na się czynność, którą zaniedbał, niech ureguluje dla wspólnego dobra bieg życiodajnego potoku, a ziemia stanie się jednym sadem kwitnącym i dzieciom jej nie będzie brakowało niczego...

Opisywałem dobrobyt materyjalny, oświecenie umysłu i moralną podniosłość, jakich dosięgliby wówczas wszyscy ludzie.

Z zapałem mówiłem o tym nowym świecie błogosławionym z obfitości swej, oczyszczonym przez sprawiedliwość i ozłoconym miłością bratnią, o świecie, który zaiste śnił mi się tylko, lecz który tak łatwo mógłby stać się rzeczywistością.

Ale kiedym ja spodziewał się, że teraz na pewno już twarze rozjaśnia się dokoła mnie uczuciami pokrewnymi moim, przybierały one wyraz coraz bardziej mroczny, gniewny i pogardliwy. Zamiast zachwyty, panie okazywały tylko wstręt i obawę, gdy tymczasem

panowie przerywali mi wykrzyknikami nagany i pogardy :

— Waryjat!..

— Biedak zakazony!..

— Fanatyk!..

— Wróg społeczeństwa!..

Takimi oto były niektóre z ich wykrzykników ; ten zaś, który poprzednio uzbroił się był w szkiełko, zawołał :

— Powiada, że nie będziemy już mieli biednych!..
ha, ha, ha!..

— Wyprowadźcie go!.. — krzyknął ojciec mej narzeczonej, a na ten znak mężczyźni porwali się z krzesła i przystąpili do mnie.

Zdawało mi się, iż serce mi pęknie z męczarni, że znalazł, iż to, co było dla mnie tak jasnym i tak niezmiernie ważnym, dla nich pozostawało bez znaczenia, oraz, że ja nie mógł ich uczynić innymi. Tak gorącym było ono, iż sądziłem, że żarem swym stopiłoby górę lodu, a teraz poczułem tylko, że chłód wszechpotężny ogarnia moje własne życie. Nie uczułem nienawiści ku nim, gdy mnie otoczyli, żywiłem tylko litość dla nich i dla świata.

Jakkolwiek zrozpaczony, nie mogłem jeszcze ustąpić, jeszcze walczyłem z nimi... Łzy trysnęły mi z oczu... W męczarni mej przestałem wydawać dźwięki członkowane, dyszałem ciężko, łkałem, jęczałem i bezpośrednio potem ujrzałem się siedzącym na łóżku w pokoju moim w domu doktora Leete, a słońce poranne świeciło mi w oczy przez otwarte okno.

Byłem prawie konający ; łzy płynęły mi strumieniem po twarzy i drżałem na całym ciele. Tak, jak przestępca zbiegły, któremu śni się, że został na nowo pojmany i uprowadzony do swej nory ciemnej i cuch-

naćej, a który, otwarłszy oczy, widzi sklepienie nieba nad sobą, tak czułem się teraz ja, gdym zrozumiał, że mój powrót do wieku XIX był tylko snem, obecność zaś moja w wieku XX rzeczywistością.

Straszne obrazy, jakie oglądałem w widzeniu mojem i jakich prawdziwość potwierdzić mogłem na podstawie dawnego mojego życia, jakkolwiek niestety istniały kiedyś na prawdę i aż do skończenia czasów pobudzać będą do łez ludzi litościwych, minęły już chwała bogu na zawsze. Od dawna ciemiezca i ciemieżony, prorok i szyderca stali się już prochem. Dla całych pokoleń „bogaty“ i „ubogi“ były już słowami zapomnianemi.

Ale w tejsze chwili, kiedym jeszcze pełen był niewysłowionej wdzięczności za wielkie odkupienie świata i za mój przywilej uczestniczenia w nim, nagle jak nożem przeszło mnie ukłucie wstydu, zgryzoty i dziwnych wyrzutów samemu sobie, które pochyliło głowę mą na piersi i zrodziło we mnie pragnienie, aby grób ukrył mnie wraz z dawnymi towarzyszami. Wszak byłem człowiekiem owych czasów dawniejszych. Cóżem uczynił, aby dopomódz temu oswobodzeniu, jakim miałem się teraz napawać?.. Ja, który żyłem za owych czasów okrucieństwa i niedorzeczności, cóżem uczynił, aby sprowadzić ich koniec?.. Byłem tak prawie obojętnym, na nędzę mych braci, tak cynicznie niewierzącym w coś lepszego, tak ogłupionym czcicielem chaosu i dawnego mroku, jak i każdy inny z mych bliźnich. O ile to zależało od mego wpływu osobistego, przyczyniałem się raczej chyba do opóźnienia godziny oswobodzenia rodzaju ludzkiego, które nawet wówczas już się było przygotowywało.

Jakie prawo miałem dziś witać wyzwolenie, które było wyrzutem dla mnie, napawać się dniem, z którego świtania naśmiewałem się?..

— Lepiej dla ciebie byłoby... — brzmiał głos jakiś we mnie — gdyby ów zły sen był rzeczywistością, a jasna ta rzeczywistość snem; lepszą byłaby część twoja, gdybyś wstawiał się za ukrzyżowaną ludzkością przed pokoleniem szyderczem, niżeli tutaj, gdzie korzystasz ze skarbów, których nie kopałeś, gdzie jesz z drzewa, którego kamienowałeś ogrodników...

I duch mój odpowiedział:

— Zaiste lepiej!..

Kiedy nakoniec podniosłem pochylone czoło i wyjrzałem z okna, Edyta, świeża jak poranek, wchodziła właśnie do ogrodu, zbierając kwiaty.

Pospieszyłem zejść na dół.

Ukląkszy przed nią, z obliczem korzącem się w prochu, wyznałem ze łzami, jak mało byłem godzien oddychać powietrzem tego złotego wieku i jak nieskończenie mniej byłem godny nosić na mojej piersi ślubny jej bukiet...

Szczęśliwy, kto w sprawie tak rozpaczliwej, jak moja, znalazł tak miłosiernego sędziego!..



Koniec.





400

✱KSIĘGARNIA✱

ANTYKWARIAT



≡ 580121 F ≡

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

122131

Biblioteka WSP Kielce



0149767